

DAIMONION

Andrzej Ziemiański



DAIMONION
Andrzej Ziemiański

ISKRY • WARSZAWA • 1985

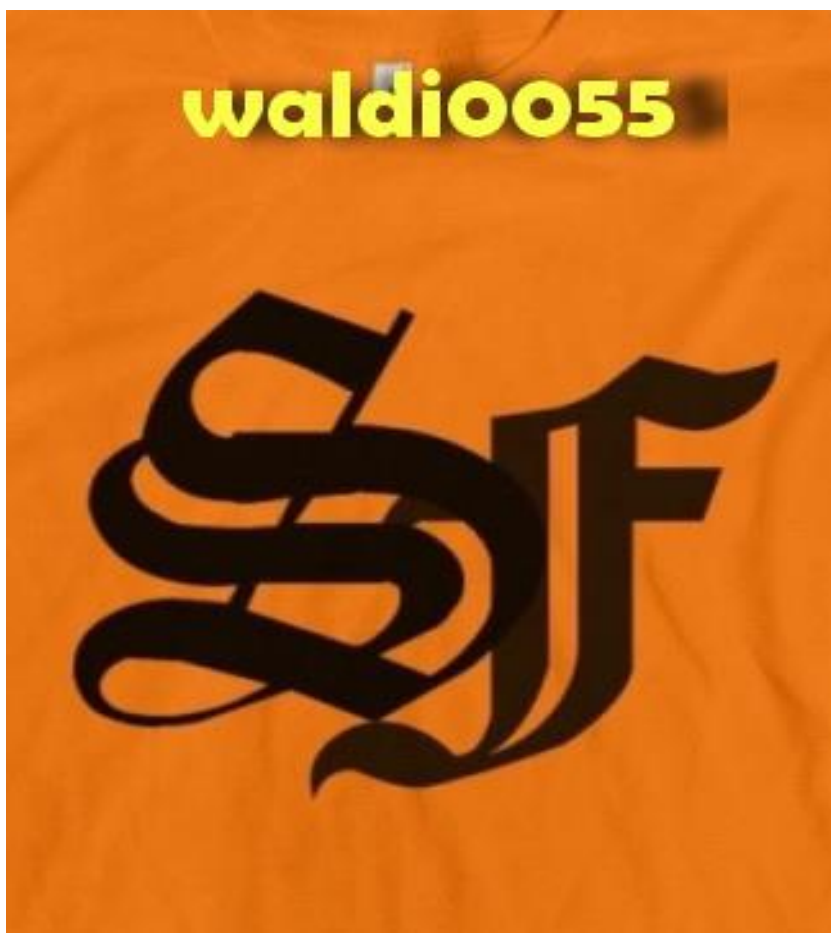
2021 • AWASZAW • YAKSI

Opracowanie graficzne:
Kazimierz Hałajkiewicz
Redaktor: Anna
Kowalik
Redaktor techniczny:
Elżbieta Kozak
Korektor: Barbara
Siennicka

ISBN 83-207-0762-5
©Copyright by Andrzej Ziemiański, Warszawa 1985.

PRINTED IN POLANO

Państwowe Wydawnictwo
„Iskry”, Warszawa 1985 r.
Wydanie I. Nakład 1-9
750+250 egz.
Ark. wyd. 7,3. Ark. druk. 6,75.
Papier offset, kl. V, 70 g, 61x86.
Łódzka Drukarnia
Dzielowa — Zakład nr 3
w Tomaszowie
Mazowieckim. Zam. nr
1349/1800/84.
N-56.



REGÓŁY GRY

Struga alkoholu pociekła po tacy mocząc obydwu tosty. Brian, przeklinając w duchu swoją niezdarność, zostawił wszystko na ostatnim stoliku. Wściekły zamówił w barze nowe tosty i dwa podwójne martini. Nie chcąc wracać do tamtego miejsca, przysiadł się do dziewczyny sączącej colę. Coś piekło go w gardle. Zniecierpliwiony wypił jedno martini kilkoma szybkimi haustami, ale pieczenie tylko się wzmogło. Stracił jakoś ochotę na grzanki. Mała knajpa w centrum Adenu nie miała dobrej klimatyzacji. Podczas kiedy Brian zmęczony ścierał krople potu zbierającego się nad brwiami, kolorowy tłumek przy innych stolikach kłębił się i falował w dynamicznym pokazie bogatej gestykulacji. Brian wsunął do ust pociętego papierosa. Zapalił zapałkę, ale zgasła za szybko. Dziewczyna podsunęła mu zapalniczkę.

— Wie pan — powiedziała, gdy zaciągnął się dymem — tylko ludzie wybitni nie mogą zapalić papierosa za pierwszym razem.

Chciał powiedzieć, że to nonsens, nie mógł jednak sformułować żadnego zdania.

— Tylko ci, których nie stać na nic innego, uczą się opanowywać do perfekcji proste gesty — ciągnęła tymczasem swój komplement dziewczyna. — Czasem robią z tego efektowne widowiska...

Brian uśmiechnął się niechętnie.

— Pani jest z Europy?

— Tak. Czy tego nie widać?

— Ależ tak. Spytałem tylko dlatego, że... że jestem tu od niedawna — nie miał najmniejszej ochoty kontynuowania tej rozmowy. Ona jednak uważała, że są już co najmniej zaprzyjaźnieni.

— Po co przyjechał pan do Jemenu?

— Muszę odrobić zaległą praktykę na stanowisku archeologicznym.

— Pan jest archeologiem?

— Studentem archeologii. — Spojrzał na nią. Nie znał się na tym, ale kolor skóry wskazywał, że musiała przebywać tu długo. Może nawet mieszkała stale w Adenie.

— Jeśli to nie jest tajemnica, to czy mogę wiedzieć, na którym jest pan roku?

— Na ostatnim. Tę cholerną praktykę powinienem odwalić już dawniej, ale jakoś się nie składało. A teraz... — spostrzegł, że dał się jednak wciągnąć w rozmowę i wylewa swoje żale — mam nadzieję, że to będzie już tylko formalność — dodał, żeby jakoś zakończyć zdanie.

— Dlaczego pan tak mówi? To musi być bardzo ciekawe.

— Nie sądzę. — Opróżnił drugą szklaneczkę i odsunął tosty jeszcze dalej.

Dziewczyna milczała, nagle skupiona nad swoją colą.

— Przepraszam, śpieszę się na lotnisko — mruknął niewyraźnie i ruszył do wyjścia. Był zły na siebie za to, że zachował się tak oziębło, ale zawsze męczyły go rozmowy bez konkretnego celu. Mam chyba obsesję na tym punkcie — pomyślał. I jeszcze ta zmiana klimatu... obezwładniający upał — usiłował się usprawiedliwić. Mimo to wspomnienie rozmowy nie dawało mu spokoju.

Na lotnisku kupił miejscową gazetę o dziwnym tytule „14th October“, ale nie mógł się skupić na tyle, żeby ją przeczytać. Czekając na odlot wypił w barze jeszcze dwa martini, pomimo że nic powinien tego robić. Dworzec był dobrze klimatyzowany, toteż kiedy nadszedł pilot, nie odczuwał jeszcze działania alkoholu. Dopiero w dusznym i nagrzanym wnętrzu helikoptera zaopatrującego bazę organizm dał mu poznać skutki lekceważenia zasady nakazującej w krajach tropikalnych picie alkoholu dopiero po zachodzie słońca. Na szczęście helikopter docierał bezpośrednio na miejsce. Brian nie wytrzymałby już jakiegokolwiek jazdy trzęsącym się dziupem. Miało to jednak i minusy: zataczając się wysiadł wprost przed oczekujących na dostawy naukowców. Zbierało mu się na wymioty, kiedy stawał przed każdym, by wymamrotać słowa powitania.

— Wyglądasz nieszczególnie, Brian — powiedziała dr Eastman. — Źle się czujesz?

— Nie spałem ostatniej nocy — skłamał.

— Czyli jak zwykle. Czy ty w ogóle kiedykolwiek śpisz?

Patrzył na nią dłuższą chwilę bezmyślnie.

— Tak — wycedził. — Przypominam sobie, że kiedyś spałem.

Dr Eastman chrząknęła jakby zakłopotana. Brian zaklął w duchu. Zdaje się, że niechcący zrobił aluzję do spędzonej kiedyś wspólnie nocy. Chyba nikt nie zwrócił na to uwagi, ale czuł, że powinien coś powiedzieć. Nie mógł się jedna zdobyć na nic rozsądnego.

— To na pewno skutek zmiany klimatu — powiedział ktoś stojący z tyłu, ktoś inny dorzucił jeszcze jakieś konwencjonalne zdanie i Brian poczuł, że przestają się nim interesować, że może nareszcie zabrać bagaż i powlec się do swego pokoju w baraku.

— Nie ma mowy o żadnych zmianach. Nic na to nie poradzę — powiedział docent Whestler do trójki studentów. — Jeżeli odrabiacie zaległą praktykę, nie możecie liczyć na układanie własnego programu. Kierownik zespołu ustalił, że waszym zadaniem jest sporządzanie planów danego odcinka i jeśli chcecie zaliczyć praktykę, musicie to zrobić.

Keith spojrzął na Briana i rozłożył ręce.

— Beznadziejna sprawa — mruknął. — Co konkretnie mamy narysować? — dodał głośniejszym głosem pod adresem Whestlera.

— Chodzi o odcinek, na którym nie prowadzimy już badań. Dobrze zachowane ruiny, na północ od naszych stanowisk. Dawniej stał tam barak misji katolickiej. Niedawno jednak przeniesiono ją do nowych zabudowań w pobliżu wsi i barak rozebrano. Będziecie tam mieli pełną swobodę. Nie wymagamy, żebyście zrobili rysunki w ostatecznej formie, wystarczą szkice. Rzut obiektu w skali 1:500 będziecie mogli oddać w późniejszym terminie, po powrocie do

kraju. — Whestler zamilkł na chwilę.

— To chyba wszystko, o czym chciałem wam powiedzieć. Jeżeli będą jakieś kłopoty, zwracajcie się do mnie.

Carolyn westchnęła ciężko.

— Kiedy mamy zacząć? — spytała.

— O, nie ma z tym żadnego problemu, kiedy będzie wam wygodnie. Byle się zmieścić w ciągu trzech tygodni.

Zrezygnowani wyszli przed barak.

— Nie zamierzam przez trzy tygodnie mierzyć jakichś gruzów w tym upale — warknął Keith. — Trzeba go było bardziej przycisnąć!

— To czemu nie przycisnąłeś? — powiedziała z przekąsem Carolyn.

— Co miałem mówić, skoro ty zgadzałaś się ze wszystkim?

— Dajcie spokój — wtrącił się Brian. — Nie było szansy, żeby coś zmienić.

— Hej, co ci się stało? Chcesz robić to wszystko?

— Nie, chcę się spokojnie zastanowić, jak tego uniknąć.

— Chyba zwariowałeś. Kto mógłby za nas odwalić całą robotę? To bezna-
dziejne.

— Bez przesady. Słyszałaś, jak Whestler mówił, że był tam jakiś dom? Przed budową wykonano chyba plany...

— Nie dom, ale barak — włączyła się Carolyn. — Jeśli był składany, na pewno nie zrobili planów. Takie coś można ustawić wszędzie.

— Czekać — zapalił się Keith. — Można przecież spróbować. Trzeba iść do misji i zapytać. Może mają narysowany chociaż fragment terenu...



Przyjął ich człowiek, w którym trudno byłoby dopatrzeć sit; duchownego. Twardo wyciosana, zacięta twarz nikła chwilami za zasłoną tytoniowego dymu. Zwalista, potężna sylwetka z trudem zmieściła się w drzwiach, kiedy wprowadził ich do środka. Kiedy tylko usiadli w wielkim, nieźle klimatyzowanym pokoju, Brian zaczął bez wstępów.

— Nasz instytut prowadzi prace archeologiczne o nieco szczególnym profilu. Niestety, okazało się, że konieczne będzie wykonanie dokładnych planów ruin, co może znacznie opóźnić właściwe badania. — Zawiesił głos i spojrzał na misjonarza. Zauważył od samego początku, że jest przez niego obserwowany z dużo większym natężeniem niż wymagałoby tego uprzejme zainteresowanie okazywane mówiącemu.

— Dotarli do nas słuchy — ciągnął — że misja miała tam kiedyś swój budynek i w związku z tym przyszliśmy zapytać, czy w posiadaniu pana znajdują się może plany tego terenu? Niekoniecznie całości, może tylko jakiegoś fragmentu...

Tamten jakby nie dosłyszał pytania. Patrzył ciągle na Briana, nie starając się tego ukryć. Cisza stawała się coraz cięższa. — To dla nas bardzo ważne —

przerwała ją Carolyn. — Byłoby ogromną pomocą...

Ksiądz drgnął, jakby dopiero teraz dotarła do niego treść ich słów.

— Plany, ach tak. To znaczy nie... — płatał się — nie mam żadnych planów. Były tylko zdjęcia lotnicze, na podstawie których... — wstał i zaczął gorączkowo przeszukiwać szuflady biurka. — Nie, nie ma ich w tym pokoju. Przepraszam państwa na chwilę...

— Co mu się stało? — spytała Carolyn, gdy tylko wyszedł. — Nie sądziłam, że to taki dziwny facet.

— To prawda. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który może tak nagle zdenewrować się bez powodu — dodał Keith. — Ciekawe, czemu tak świdrował Briana oczami?

— Pewnie się we mnie zakochał — mruknął Brian. — Siedzicie cicho, może tu są cienkie ściany?

Duchowny wrócił po chwili z plikiem papierów.

— Tu są zdjęcia. Proszę — powiedział. — Naniesiono na nie odpowiednie dane, ale planów na ich podstawie już nie sporządzono.

— Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby zechciał pan nam je pożyczyć na kilka dni... — zaczęła Carolyn słodkim głosem. — Bardzo ułatwiłoby to naszą pracę.

— Oczywiście, proszę bardzo — oczy duchownego żyły teraz niezależnie od reszty organizmu. Nieustannie biegały po całym pomieszczeniu, nie zatrzymując się jednak ani chwili na niczym poza twarzą Briana. — Czy mają państwo na miejscu urządzenia do opracowań fotogrametrycznych?

— Nie. Tutaj zamierzamy je tylko skopiować. Odpowiednie rzuty w skali zrobi się już w kraju. Jeszcze raz bardzo dziękujemy.

Wstali, kolejno podając mu rękę. Przy Brianie duchowny zatrzymał się na chwilę.

— Czy... czy pan miał może brata — jąkał się — który... który był tu kiedyś, to znaczy, był w jakiś sposób związany z tym miejscem?

— Niestety, nie mam żadnego rodzeństwa — odparł Brian. — Czy mogę wiedzieć, czemu pan pyta? Zna pan może kogoś do mnie podobnego?

— Nie, nie... chociaż, właściwie tak — duchowny zmieszał się wyraźnie. — Znałem kiedyś osobę trochę podobną do pana. Ale to było dawno, a podobieństwo jest w sumie niewielkie. Nie ma o czym mówić... Dobrze, że państwo mnie odwiedzili — uśmiechnął się. — Tu jest czasami bardzo nudno. Do widzenia państwu.

— Do zobaczenia. I jeszcze raz dziękujemy za zdjęcia.

Kiedy wyszli, Keith gwizdnął cicho.

— Zdaje się, że praktyka byłaby już z głowy...

— Mhm, mamy cholerne szczęście. Przez kilka dni trzeba będzie udawać, że coś robimy i już za jakiś tydzień czy dwa będzie można się urwać.

Carolyn nie podzielała ich radości. Stała jakiś czas zamyślona, a potem spojrziała na Briana.

— Słuchaj, nie wydaje ci się dziwne zachowanie tego faceta? Sprawiał wrażenie, że jednak ciebie zna. I że jest trochę przestraszony tym spotkaniem.

— Wybacz, ale nie przypominam sobie, żebym miał jakieś znajomości wśród

duchownych. Zresztą na końcu wyjaśnił sprawę.

— Hej, nie rozmawiajcie pod drzwiami — wtrącił Keith. — Chodźcie stąd. Mam ochotę spotkać jakieś miejscowe panienki. O, jedna już idzie — dodał wskazując na dziewczynę z koszem, zbliżającą się od strony wsi. Podeszedł do niej.

— Dzień dobry pani. Czy mogę pomóc w dźwiganiu tych strasznych ciężarów? — zająknął do kosza. Niestety, był pusty.

— Nie rozumieć — powiedziała niewyraźnie dziewczyna i uśmiechnęła się szeroko.

— Co za pech — mruknął Keith. Chciał coś dodać, ale dziewczyna spojrzała na Briana i potknęła się wypuszczając kosz z ręki. Brian schylił się, żeby go podnieść. Dziewczyna odskoczyła z okrzykiem przerażenia.

Siedzieli wieczorem przed jednym z baraków i bez przekonania rozmawiali o jakichś filmach, kiedy ze stanowisk zaczęli wracać miejscowi robotnicy. Jeden z nich mówił o czymś cicho z docentem Whestlerem, a pozostali ustawili się za nim, potakując każdemu zdaniu. Keith i Carolyn nadal szermowali nic nie znaczącymi zwrotami w rodzaju: widziałeś to a to, jak ci się podobało... ciekawa symbolika... brak spięcia dramatycznego... — i tak dalej. Brian zniecierpliwiony milczał, powoli zaciągając się gryzącym dymem camela. Spod oka obserwował grupę robotników i wychwytywał szybkie, ukradkowe spojrzenia, jakimi go obrzucali. Czuł, że coś się wokół niego zaciska, jakiś niewidzialny krąg, którego był ośrodkiem. Nie mógł zrozumieć, dlaczego kilka drobnych, zdawałoby się bez znaczenia faktów sprawia, że atmosfera staje się dla niego coraz bardziej nieprzyjemna. Kilku tubylców wyczuło widocznie na sobie jego wzrok i odwróciło się. Teraz obserwowali się wzajemnie całkiem otwarcie. Trwało to tak długo, że nawet Keith i Carolyn przerwali swoją rozmowę i przyglądali się tej scenie zdziwieni. W zapadłej ciszy słysząc było każde słowo Whestlera.

Brian zagryzł wargi. Błyskawicznym ruchem wyjął z ust niedopałek i rzucił go w kierunku robotników. Cofnęli się z wyraźnym przestraszeniem. Mimo wszystko nie spodziewał się takiej reakcji. Nie mogąc usiedzieć spokojnie, wstał i wszedł do baraku. Słyszał jeszcze, jak Keith powiedział:

— Cholera, o co w tym wszystkim chodzi? Muszę się tego dowiedzieć...

3

— Czy ktoś ci już mówił, że masz zimne oczy? — dr Eastman siedziała nad rozłożonym klimatyzatorem, bezskutecznie starając się zlokalizować uszkodzenie.

— Owszem — mruknął Brian.

— To dziwne, często to co robisz, mówisz, twoje uczucia — odbijają się na twojej twarzy, ale nigdy w oczach. One zawsze pozostają nieruchome i pozbawione wyrazu. Mógłbyś w filmach grać zawodowego biznesmena.

— Skąd wiesz, że nim nie jestem?

— Och, wybacz — podniosła na chwilę oczy znad stołu — ale człowiek, mó-

więc delikatnie, tak niezdecydowany nie mógłby nigdy podjąć jakiegokolwiek konkretnego działania.

Brian wstał i podszedł do okna. Rozchylił trochę żaluzje, jednak ostre słońce drażniło przyzwyczajone do półmroku oczy, więc zasłonił je z powrotem.

— Znalazłaś uszkodzenie?

— Nie. Trzeba to będzie odesłać technikowi. Nie mam pojęcia, co się stało. — Zaczęła składać poszczególne części. — Jak wam idzie z ruinami?

— Jakoś idzie.

— Nie widać, żebyście cokolwiek mierzyli...

— Nie bój się, oddamy wszystkie rysunki w terminie.

— Wiem, że oddacie. Zawsze udaje się wam coś wymyślić.

Wzruszył ramionami.

— Słuchaj, Brian, dlaczego jesteś taki apatyczny? Zachowujesz się, jakby denerwowało cię całe otoczenie...

Popatrzył na nią, szukając jej wzroku, ale stała bokiem, składając klimatyzator.

— Nie wiem. Może po prostu się nudzę, a może... Tak, denerwuje mnie to wszystko.

— Co?

— Wszystko. Wszyscy ludzie. Te rozmowy o niczym, te slogany, dobre na każdą okazję, ten brak treści czy sensu. Wszyscy zachowują się, jakby to była gra, złożona z określonych słów, ruchów i działań, pod którymi nic się nie kryje...

— To nie powód, żeby...

— Tak, wiem. To nie powód! Powiniennem założyć klapki na oczy i iść w zaprzęg równo jak wszyscy... Wiem, że to komunały — powiedział uprzedzając ją — ale sam też czuję się pusty i też. nie stać mnie na nic innego.

— Teraz jesteś po prostu melodramatyczny.

— Zrozum, chciałbym się z tego wyrwać, chciałbym, żeby wszyscy się wyrwali...

Roześmiała się cicho.

— Jesteś wzruszająco naiwny. — Chciała dodać coś jeszcze, ale przerwało jej wejście Keitha.

— Przepraszam, czy mógłbyś, Brian, pozwolić na chwilę? Mam bardzo ważną sprawę.

— Mhm — Brian zrobił przeproszący gest w stronę dr Eastman. Kiwnęła głową.

Przeszli do pokoju Carolyn.

— Dowiedziałem się nareszcie, o co chodzi — powiedział Keith bez wstępów.

— W związku z czym?

— Wiem, dlaczego wszyscy tutejsi zachowują się tak dziwnie w stosunku do ciebie.

— Dziwnie? Nie zauważyłem tego — skłamał Brian.

— Nie żartuj. Musiałbyś być ślepy. Ale przejdźmy do sedna. Wyobraź sobie, że przed paru laty żył w tej wiosce człowiek, który był inny. To znaczy swoim

zachowaniem odbiegał od reszty. Na czym polegała jego odmienność, nie zdołałem się na razie dowiedzieć, to nie jest teraz najważniejsze. W każdym razie głosił potrzebę zmian, chciał, zdaje się, wprowadzić nowe idee...

— Jakie?

— Tego też nie wiem, ale będę wiedział, to tylko kwestia czasu. Na razie musiałem działać bardzo dyskretnie.

— Jaki to ma związek ze mną?

— Zaraz do tego dojdę. Ludność wioski początkowo nie zwracała na niego uwagi, ale później stał się uciążliwy. To konserwatywne prymitywy, wszelkie zmiany, obojętnie w jakim kierunku, są im nie na rękę. Nie mogą i nie chcą przewyciężyć swojego bezruchu. Niechęć stopniowo przerodziła się w otwartą wrogość. Potem zmusili go do odejścia. Może nawet nastąpiło coś gorszego niż wygnanie? Nie wiem. Wydaje mi się jednak, że dręczy ich poczucie winy. Podobno tuż przed odejściem zapowiedział, że jeszcze tu powróci. Ale nie jestem tego pewny, trudno wydobyć z nich coś konkretnego.

— A co ja mam do tego?

— Otóż — Keith zawiesił głos, jakby dla podkreślenia wagi tego, co miał powiedzieć — jesteś w stu procentach podobny do tamtego faceta.

Brian, zaskoczony, milczał przez chwilę.

— Wybacz, ale to niemożliwe. W jaki sposób ja, reprezentujący typowo europejską urodę, mogę być podobny do jakiegoś tubylca?

— N i e wiem. Zdarzają się różne wybryki natury. Może różnicie się odcieniem skóry, włosami czy jakimiś drobnymi szczegółami, ale oni twierdzą, że jesteście identyczni.

Brian uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Jeśli nawet tak jest, to co z tego?

— Właśnie w związku z tym mam pewien plan. Chciałbym trochę postraszyć wieśniaków. Załóżmy, że zacząłbyś momentami udawać tamtego faceta. Ja z Carolyn zbieralibyśmy na jego temat informacje, a ty byś je wykorzystywał.

— W jaki sposób?

— Nie wiem jeszcze. W tej chwili nic mi się nie nasuwa, ale na pewno coś wymyślę. I tak nie ma co robić. To co, zgadzasz się?

— Jak chcesz. Jest mi wszystko jedno. — Powoli odwrócił się i ruszył w stronę swojego pokoju.

— To wielka bzdura — powiedział Brian, kładąc rękę na kłamce.

— Nie przesadzaj, to może być ciekawa zabawa.

— Żeby chociaż wszyscy zrozumieli nasz język.

— Nie bój się, większość rozumie. Zaczynamy?

— Chodźmy — westchnął Brian i pchnął drzwi. Wyszli na plac pomiędzy barakami, na którym Carolyn rozmawiała z grupą robotników.

— Dobrze się spisała — mruknął Keith. — Jest ich dość dużo. Popatrz, ten wysoki to Szeł Joe. Stań blisko niego.

— Dziwne nazwisko.

— Myśmy mu je dali. Jego prawdziwego imienia nie zdołałbyś wymówić.

Podeszli do grupy skupionej wokół Carolyn. Kilku tubylców zerknęło na Briaina, ale jego widok nie wywoływał już w nich takiej reakcji jak na początku.

Rozmowę, która trochę przycichła, Carolyn zrećznie skierowała na umówiony temat.

— Chcemy się jutro wybrać na wycieczkę za pasmo wzgórz. Nikt z nas jeszcze tam nie był. Czy mogliby nas panowie poinformować, czy warto tam iść? SzeF Joe podrapał się w brode.

— U nas wszędzie jest tak samo. Tam, gdzie nie ma pól, gdzie nie ma zieleni i wody, nie ma po co chodzić. Za wzgórzami jest mała dolina...

— Z której wychodzi wąwóz — wpadł mu w słowo Brian. — Wąwóz jest płytki i kręty. Przy jego wylocie znajduje się dziwna skała. Kształtem przypominająca drzewo bez gałęzi lub iglicę...

Kątem oka zauważył, jak SzeF Joe cofa się mimo woli. Mając opuszczoną głowę nie mógł obserwować reszty, żeby nic wzbudzić podejrzeń, ale słyszał ich przyspieszone oddechy.

— Wokół leżą luźne kamienie i glazy, które wyglądają jakby porozrzucił je jakiś olbrzym — kontynuował. — Aż do horyzontu ciągną się łagodne pagórki...

— Hej, Brian — odezwała się Carolyn z udanym zdumieniem. — Skąd możesz wiedzieć, co tam jest? Przecież nigdy tam nie byłeś. Nikt z nas tam nie był...

Brian potrząsnął głową. Uniósł ją powoli, jakby budził się ze snu.

— Plotę bzdury. Oczywiście, że nie mogę wiedzieć, co tam jest, skoro nigdy tam nie byłem. Musiałem zasnąć stojąc — roześmiał się sztucznie.

— Ale tam naprawdę tak jest! — krzyknął SzeF Joe. — Wszystko zgadza się co do słowa.

— To niemożliwe — wtrącił się Keith, z trudem opanowując śmiech.

— Mówię prawdę — głos szefa drgał z przejęcia. — Za wzgórzami jest tak, jak pan opisywał.

Z tłumu rozległy się potakiwania.

— To dziwne — Brian starał się dobrać odpowiedni wyraz twarzy. — Wydawało mi się, że ktoś szepcze mi o tym do ucha. Musiałem majaczyć. A zgodność jest przypadkowa.

— To nic przypadek — wyrwał się ktoś z tłumu, ale go uciszono. Rozległy się liczne szepty w miejscowym języku. Brian powoli masował czoło.

— Czuję się jakoś dziwnie — powiedział szeptem, tak jednak, żeby go wszyscy usłyszeli. — Boli mnie głowa i przed oczami pojawiają się jakieś obrazy...

— Odprowadzę cię do pokoju — powiedziała Carolyn. — Chodź z nami, Keith.

Ruszyli w stronę baraku, zostawiając za sobą milczących, zbitych w kupkę ludzi. Kiedy tylko zamknęli za sobą drzwi, Keith parsknął śmiechem.

— Nie mówiłem? Niezłe się przestraszyli.

— Mógłbyś dowiedzieć się czegoś więcej — Carolyn oparła ramię odrzwi. — Takie rozpoznawanie miejsc, w których się nie było, na długo nie starczy.

— Nie żartuj. I tak dobrze, że zdołałem niepostrzeżenie zwiedzić okolicę. Naprawdę nic mogłem dowiedzieć się niczego więcej.

— Nie wiesz, jakie idee głosił tamten facet?

— Niestety...

— Dowiedz się przynajmniej, co się z nim stało — wtrącił Brian.

— To nie takie łatwe. Nie mogę zapytać wprost, a oni raczej omijają ten temat.

Brian wzruszył ramionami.

— Swoją drogą ciekawe, co mógł im powiedzieć, że tak to w nich tkwi i że się tego boją. Do czego mógł dojść w takiej wiosce...

— Nie przesadzaj, zapewne to jakiś domorosły filozof. Nie bój się, będę wiedział wszystko.

— Miejmy nadzieję. Nie znam tego człowieka, ale zastanawia mnie on coraz bardziej.

— Tak — mruknęła Carolyn. — Musiał mieć jakąś wewnętrzną siłę. On w jakimś sensie ciągle żyje wśród nich i to do tego stopnia, że rozpoznają go w jakimś Europejczyku, który nie może przecież być do niego zupełnie podobny...

Siedział pod małym daszkiem w pobliżu stanowisk archeologicznych i wlewał w siebie colę, czując z każdym łykiem, że żołądek ma już dość, choć reszta organizmu domaga się ciągle nowych porcji. Był wściekły na siebie, że siedział tu beczynn timer, ale nie mógł zmusić się do jakiegokolwiek działania. Od pewnego czasu najmniejsza chwila, której nie potrafił czymkolwiek wypełnić, powodowała, że jego myśli uporczywie krążyły wokół historii sprzed lat, ogniskując się na osobie tamtego człowieka i jego idei. Męczyła go bezcelowa gra, którą prowadził. Czuł, że tubylcy widzą w nim coś, czego nie ma, że tworzą wokół niego atmosferę jakiejś tajemniczości, elektryzującej wiary w posłanie, którego nie był nosicielem... Aon był pusty. Jedyne co mógł zaoferować, to aranżowane przez Keitha dowcipy. Chciał poznać jakkolwiek z idei głoszonych przez tamtego, ale próby, jakie czynił w tym kierunku, zawiodły na całej linii. Co z tego, że był w tych samych miejscach, wśród tych samych ludzi, skoro nie wiedział najważniejszego. Powtarzał sobie wielokrotnie, że tamte idee i tak muszą być wsteczne w stosunku do jego poziomu, ale nie gasiło to ciekawości i nie przynosiło spokoju. Odpychał te myśli do siebie, ale powracały nieustannie, męcząc go coraz bardziej.

Otarł pot z czoła i sięgnął po butelkę. Była próżna. Właśnie zastanawiał się, czy otworzyć następną, kiedy nadszedł Keith.

— Chodź, Brian. Przy stanowiskach archeologicznych jest ta dziewczyna, o której mówiłem. Nie odzywaj się, dopóki ci jej nie pokażę, a potem wal według planu.

Brian podniósł się niechętnie i ociężale ruszył za Keithem.

— Dowiedziałeś się chociaż, co łączyło ją z tamtym facetem?

— Niestety nie. Jestem jednak pewny, że w jakiś sposób była mu bliska. Ale przecież umówiliśmy się, że nie powiesz nic konkretnego.

Doszli do płytkich wykopów, wokół których kręcili się ludzie. Zmierzali ku największej grupie, gdzie stała Carolyn. Brian skrzywił się, kiedy zobaczył wśród nich kilku pracowników instytutu. Keith przechodząc obok jednej z dziewczyn zrobił dyskretny znak. Potem szepnął Carolyn, że może już zaczynać. Ta prowadziła jeszcze przez chwilę poprzednią rozmowę, a potem odwróciła się do Briana.

— Jak się dzisiaj czujesz? — spytała z trochę wymuszonym uśmiechem. Nie

była dobrą aktorką. — Czy ciągle męczą cię jakieś wizje?

Brian, czując na sobie spojrzenia tubylców, przybrał beztroski wyraz twarzy.

— Nie, wszystko jest w porządku. — Przez chwilę prowadzili uspokajającą rozmowę o poprzednich zajściach, podczas której Brian niby przypadkiem przyglądał się tubylcom. Kiedy Carolyn zadała kolejne pytanie, spojrzął na dziewczynę wskazaną przez Keitha i zrobił zaskoczona minę.

— Co ci się stało? Dlaczego nie odpowiadasz? — trochę za szybko spytała Carolyn.

— Nie wiem, czy to możliwe, ale wydaje mi się, że skądś panią znam — zwrócił się do dziewczyny.

W tłumie rozległ się szmer. Dziewczyna stała nieruchomo. Patrzyła Brianowi w oczy.

— Wydaje ci się, Brian — powiedziała Carolyn. — Gdzie moglibyście się spotkać?

Brian nagle zapomniał, co miał teraz powiedzieć. Dłuższą chwilę stał, usiłując sobie przypomnieć, w końcu zaimprovizował coś niezbyt przekonującego. Narzucona rola zaczęła mu ciążyć coraz bardziej. Dlaczego ta dziewczyna nic nie mówi? — myślał. — Zdaje się pytać, czy mam coś do zaproponowania... Ona wie, że ja udaję. Wie, że choć przybywam z „wielkiego świata“, nie potrafię nawet zewnątrznie zastąpić tamtego człowieka. Dlaczego nic nie mówi? Tak po prostu przejrzała naszą grę? Wie, że nie stać nas na nic innego poza grą, poza czysto automatycznym wypowiedaniem słów, realizacją narzuconych celów?

— Ona nie rozumie waszego języka — powiedział Szeł Joe.

Keith aż się zakrztusił, ale Brian poczuł ulgę. Rozejrzał się dookoła. Mimo że powinna trwać jeszcze przerwa, ludzie milcząc wracali do pracy. Kobiety ruszyły w kierunku wioski.

— Czy ktoś już wam mówił, że się do niczego nie nadajecie?! — wybuchnęła Carolyn. — Jeden zapomina, co ma mówić, a drugi nie potrafi się nawet zorientować...

— Daj spokój — Keith zdenerwowany machnął ręką. — Następnym razem wymyślimy coś lepszego.

— Ciekawe, co wymyślisz?

— Wieczorem pójdę do tego duchownego oddać... — Keith spojrzął na stojącego obok Whestlera i urwał w pół zdania. — Dowiem się przy okazji więcej szczegółów. On powinien coś wiedzieć na ten temat.

— Nie da się ukryć, że zepsuliście najlepszą scenę!

— Nie przesadzajcie — wtrącił się Whestler. — Przestraszyliście ich chyba nieźle. Chciałbym jednak, żebyście ograniczyli swoje występy. Nie wiadomo, do czego mogą doprowadzić, a nie chciałbym zostać bez robotników.

— Co robimy? — spytała Carolyn po odejściu Whestlera.

— Kontynuujemy! — warknął Keith.

— A Whestler?

— Co on nam może zrobić? Brian, pójdziesz ze mną do misji?

— Nie, mam coś do załatwienia w baraku. — Odwrócił się i powłókł z powrotem. Chciał pomyśleć o tym, co się stało.

Leżał w ciemnym, zadymionym pokoju, daremnie usiłując zrozumieć, dlaczego tak przejmują go ta sytuacja, kiedy ktoś gwałtownie otworzył drzwi.

— Nie śpisz jeszcze, Brian? — to był Keith.

— Jak widzisz.

— Byłem u naszego duchownego — zapalił światło i rozparł się w fotelu. — Dowiedziałem się...

— Wiesz, o co chodziło temu facetowi?! — poderwał się Brian.

— Nie. Nikt z misji nie ma o tym pojęcia. Przynajmniej tak twierdzą. Ale za to dowiedziałem się czegoś innego... — tu dramatycznie zawiesił głos.

— Przestań cedzić — warknął Brian.

Keith uśmiechnął się lekko i odchylił w fotelu.

— Och, nic takiego, a przynajmniej nic konkretnego — kłamał. — Po prostu parę informacji trochę związanych z tą skałą, która wznosi się nad wykopaliskami. Przyjdź tam jutro rano. Do tego czasu wymyślę jakąś scenę i rano ją przećwiczymy.

— Nie mam ochoty.

Keith spojrzał na niego zdziwiony.

— Co ci się stało?

— Nic. Po prostu znudziły mnie te dowcipy.

— Nie wygłupiaj się. Idź spać, a rano wstaniesz w lepszym humorze.

Brian odwrócił się do ściany.

— Zgaś światło, jak będziesz wychodził — mruknął. Zapalił papierosa.

Męczyła go własna bezsilność, niemożność wnikięcia w świat idei tamtego człowieka. Ze skąpych półsłówki i pewnych niedopowiedzeń tubylców wiedział tylko, że tamten chciał przełamać bezruch wioskowej mikrospołeczności, głosił potrzebę zajęcia się czymś więcej niż codzienne bytowanie... Ale czym? Jaka mogła być idea tak brutalnie odtrącona przez tubylców? A może odtrącali oni wszystko co nowe, każdą działalność burzącą dotychczasowe formy? Nie wiedział, dlaczego nie może posunąć się ani o krok w kierunku rozwiązania tego problemu. Czyżby dlatego, że sam nie mógł znaleźć żadnej idei, ani w sobie, ani w swoim otoczeniu? Że wszystko wokół niego zostało dawno przygotowane, przeżute i podane w formie obowiązującej normy, nie wymagającej od niego żadnego poszukiwania, żadnego dążenia? Przyjął wszystko, co mu podano, uznał to za wystarczające i nie chciał iść dalej. Może odczuwał potrzebę posiadania czegoś więcej, czegoś, co dałoby mu poczucie więzi z innymi ludźmi, dało nowy bodziec, mogący go wyrwać z dotychczasowego stanu... Nigdy jednak nie starał się tego przeanalizować. Zdenerwowany wyrzucił niedopałek i przewrócił się na drugi bok. Ale sen nie przychodził.

Rano ledwie zwał się z łóżka. Bolały go wszystkie mięśnie, w głowie miał wate, wypierającą nawet natrętne myśli, które nie pozwoliły mu zasnąć. Nie był jednak senny. Sądząc po trzęsących się przy goleniu rękach był raczej zdenerwowany. Zamknął kran i włożył ciemne okulary, żeby ukryć sińce pod oczami. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie sprzątnąć, chociaż pobieżnie, niedopałków zaścielających podłogę, ale zrezygnował i wyszedł na zewnątrz.

Wokół nie było nikogo. Szedł wolno w palącym słońcu, mijając puste baraki, nieruchome samochody i wreszcie górujące nad wszystkim ruiny. Jego miarowy krok odbijał się głuchym echem od nadkruszonych murów, rozsypujących się wież i porośniętych skąpą roślinnością gruzowisk. Lekki wiatr ustał zupełnie, toteż kiedy doszedł do stanowisk archeologicznych, był już mokry od potu. O tej porze nie zastał jeszcze robotników. Minał tylko kilku naukowców, przeglądających jakieś papiery pod płóciennym daszkiem.

Na skale nad stanowiskami archeologicznymi oprócz Keitha i Carolyn była jeszcze dr Eastman i kilku młodszych pracowników, którzy robili stąd zdjęcia. Na szczęście plateau było dość rozległe i nie przeszkadzali sobie wzajemnie. Carolyn usiadła nad samym urwiskiem, trzymając na kolanach spore radio, z którego sączył się jakiś stary przebój. Atmosfera była senna i jakby nierealna.

— Coś Brian się spóźnia — zauważyła Carolyn. — Nie wiesz, czy w ogóle zamierza przyjść?

— Już idzie — mruknął Keith wskazując mały, poruszający się punkt koło baraków.

Carolyn wzruszyła ramionami. — Może wreszcie przestaniesz być taki tajemniczy i powiesz, czego dowiedziałeś się w misji?

Keith milczał przez chwilę.

— Oni go zabili — mruknął.

— Kogo?

— Tego człowieka, którego udaje Brian. Został zrzucony albo zepchnięty z tej skały.

— Ale dlaczego?

— Trudno dokładnie powiedzieć. Prawdopodobnie doszło do kłótni czy czegoś w tym rodzaju. Dość, że chcący czy niechcący zepchnęli go na dół. Może był to przypadek...

— Nikogo przypadkiem nie wnosi się na skałę i nie zrzuca na dół!

— Ach, nie! Ci ludzie zebrali się wcześniej. Jest wystarczająco dużo miejsca i dostatecznie łatwe podejście, żeby mogła zgromadzić się tu co najmniej połowa wioski. W wersji duchownego odprawiano wtedy jakieś pogańskie obrzędy, ale nie bardzo w to wierzę. Misjonarze zawsze są przewrażliwieni na tym punkcie. Faktem jest, że ksiądz znalazł na dole faceta, podczas gdy na górze stali nieruchomo ludzie z wioski. Starał się go ratować, jakoś opatrzyć czy przewieźć do szpitala, ale w zasadzie nie było co zbierać. Zmarł na rękach, kiedy usiłował go przenieść do budynku misji.

— Mówiłeś o tym Brianowi?

— Nie.

— A zamierzasz mu powiedzieć?

— Nie. Nie powiem. Po co go denerwować? Ostatnio dzieje się z nim coś dziwnego, nie chcę go przestraszyć. Rozegramy to inaczej. Zamierzam...

— Cicho, idzie!

Keith odwrócił się w kierunku ścieżki.

— Cześć, Brian. Nie wyspałeś się? Wyglądasz, jakbyś był wściekły na cały świat. Wymyśliłem świetną scenę, zaraz ją przećwiczymy.

— Wątpię, żeby się udało... — włączyła się Carolyn. — Niby jak zamierzasz

ściągnąć tubylców?

— Sami przyjdą. Pierwsza część rozegra się na dole. Brian uda, że przypomina sobie, że jest tamtym i powie, że coś go ciągnie do tej skały...

— Nie będę niczego udawał! — przerwał gwałtownie Brian.

— Co?

— Nie mam już ochoty na wasze pomysły! — z trudem panował nad sobą.

— Dlaczego? O co ci chodzi? Przecież to tylko żart.

— Właśnie! — krzyknął Brian. — Tylko żart! Tylko gra! Jeżeli już czymś się zainteresujecie, to tylko na zasadzie gry. Nie macie ochoty dotrzeć do sensu tego, co tu zaszło...

— Znowu ma zły humor — wtrąciła dr Eastman. — Lepiej dajcie mu spokój. Keith nie zwrócił na nią uwagi.

— W czym mamy szukać sensu? Po co to wszystko analizować? Życie nie składa się z samych problemów, można chyba czasem pozartować?

— Nic was nie obchodzi! — wybuchnął Brian. — Uważacie tutejszą społeczność za wyrosłą z ciemnoty ostoję prymitywizmu, nie tylko wystrzegającą się wszelkich zmian, ale wprost do tego niezdolną. Ale nie dostrzegacie już tego, że wy sami też nie jesteście zdolni do żadnej głębszej przemiany. Z tym, że u was wypływa to ze „światłego” przekonania, że to, co osiągnęliście, jest najwyższe, najlepsze. Idziecie powolutku swoją utartą drogą i sądźcie, że to upoważnia was już do ignorowania wszystkiego innego...

— Czemu tak krzyczysz? Uważaj, zaraz spadniesz z tej skały — powiedziała dr Eastman. — Macie może coś na uspokojenie? — odwróciła się w kierunku techników.

— Jest w apteczce na dole. Zaraz przyniosę. — Ktoś rzucił się biegiem na dół.

— Nie trzeba — powiedziała spokojnie Carolyn. — On tylko udaje. Przecież to wszystko jest takie sztuczne.

— Mówię prawdę! — krzyczał Brian. — Czy nie uważacie, że już od dawna nie pojawiło się nic, co mogłoby być nową siłą skupiającą ludzi? Wszystko staje się coraz bardziej puste. Stare zużyte idee nikogo nie porywają. Brak nam czegoś nowego, idei silniejszej od pragmatyzmu!

— On zaraz spadnie! Przytrzymajcie go!

Brian cofnął się na sam skraj urwiska.

— Zostawcie mnie! Czemu nie chcecie mnie wysłuchać?

Kątem oka zauważył, że ktoś stara się go podejść z boku. Cofnął się jeszcze bardziej.

— Uważaj, bo spadniesz!

— Bez przesady — Carolyn, która od początku nie zmieniła pozycji, teraz położyła radio obok i rozciągnęła się na nagrzaną skałę. — Brian po prostu prowadzi grę na własny rachunek.

— To nie jest gra!

— Skąd mamy wiedzieć, że nie żartujesz? — wycedził Keith. Brian zerwał okulary. Zanim oślepiło go słońce, zdołał jeszcze zauważyć, jak dr Eastman drgnęła i odruchowo zrobiła krok do tyłu. Podniósł rękę do oczu. Jednocześnie jeden z techników doskoczył i złapał go za nadgarstek.

— Mam go! — krzyknął.

Keith chwycił Briana w pól i wspólnie z technikiem odciągnął od urwiska. Wtedy rzucili się pozostali, począł się szarpać.

Rozległ się tupot kroków i głos.

— Jest już apteczka.

Podwinęto mu rękaw i zrobiono zastrzyk. Głosy zaczęły do niego docierać jak przez mgłę. Nie mógł rozpoznać, kto mówi.

— Trzeba zawołać lekarza, może to udar słoneczny?

— A skąd! Trzeba go odesłać do Europy. To coś poważniejszego.

— Przestańcie. Na pewno trzeba odesłać, ale najpierw znieśmy go na dół.

Głosy zaczęły zlewać się z szumem na nowo obudzonego wiatru i z cichym szmerem radia. Brian powoli zasypiał.

Skądś jednak, zupełnie wyraźnie, pojawiły się słowa: „Ci przynajmniej nie zrzucili mnie ze skały”. — Nie wiedział już, czy przyszedł z zewnątrz, czy była to jego własna myśl.

Twarze

Leżałem nieruchomo na twardej, krótko przystrzyżonej trawie, wsłuchując się w monotonne brzęczenie owadów krążących wokół mojej głowy. Nie otwierałem oczu. Lubiłem tak trwać, wydawało mi się wtedy, że zawieszony jestem w ogromnej przestrzeni, przestrzeni większej do świata. Śmieszne, ale tak właśnie myślałem. Pamięć, a może wyobraźnia, podsuwała obrazy niesamowite, a zarazem piękne. Mimo zamkniętych oczu widziałem rzeczy niewyobrażalnie wielkie, ruchome lub statyczne, pulsujące harmonią barw i kształtów i wypełniające swą wyrazistością, głęboko kontrastową formą całą moją świadomość. Nie potrafiłem ich nazwać ani zrozumieć. Gdzieś w najgłębszych pokładach pamięci kryło się niejasne wspomnienie, że kiedyś wiedziałem, co znaczą te obrazy, że były częścią mnie, integralnym elementem mojego życia. Kiedy jednak starałem się przypomnieć sobie coś konkretnego, myśli natychmiast zbaczały z wyznaczonych przeze mnie ścieżek, a wspomnienia zamiast ucieleśniać się, pierzchały w coraz głębsze mroki podświadomości. Wtedy pozostawał tylko powrót do realnego świata, do jego normalnych kształtów i ciasnych granic. Otworzyłem oczy. Słońce przesuwano się powoli po swym torze, powodując ociężały ruch niewyraźnych na trawiastym podłożu cieni. Z dołu, od strony Ściany Zachodniej zbliżał się Id. Za nim jak zwykle szła Ida, naśladując go we wszystkim co czynił. Już z daleka machali rękami.

— Chodź, dziś posiłek będzie wcześniej — zawołał Id.

— Chodź szybko, dzisiaj wcześniej jemy — powtórzyła Ida. Nigdy nie naśladowała go dosłownie, zawsze zmieniała wyraz lub dodawała coś od siebie. Zatrzymali się czekając, aż wstanę i zejść do nich. Dopiero z bliska zauważyłem, jak bardzo byli podnieceni. Mieli błyszczące oczy i szybkie, niespokojne ruchy ludzi, których bardzo absorbuje jakieś wydarzenie. Ich nastrój szybko mi się udzielił, choć, o ile dobrze pamiętam, zmiana pory posiłku zdarzała się często. Nie mogłem sobie dokładnie przypomnieć — jak zawsze, gdy chciałem skoncentrować myśli, osiągałem skutek odwrotny — ale chyba każdego dnia Mil albo Nora przyśpieszali lub opóźniali nieco godzinę posiłku i niezmiennie wywoływało to wśród pozostałych poruszenie. Nie zastanawiałem się nad tym, wszyscy tak robili.

Szybkim krokiem ruszyliśmy w kierunku Ściany Południowej. Tamtędy wiodła najkrótsza droga na dół. Trudno było iść po stromym zboczu. Na szczęście nie trwało to długo, pochyłość zaraz się skończyła, ustępując miejsca wielkiej płaszczyźnie, ciągnącej się aż do ledwie majaczącej w oddali Zachod-

niej Ściany. Posuwając się wzdłuż Ściany Południowej, dotarliśmy do Otworu. To miejsce zawsze przejmowało mnie dziwnym niepokojem. Ilekroć szedłem tą drogą, co zdarzało się dość rzadko — nikt z nas nie chodził tędy bez wyraźnej potrzeby — nigdy nie mogłem opanować uczucia lęku. Starłem się nie przechodzić tędy w pojedynkę, a kiedy to się zdarzyło, automatycznie przyspieszałem kroku, czasami wręcz przebiegałem koło Otworu. Teraz też szliśmy szybko, kiedy tylko zbliżyliśmy się dostatecznie, odwróciłem głowę. Nie wiem, co mnie ciągnęło, by choć raz spojrzeć w stronę Otworu, ale było to pragnienie przykre, jakbym walczył ze sobą, ze swoimi nerwami i wolą. Wkładałem w to sporo wysiłku i tylko obecność towarzyszy powstrzymywała mnie od przebiegnięcia tego odcinka drogi. Spojrzałem na Ida. Szedł całkowicie ignorując istnienie Otworu. Nie był ani trochę zdenerwowany. Nie wiem, co odczuwał, ale ani razu nie spojrzął w stronę Ściany Południowej. W miejscu, gdzie ścieżka skręcała tak, że człowiek patrzący przed siebie musiał spojrzeć w Otwór, spuścił oczy. Zrobiłem to samo. Coś przyczało się w moim umyśle sygnalizując swoją obecność, ale nie dając się zlokalizować ani pojąć. Jakieś nikłe podświadome skojarzenie, bliskie i jednoznaczne, a jednocześnie nieosiągalne, umykające tym dalej, im bardziej chciałem je zatrzymać. Nie mogłem zrozumieć powodu mojego podniecenia — przecież wszyscy są spokojni. „Wszyscy są spokojni” — ta myśl przyniosła mi trochę ulgi. Nie przestałem od razu o tym myśleć, pozostało męczące uczucie wymykającego się rozwiązania właśnie w chwili, gdy sądziłem, że do niego dochodzę lub je sobie przypominam.

Usłyszeliśmy wołanie, znak, że nasze schronienie było już blisko. Wołał Mil, jak zawsze niecierpliwiał się. Był najstarszy z nas i rościł sobie pretensje, by dostawać większe porcje. Nikt nigdy się na to nie zgodził, i to nie z braku jedzenia, jakoś nikt nie chciał pierwszy oddać części swojej porcji, każdy oczekiwał na inicjatywę innych i tak sprawa była odkładana z dnia na dzień, bez nadziei na zmianę.

— Trzeba tego starucha wreszcie uciszyć — powiedział Id, kiedy dochodziliśmy do domu — jak nie przestanie wyc, kiedyś zedrze sobie gardło...

— Trzeba Mila uciszyć — wpadła mu w słowo Ida — jak nie...

— Przestań! — krzyknęła Nora, stała w drzwiach i nerwowo mięła w dłoniach połę swojej kurtki. Ida zawsze ją denerwowała, myślę, że po prostu nie mogła znieść obecności drugiej kobiety, dlatego nienawidziła Idy i starała się na każdym kroku podkreślić swoją wyższość. Teraz też uśmiechała się zwycięsko, widząc jak Ida bezwolnie podporządkowuje się jej rozkazowi.

— Jesteś jak automat — mówiła — człowiek zupełnie pozbawiony osobowości...

— Co to jest automat? — przerwałem.

Nora jakby zeszywniała. Przestała mówić i popatrzyła na mnie z przestraszeniem. Nie rezygnowałem:

— Co to jest osobowość?

Teraz i Id spojrzął na mnie ze zdziwieniem. Zapanowała pełna napięcia cisza. Nie wiedziałem, co takiego zrobiłem, że wszyscy patrzyli na mnie bez słowa. Nawet Mil przyczłapał na próg i wytrzeszczał oczy. Zrobiło mi się gorąco.

— Może... może wej... — z wyschniętego gardła z trudem wydobywałem słowa. Nie rozumiałem, co się stało, wiedziałem tylko jedno, ci ludzie byli zaniepokojeni i ich nastrój udzielał mi się bardzo szybko. Chciałem odgarnąć włosy z czoła, ale drżącą ręką tylko je zburzyłem. Pierwszy odezwał się Id.

— Wejdzmy, nie powinniśmy stać tutaj — ruszył w stronę drzwi. Mil i Nora musieli cofnąć się do środka, aby zrobić mu miejsce. Stałem nadal nieruchomo i wszedłem dopiero wtedy, gdy Id już z głębi domu mnie zawołał. Napięta atmosfera nie została jednak rozładowana. Podczas kiedy Nora rozpakowywała paczki, wyjmując z nich małe puszki i pakiety i dzieląc je na równe części, można było wyczuć dziwną nerwowość, jakby każdy oczekiwał na wydarzenie, które jeszcze nie nadeszło, ale które miało nieuchronnie nastąpić. Podczas posiłku nie padło ani jedno słowo i chociaż wszyscy starali się zachowywać naturalnie, coś wisiało w powietrzu, zdawało się, że nieodwołalnie musi nastąpić przesilenie, jakiś punkt kulminacyjny, a po nim rozwiązanie. Nic się jednak nie stało.

Po jedzeniu Nora zaczęła zmywać naczynia. Nikt tym razem nie zadeklarował swojej pomocy. Milczenie ciążyło mi nieznośnie. Aby je przerwać, zacząłem rozmowę, była jak zwykle błaża, gra słów raczej niż prawdziwe porozumienie między ludźmi, ale rozmawialiśmy tak zawsze, od wielu, wielu lat. Poprzednie napięcie trochę spadło, ale nadal utrzymywała się atmosfera nieufności i oczekiwania. Dopiero, teraz udało mi się uchwycić ulotną myśl, która od dość dawna krążyła w mojej podświadomości. W ułamku sekundy zrozumiałem, że oni czekali na coś, co ja zrobię. Coś zacząłem lub zapowiedziałem i teraz spodziewali się zakończenia. Tylko to mogły znaczyć te ukradkowe spojrzenia, zdania przerywane w pół słowa na mój najmniejszy ruch. Nie wiedziałem czego po mnie oczekują. Wstałem i nie zważając na pytania kryjące się w ich oczach, po starych, rdzewiejących schodach wszedłem na górę. Długo nie mogłem się uspokoić. Krążyłem po płataninie korytarzy na piętrze, bezskutecznie usiłując przypomnieć sobie, czym ich tak poruszyłem. Znowu, kiedy tylko byłem blisko rozwiązania, lub przynajmniej tak mi się wydawało, umykało mi ono, zostawiając jeszcze większą pustkę niż poprzednio. Wzniesany moimi krokami pył, zmieszany z opadłą ze ścian rdzą i resztkami łuszczącej się farby, tworzył coraz gęstszy chmurę, wirującą tym szybciej, im gwałtowniej przemierzałem labirynt korytarzy. Przy otwieraniu drzwi ze ścian i sufitów odpadały ostatnie kawałki okładziny i lakieru, ukazując starą, skorodowaną stal. Dlaczego stal? Przecież domów nie buduje się z żelaza. To było olśnienie — nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy się tego dowiedziałem. Przecież na świecie był tylko ten jeden, ale pamięć uparcie podsuwała: „domy nie są z żelaza“. Dlaczego ten jest wyjątkowy? Nie umiałem znaleźć na to odpowiedzi, ale przypominałem sobie, co tak bardzo poruszyło ludzi przed posiłkiem. To było pytanie. Teraz już wiedziałem — zapytałem o coś Nore, stojąc przed domem. To było pierwsze pytanie, jakie tutaj padło. Nigdy przedtem, nawet wtedy, kiedy nie było Ida, ani nawet jeszcze wcześniej, kiedy byłem sam, nigdy nie zadałem żadnego pytania. Tylko dlaczego to tak poruszyło... Złapałem się na tym, że od tamtego momentu ciągle coś mnie interesuje, ciągle stawiam sobie nowe problemy, czego przedtem nie było. Wyobrażnia czy pamięć z coraz większą siłą przywoływały odległe

obrazy, których znaczenia nie mogłem uchwycić, ale mogłem już skoncentrować na nich uwagę. Widziałem miejsca, które nie istniały, twarze ludzi, których nie mogłem znać, ponieważ nigdy nie było ich na świecie. Świat można było ogarnąć spojrzeniem, jeśli tylko wyszło się na dach naszego domu: od Ściany Północnej do Południowej, od Wschodniej do Zachodniej, od sklepienia do ziemi — był pusty, całkowicie jałowy i pozbawiony wyrazu. Skąd więc pochodziły wszystkie obrazy, wypływające z mojej pamięci? Wstrząsnęło mną to odkrycie. Z trudem, na chwiejących się nogach dotarłem do swojego pokoju. Z ulgą rzuciłem się na koję pokrytą wyblakłym, plastikowym materacem i zapadłem w płytki, graniczący z jawą sen.

Obudziłem się późnym wieczorem. Słońce docierało powoli do końca swojej drogi, wzbudzając coraz słabsze refleksy w brudnej i porysowanej tafli okiennego plastyku. Oburącz przetarłem oczy. Wiedziałem, czego ode mnie oczekują, a raczej czego sam chcę od siebie. Muszę przejść przez Otwór. Wiedziałem to na pewno. Powodowany nagłym impulsem zerwałem się z koi. Nie bacząc na wywoływany hałas przeskakiwałem po kilka stopni żelaznych schodów i wypadłem z domu. Mimo pogłębiającego się mroku szybko dotarłem do Ściany Południowej. Otwór nie znajdował się daleko. Już po chwili zobaczyłem jasne obrzeże, odcinające się od głębokiej czerni otaczającej go płaszczyzny. Automatycznie zwolniłem, nigdy nie byłem tu po zmroku — dopiero teraz zauważyłem, że sączy się z niego nikły blask. Światło spoza świata. Czyżby świat był większy niż dotychczas go sobie wyobrażałem? Otwór był już całkiem blisko, odruchowo spuściłem głowę i przymrużyłem oczy. Znowu zaczęły mną targać wątpliwości. Ostatnie kroki przebyłem prawie po omacku. Zatrzymałem się. Nie byłem w stanie unieść głowy ani otworzyć oczu. To, co zamierzałem uczynić, nie mieściło się w ramach dotychczasowej rzeczywistości, nikt tego przedtem nie zrobił, nikt o tym nie pomyślał, ale wiedziałem, że stało się coś nieodwracalnego i prędzej czy później będę musiał przejść granicę świata. Po prostu sam się do tego zmuszę. Zrobiłem niepewnie krok do przodu, potem jeszcze jeden i jeszcze, już miałem otworzyć oczy, kiedy potrącona gałąź uderzyła mnie w twarz, zostawiając szeroki ślad na policzku. Zerwało to tamy od dawna kumulującego się strachu i niepewności. Odwróciłem się i zacząłem uciekać. Biegłem na oślep, nie zważając na zatrzymujące mnie drzewa i zarośla, obijałem się o pnie, zataczałem, potykałem o skołtunione krzewy, które jak kłębowiska węzów oplątywały moje nogi, starając się je zatrzymać i wchłonąć. Wreszcie zaczęłam o jakiś korzeń i upadłem. Zaczęłam drapać palcami podłoże z dławiającą bezsilnością i rozpaczą. Cała moja wściekłość obróciła się teraz na rozoraną ziemię. Nie zważając na ból łamanych poznokci, zapamiętałam darłem i rozdrapywałam powiększającą się dziurę. Nagle dłonie natrafiły na coś śliskiego. Odgarnąłem jeszcze trochę ziemi. Ukazała się gładka i czysta mimo lepkości otaczającej ją gleby powierzchnia. Zastygłem w bezruchu. Cały poprzedni nastrój, rozpacz, strach i bezsilność gdzieś zniknęły. Przeciagnałem palcami po gładkim materiale, zmarszczył się, musiał być bardzo cienki. Powiększyłem otwór. Chwyciłem jedną z fałd materii i rozerwałem zębami. Kiedy tylko ustąpiła w jednym miejscu, straciła swe napięcie. Z łatwością rozdarłem ją na większej powierzchni. Ukazała się

porowata, jakby wyżarta kwasami stal, z resztkami fosforyzującego w ciemności napisu:

SEKCJA B — POKŁAD RUFOWY — ŚLUZA AWARYJNA — JEŻELI NIE PALI SIĘ CZERWONE ŚWIATŁO CIĄGNAĆ.

To ostatnie odnosiło się chyba do oznaczonego jaskrawą farbą uchwytu. Zacząłem go obracać w różne strony i ciągnąć, dopiero po jakimś czasie rozległ się cichy szcęk i kłapa odskoczyła. Nie otworzyła się jednak całkiem, tylko uniosła kilka centymetrów, ukazując swój zarys tam, gdzie była jeszcze przykryta ziemią. Na fragmencie wysuniętego obrzeża widniał napis:

PRZESUNĄĆ WZDŁUŻ OSI — ZABEZPIECZYĆ SYSTEM

Odgarnąłem trochę ziemi i pchnąłem kłapę. Obróciła się bardzo łatwo, odsłaniając głęboki szyb, nierównomiernie oświetlony rzędem lampek. Na dół prowadziła drabinka z przymocowanych do ściany klamer. Zły na siebie, z determinacją zacząłem schodzić. Dopiero teraz zauważyłem powód słabego oświetlenia szybu, większość lampek była wygaszona. Im głębiej schodziłem, tym większa ogarniała mnie pewność, że już tu kiedyś byłem, że znam, i to nie przypadkiem, rozkład pomieszczeń, obsługę znajdujących się tu urządzeń. Skąd? Tego nie potrafiłem jeszcze wyjaśnić, ale pewność ta ugruntowała się, kiedy stanąłem na dolnym podeście, przed zamkniętymi drzwiami, z jarzącymi się na ich powierzchni wieloma napisami:

UWAGA — POMIESZCZENIA PRÓŻNIOWE — JEŻELI NIE PALI SIĘ CZERWONE ŚWIATŁO — POBRAĆ KARTĘ KOREKCYJNĄ I SKREŚLAĆ NA NIEJ KOLEJNE CZYNNOSCI — PO WYPEŁNIENIU FORMULARZA ZGŁOSIĆ...

Przerwałem studiowanie napisów, przecież wiedziałem, co należy robić. Zdecydowanym ruchem zerwałem ukrytą we wnęce ściany plombę, pchnąłem żółto-czarną dźwignię do góry. Wszystkie napisy znikły, na ich miejscu pojawił się tylko jeden, pulsujący raz żółtą, raz czerwoną barwą:

BLOKADA URZĄDZEŃ AUTOMATYCZNYCH — POSTĘPOWANIE AWARYJNE.

Jednocześnie nie wiadomo skąd rozległo się niezbyt głośne pojękiwanie sygnału alarmowego. Chwyciłem oburącz trójramienne pokrętło umieszczone na osi drzwi. Napałem z całych sił, opór powoli się zmniejszał, ramiona obrotnicy wirowały coraz prędzej, aż rozległ się cichy syk powietrza wyrównującego ciśnienie w obu komorach. Drzwi otworzyły się swobodnie. Ujrzałem małe pomieszczenie z panującym w nim nieopisanym bałaganem. Na podłodze leżały w nieładzie skafandry, wybebeszone plecaki próżniowe z walającym się obok ekwipunkiem, porozrzucane i splątane ze sobą kable, linki asekuracyjne i przewody. W pustych szafkach na skafandry widać było butle tlenowe z rozkręconymi do maksimum zaworami. Przypomniałem sobie, kiedy byłem tu po raz ostatni. Jak przez mgłę widziałem postacie ludzkie pośpiesznie naciągające skafandry, rozdygotanymi rękoma usiłujące rozplątać przewody i pasy ekwipunku. Ktoś bezskutecznie szarpał dźwignię zewnętrznej kłapy, ktoś inny rozpylał neutralizator przeciwpromienny, odkręcał zawory zapasowych butli...

Wszystko to drgało i pulsowało w rytmicznym migotaniu świateł alarmo-

wych, informujących o skażeniu... Ale było to bardzo dawno, wiele lat upłynęło od tej chwili. Nie mogłem przypomnieć sobie, co działo się potem... Musiałem chyba stracić pamięć. Tak, na pewno tak się stało. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, co robiłem na tym statku kosmicznym, skąd się na nim wzięłem? Odwróciłem się niezdecydowany, mój wzrok padł na szczeble drabinki prowadzącej do góry. Skojarzyło mi się to ze światem na powierzchni. Kto go stworzył? Na statku nie było przecież tak dużego pomieszczenia. Nie umiałem na to odpowiedzieć. Wszedłem w głąb śluzy, przewracając nogami sterty niepotrzebnych przedmiotów, coś boleśnie uderzyło mnie w palce. Schyliłem się. Był to rewolwer z przesadnie dużą kolbą i językiem spustowym, przystosowany do grubych rękawic skafandra próżniowego. Przez chwilę ważyłem go w rękę, bezmyślnie wpatrując się w wyryte na nim znaki: R.MOD. 97/18447 Kai. 7,62, potem sprawdziłem magazynek — był pełny. Jeszcze raz spojrziałem dookoła, nie miałem tu czego szukać. Schowawszy rewolwer odruchowo do kieszeni, wspiąłem się na górę. Zostawiając otwartą klapę, pobiegłem w kierunku domu. Mimo zupełnej już ciemności dotarłem tam dość szybko. Trudno było obudzić Mila lub Norę, próbowali ignorować moje wysiłki, a kiedy to nie pomogło, chcieli przegnać mnie z pokoju. Dopiero po dłuższej szarpaninie stali się bardziej przytomni. W drzwiach ukazał się Id ze swoją nieodłączną towarzyszką.

— Czemu tak hałasujesz? — spytał. — Przecież jest środek nocy.

— Czemu tak hałasujesz? Już jest noc — powtórzyła Ida.

Opuściła mnie cała pewność, nie wiedziałem, jak im wytłumaczyć, co powiedziałem.

— Odkryłem, że jesteśmy na statku kosmicznym, to, co uważaliśmy dotychczas za świat, jest tylko jednym z pomieszczeń...

— Co on mówi? — wymamrotał Mil. — Zaczekaj, aż wzejdzie słońce, to wtedy...

— Zrozumcie, to nie słońce, tylko potężny reflektor, poruszający się po ramie wokół sklepienia. Powtarzam wam, że to, co było naszym jedynym światem, już nim nie jest. To tylko duże pomieszczenie, świat jest inny, nazywa się inaczej. Zamierzam przejść przez Otwór, wtedy wam to udowodnię.

— Czy ważna jest nazwa świata? Przecież nic się nie zmieniło, możemy tu zostać.

— Zmieniło się. Teraz już wiemy, że istnieje coś innego, możemy tam pójść i zobaczyć...

— Ale po co?

— Żeby dowiedzieć się prawdy!

— Czy myślisz, że prawda jest nam potrzebna? Żyliśmy dobrze bez niej i możemy żyć dalej.

— Tak jest — przytaknął Mil. — Teraz idź spać. Otworem nie musisz się zajmować.

Ich obojętność wstrząsnęła mną. Dopiero teraz zauważyłem, jak byli ograniczeni. Dziwiło mnie, że nie spostrzegłem tego przez tyle lat.

— Nie zatrzymacie mnie — powiedziałem twardo. Przypomniałem sobie, że w kieszeni mam rewolwer. Wyjąłem go, ale nie wiedziałem, w kogo wyce-

lować. Jedynym liczącym się przeciwnikiem był Id. Mil i Nora byli starzy i słabi, nie mogli mnie zatrzymać, ale Id jak na złość nic nie powiedział ani nie wystąpił przeciwko mnie. Chciałem się cofnąć kilka kroków, ale potknąłem się i upadłem. Rewolwer wypalił, kula zrykoszetowała od ściany, znacząc ją długą szramą, i rozbiła plastik w oknie. Mil i Nora zaczęli histerycznie krzyczeć, usłyszałem oddalające się pośpiesznie kroki Ida i Idy. W lewym ramieniu rozszerzało się nierównomiernie ognisko bólu, musiałem uderzyć o coś twardego. Oszołomiony upadkiem, powoli podniosłem się z podłogi, schowałem rewolwer na powrót do kieszeni. Zszedłem na parter i opuściłem dom. Rozcierając pulsujące bólem ramię dotarłem do Otworu. Teraz się nie zastanawiałem. Po przejściu długiego korytarza znalazłem się w rzęsiście oświetlonej sali. Poznałem ją od razu, było to centrum informatyczne. Tak ruchliwe i pełne najrozmaitszych dźwięków, teraz było puste i ciche. Jeśli nie liczyć porozrzucanych z rzadka kart perforowanych i zwojów taśmy magnetycznej, panował tu względny porządek. Podeszedłem do najbliższego pulpitu, rzuciłem okiem na napis: KONTROLA SYSTEMU KOORDYNACJI ŁĄCZNOŚCI. Włączyłem zasilanie, ale zamiast spodziewanego rozjaśnienia się ekranu sygnalizacyjnego, zapłonął ekran główny. Przez chwilę przebiegały go czarno-białe pasy, myślałem już, że ukaże się obraz, ale zakłócenia uspokoiły się, a ekran został biały. Natomiast z głośnika usłyszałem:

— Cieszę się, że jesteś. Długo czekałem, aż przyjdziesz.

Pochyliłem się nad aparaturą w poszukiwaniu mikrofonu.

— Nie musisz posługiwać się mikrofonem, słyszę cię dobrze bez tego.

— Kim jesteś, dlaczego się nie pokazujesz? — spytałem.

— Nie potrafię ci wytłumaczyć, kim jestem, w twojej mowie brak na to słów. Niech ci wystarczy, że istnieję poza materią i nie mam na nią wpływu, tak jak ty nie masz wpływu na przykład na czas.

— To dlaczego słyhać cię z głośnika?

— Mogę w pewien, niestety ograniczony sposób oddziaływać na materię, indukując prądy w urządzeniach elektronicznych — to pozwala mi łączyć się z komputerami, a ponieważ mam możliwość obserwowania świata materialnego, choć przedstawia mi się on inaczej niż tobie, mogę je kontrolować i kierować nimi.

— Czy to ty zrobiłeś tę gigantyczną salę obok i umieściłeś mnie w środku?

— Tak, kiedy natknąłem się na twój statek, już tylko ty pozostałeś przy życiu, chciałem ci pomóc, ale nie wiedziałem jak. Nigdy nie spotkałem istot materialnych. O twoim świecie wiedziałem tylko to, czego mogłem się dowiedzieć korzystając z elektrycznej pamięci komputera. Jest tam niewiele wiadomości o ludziach. Posługując się waszymi maszynami tworzyłem namiastkę życia na ziemi, na szczęście na statku było dość budulca, ale musiałem rozmontować resztę korpusu. Potem chciałem się czegoś dowiedzieć od ciebie, ale ty straciłeś pamięć...

— Mówiłeś, że znalazłeś tylko mnie, a Nora, a Mil i Id? — przerwałem mu.

— Oni dla ciebie nigdy naprawdę nie istnieli. To ty ich wymyśliłeś i ty powołałeś do życia. Ja tylko pomogłem im się ucieleśnić w twoich oczach. Myślałem, że z nimi łatwiej odzyskasz pamięć, bo kiedy byłeś sam, nic nie rokowało

nadziei...

— Dlaczego mnie tu więziłeś? — krzyknąłem.

— Wcale cię nie więziłem, nie wiem nawet, o co ci dokładnie chodzi — jeśli myślisz o rakiemie, to przecież nie. Ja wysłałem cię w kosmos — a jeśli masz na myśli tamto pomieszczenie, to w każdej chwili mogłeś je opuścić, korytarz, który nazwałeś Otworem, był zawsze otwarty.

— To dlaczego nie odesłałeś mnie z powrotem do mojej ojczyzny?

— Nie wiedziałem, czego pragniesz, a już to, że chcesz wrócić, było najmniej prawdopodobne. Czyż wybierałbyś się tak daleko bez celu, chcąc tylko wrócić?

— Mogłeś się przecież ze mną skontaktować!

— Cały czas byłem z tobą w kontakcie. Starałem się dowiedzieć, jakie są twoje pragnienia, ale ty nie potrzebowałeś niczego, czułeś się szczęśliwy w tym iluzorycznym świecie, jaki wokół siebie stworzyłeś. Mimo to ciągle ponawiałem próby wyprowadzenia cię z tego stanu — wiedziałem, że nie może być prawdziwością to, co jest stworzone sztucznie. Miałem ograniczone możliwości oddziaływania, więc podporządkowałem sobie otaczające cię postacie, ale ty nie reagowałeś na nic, a raczej reagowałeś tak, jak robili to otaczający cię ludzie, bałeś się, kiedy oni się bali, byłeś wesoły, kiedy oni byli weseli, zdenerwowany, kiedy oni byli zdenerwowani. Nie przyszło ci na myśl, żeby zrobić coś, czego oni jeszcze nie zrobili. I nie były to tylko skutki szoku, który przyprowadził cię o amnezję, ukazałeś w ten sposób cechy swojego gatunku. Zresztą spójrz teraz na siebie: nie wiesz, czy mi wierzysz; nie wiesz, czy rozumiesz, co się wokół ciebie dzieje; nic wiesz nawet, jak teraz postąpić — całe twoje zachowanie było zawsze wyindukowane przez innych, kiedy zostajesz sam, gubisz się i zatracasz. Brak ci teraz drugiego człowieka, z którego zachowania mógłbyś wnioskować, co należy zrobić. Nawet tak wewnętrzne rzeczy jak uczucia masz podporządkowane innym. Nie myśl, że mówię tylko na podstawie obserwacji twojego zachowania tutaj — nie staraj się wytłumaczyć, że sprawiła to szczególna sytuacja, sztucznie spreparowane warunki. One odkryły tylko to, co u was, na twojej planecie jest zakamuflowane i mniej widoczne, do czego przyzwyczailiście się i nad czym się nie zastanawiacie. Od chwili, w której zacząłeś odzyskiwać pamięć, wiem dużo więcej o twojej ojczyźnie, wiem to, czego nie można dowiedzieć się z pamięci komputerów.

Głośnik umilkł. Stałem obok nieruchomo. Milczałem dłuższą chwilę.

— Chcę wrócić — powiedziałem pokonując ucisk w gardle. — Słyszysz?

— Tak, dobrze — odezwał się natychmiast — ale czy nie wolisz zostać tutaj? Tu byłeś szczęśliwy, a na Ziemi — rzadko. Teraz, jeśli chcesz, możesz tu sam tworzyć i decydować, tam będziesz musiał się podporządkować starym prawom. Przecież ten lot był dążeniem do nowego, chciałeś nim coś zmienić...

— Chcę wrócić — przerwałem mu. — Chcę wrócić — krzyknąłem. — Wrócić!

Port

Ciężkie płaty śniegu z deszczem opadały na przednią szybę coraz gęściej i mimo włączonych wycieraczek Mannery nic już prawie nie widział. Sunąc na minimalnej prędkości, z trudem dotarł do najbliższego parkingu. Wyłączył światła i zgasił silnik. Po dłuższej kotłowaniu z płaszczem wyszedł wreszcie z samochodu i brnąc w topniejącej mazi, pokrywającej asfalt, udał się na poszukiwanie restauracji. Było jeszcze dość jasno, jednak na każdej ulicy paliły się latarnie. Mimo wczesnej pory nie spotykał ludzi, a dwa lokale, na które się natknął, były już zamknięte. Dopiero bliżej centrum, naprzeciwko ciemnego parku, jakby wepchniętego między otaczające go wysokie budynki, znalazł otwarty bar.

Oddał płaszcz w szatni i zajął miejsce przy oknie. Zamówił pierwsze lepsze danie, jakie zauważył w karcie, zapalił papierosa i nareszcie odprężony po wielu godzinach jazdy, zlustrował wnętrze sali. Czerwone, przyćmione światło nad barem, rząd pustych shakerów, małe stoliki otoczone fantazyjnymi krzesłami... Tylko jeden z nich okupowała dość liczna rodzina, z trudem lawirująca rękami między stertą naczyń, ledwie mieszczącą się na małej powierzchni. Stos brudnych naczyń... Mannery zamknął oczy. Wspomnienia. Natłok dawnych zdarzeń i obrazów...

Kelnerka rozstawiła przed nim nakrycie.

— Podać coś do picia?

— Tak. Proszę kawę i koniak.

Zdusił papierosa w popielniczce i odchylił się razem z krzesłem. Znowu przymknął oczy. Minęło tyle lat, a tamte sprawy wracały do niego z nie słabnącą ostrością. Postacie Forstera, Micka, Thorntona i Dahlena krążyły wokół niego uporczywie, jakby czatowały na odpowiedni moment, w którym z twarzy przypadkowego przechodnia, fragmentów wewnątrz będą mogły wywołać odpowiednie skojarzenie. Dahlen... Dahlen to centralna postać Mannery'ego. Ciekawe, czy jeszcze żył, czy tkwił ciągle gdzieś w pustce, wśród gwiazd budując swój świat? A Mick? Thornton? Otrząsnął się z rozmyślań. Wypił przyniesiony przez kelnerkę koniak, czekając na główne danie zapalił drugiego papierosa.

* * *

— Więźniowie Thornton i Mannery, koniec dyżuru w kuchni!

Z ulgą wyjęli z wody spuchnięte dłonie, o zżartej przez dezynfekujący płyn skórze. Strażnik otworzył drzwi.

— Na stanowiska manewrowe — machnął ręką w kierunku korytarza. — Zraz będziemy cumować.

Przeszli do sali, w której w równych rzędach stały głębokie lotnicze fotele, w większości zajęte już przez pozostałych więźniów. Nie zdążyli usiąść, kiedy okrzyk „Wstać!” poderwał wszystkich obecnych. Nawet strażnicy wyprężyli się przed drzwiami, które otworzyły się ukazując samego „szefa“ Forstera w otoczeniu zastępców.

Forster stanął w progu, zlustrował więźniów, potem wolnym krokiem ruszył dalej i zajął miejsce pod wielkim ekranem. Milczał dłuższy czas, wpatrując się kolejno w twarze stojących naprzeciwko. Wreszcie zaczął mówić, tym razem nie patrząc na nikogo, ze wzrokiem utkwionym gdzieś ponad wszystkimi.

— Za kilka minut dotrzemy do celu. Nareszcie skończyła się długa podróż, w czasie której nie było za dużo roboty i mogliście odpoczywać...

Któryś z więźniów prychnął z sarkazmem. Szef nie zareagował, tylko jeden z zastępców zapisał nazwisko w notesie.

— Nie będziemy tracić czasu — ciągnął Forster — kiedy tylko dobijemy, podzielimy was na dwuosobowe zespoły i ruszycie do pracy. Swoje zadania znacie. — Przerwał na chwilę, przenosząc wzrok z powrotem na więźniów. — Gish i Murray za niedokładne oczyszczenie swojego sektora korytarza będą pracowali dwie godziny dłużej, Wharton za niestaranne wykonywanie obowiązków będzie pełnił dodatkowy dyżur w drugiej sterowni. To wszystko.

Forster w otoczeniu swojej świty opuścił salę, zabierając ze sobą strażników.

Usiedli i zapięli pasy. Po chwili zgasło światło. Na ekranie, zajmującym prawie całą ścianę przed nimi, ukazał się podobny do gigantycznego pająka, majestatycznie wirującego w przestrzeni, obraz kosmicznego portu. Znajdował się dostatecznie blisko, tak że gołym okiem można było rozróżnić poszczególne moduły części wewnętrznej, utrzymywane całymi hektarami przestrzennych kratownic, wielkie, efektownie powyginane łącznice, stalowe podpory, płyty ze sprężonego betonu i spłaszczone, przezroczyste kopuły węzłów przeładunkowych. Potężne reflektory ich statku omiały zaledwie niewielki fragment jednej z wielokilometrowych ramp cumowniczych, powodując lśnienie zewnętrznych ogniw energetycznych i wielkich, parabolicznych anten systemu bezpośredniej łączności. Były to jedyne świecące punkty, jakie mogli zobaczyć na powierzchni tej bryły, złożonej z tysięcy ton betonu i stali. Port był martwy.

Mannery'ego razem z Dahlenem wyznaczono do pracy w centralnej części portu. Ubrani w skafandry z przytroczonego do nich ekwipunkiem, od razu przeszli do służby. Przepisy regulujące rozkład dnia — sześć godzin pracy, godzina przerwy i znowu sześć godzin pracy — były przestrzegane z iście komputerową dokładnością. Nie tracąc czasu, strażnik przewiózł ich na małym, linowym wózku przez wielokilometrowy korytarz. Wyszli tuż pod pance-

rzem wewnętrznej części.

Zostali sami. Dahlen rozłożył schematyczny plan rejonu.

— Jesteśmy tutaj — zaznaczył miejsce krzyżykiem. — Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójdziemy przez sekcję zbiorników — rysował na planie grubą linię — potem przez pomieszczenie klimatyzacyjne — do węzła komunikacyjnego, a stamtąd już korytarzem na poziom energetyczny.

— Chyba łatwiej byłoby posuwać się wzdłuż przewodów — powiedział Mannery — to dużo krótsza droga.

— Studzienki przewodowe mają za małą średnicę, zresztą mogą być zatarasowane przejścia.

— Zatarasowane? Czym?

— Czymkolwiek. Po co później mamy wracać? Idziemy tędy!

Słuchawki w hełmie Mannery'ego zniekształcały dźwięk, jednak wydawało mu się, że barwa głosu Dahlena zdradza z trudem ukrywane zdenerwowanie. Machnął ręką.

Ruszyli jeden za drugim, czepiając się wystających ze ścian elementów konstrukcyjnych i oświetlając drogę ręcznymi reflektorami. Mannery nie słyszał nic oprócz własnego oddechu. Walcząc z krępującym go ekwipunkiem, z trudem wyszukiwał uchwyty dla wolnej ręki. Wreszcie, kiedy krąg światła wy dobył z mroku przeciwległą ścianę, odbił się mocno nogami i poszybował w jej kierunku. Zeszli do pionowego szybu z metalową drabinką. Powoli, odpychając się od szczebli, opadali w dół, oślepieni światłem własnych reflektorów, odbijanym przez metalową powierzchnię. Mannery czuł, jak przytroczone do pleców kontenery z butlami i pojemniki na złom elektroniczny ocierają się o jakieś rury i przewody, ścierając z nich pył i rdzę, które krążyły potem w ciasnej przestrzeni, jeszcze bardziej pogarszając widoczność. Szyb skończył się wreszcie — wąskim podestem z metalowej kraty. Dahlen znalazł tablicę rozrządu i po kilku chwilach zapłonął rząd lamp umieszczonych w górze. Dopiero teraz można było ocenić długość szybu. Znajdowali się na dnie ciasnego, mającego mniej niż metr szerokości przesmyku między dwoma zbiornikami, których stalowe ściany wznosiły się na wieleset metrów niknąc gdzieś w odległej perspektywie. Dahlen wyjął z kieszeni kawałek kredy i napisał coś na powierzchni zbiornika. Mannery zbliżył się do niego. Napis brzmiał: „Nic nie mów. Chodź ze mną“. Spojrzał na Dahlena, ale tamten odwrócił się, zasłaniając twarz ścianką hełmu. Potem jakby ignorując Mannery'ego schylił się, otworzył klapę i wsunął się do studzienki w podłodze. Mannery ruszył za nim. Studzienka po chwili przeszła w wąski, skręcający łukiem korytarz. Przeszli przez śluzę i zatrzymali się w małym, pustym pomieszczeniu o betonowych ścianach. Dahlen zdjął hełm. Mannery po krótkim wahaniu zrobił to samo. Niepewnie pociągnął nosem, ale powietrze było normalne. Zupełnie wyraźnie poczuł na twarzy mroźny prąd, płynący gdzieś z dołu. Nie zdążył o nic spytać Dahlena, gdy tamten odezwał się pierwszy:

— Jesteś zadowolony z życia w tym latającym więzieniu?

— O co ci chodzi? — mruknął Mannery.

— Pytam, czy jesteś zadowolony.

— I co chcesz usłyszeć?

— Przestań, nie jestem prowokatorem... Zresztą mniejsza z tym. I tak wiem, że wszyscy mamy dość.

— Zorganizowałem coś w rodzaju spisku — ciągnął Dahlen. — Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro wybuchnie bunt.

— Po co mi to mówisz?

— Jesteś mi potrzebny.

— Doprawdy?

— Tak. Tylko ty potrafisz uruchomić statek.

— A Mick?

— Daj spokój. Mick też, ale na niego nie można liczyć. To wariat. Według mojego planu będziecie działać razem, ale ty będziesz decydował.

— Masz do mnie takie zaufanie?

— Owszem. Słyszałem, i to z wiarygodnego źródła, co wyrabiałeś na Transplutonie. Wtedy prawie ci się udało.

— Prawie. I dlatego teraz jestem ostrożny.

Dahlen wzruszył ramionami. Z jego ust przy każdym słowie wydobywał się obłoczek pary. Jednak mimo zimnego powietrza co chwila ocierał pot z czoła.

— Powinniśmy sobie ufać. W końcu obaj jesteśmy „zbrodniarzami”, skazanymi na dożywocie, i możemy liczyć tylko na siebie.

— Z tym, że ja zostałem skazany niewinnie.

— Dobra, dobra, już mówiłem, że nie chcę cię prowokować.

— Zostałem skazany niewinnie — powtórzył z naciskiem Mannery. Dahlen popatrzył mu w oczy.

— W porządku. Nic mnie to nie obchodzi. Powiedz tylko, czy zgadzasz się na mój plan.

— Zastanowię się.

— Bez zastanawiania. Tak czy nie?

— A jeśli powiem: nie?

Dahlen nie odezwał się. Natomiast Mannery kątem oka zauważył drobny ruch jego ręki w kierunku zatkniętego za paskiem metalowego pręta.

— Dobrze. Zgadzam się.

Dahlen odetchnął.

— O szczegółach, dotyczących twojej części zadania, dowiesz się jutro. To bardzo istotny fragment mojego planu.

— A co zamierzasz zrobić, jeśli spisek się uda? — spytał Mannery.

— Mam wiele pomysłów. Później będziemy o tym mówić. Możemy wyłudować ukradkiem w jakiejś kolonii albo nawet zostać tutaj...

— Tutaj?!

— Czemu nie? Nikt tu nie zagląda i wszystkiego jest pod dostatkiem.

— Jesteś pewny, że nikt tu nie zagląda?

— Tak. Port wybudowano kilkadziesiąt lat temu jako stację pośrednią dla rakiet dalekiego zasięgu, ale wprowadzenie nowego napędu sprawiło, że stała się zbędna. Demontaż był nieopłacalny i wszystko zostało dokładnie tak, jak w dniu przerwania robót. Od tego czasu nikogo tu nie było. Dopiero ostatnio, kiedy ceny wyrobów elektronicznych potwornie wzrosły, powstał projekt

eksploatacji złomu elektronicznego, który tu pozostał, i odzyskania z niego części. W dalszym ciągu było to niezbyt opłacalne, więc postanowiono użyć do tego więźniów. Projekt miał jednak nadal wielu przeciwników, ze względu na duże ryzyko — i w wypadku fiaska finansowego czy innego naszej wyprawy nie będzie dalszych prób. A ponieważ mam nadzieję, że nasza wyprawa zakończy się fiaskiem, możemy nie oczekiwać gości.

— Ale przylecą sprawdzić, co się stało ze statkiem i strażnikami.

— Możemy w każdej chwili upozorować katastrofę statku w jakimś odległym miejscu. Mniejsza z tym — później się zastanowimy.

— Skąd wiesz tyle o porcie?

Dahlen milczał przez chwilę, potem machnął ręką.

— Kiedyś byłem jednym z jego projektantów...

Mannery spojrzał na niego ze zdziwieniem. Nie przypuszczał, że Dahlen jest aż tak stary.

— Dobra, chodźmy do roboty — mruknął. — Nie możemy nic nie przynieść.

Dahlen skinął głową.

— Tylko pamiętaj, od tej pory ani słowa o spisku.

Następnego dnia Dahlen poprowadził go jeszcze dalej. Przez system śluz, zagmatwanych, ciemnych korytarzy przeszli do części mieszkalnej portu. Tam, w wielkiej sali o ziemnym podłożu pokrytym rozrośniętą dziko roślinnością, spotkali Thorntona i Micka.

— Dobrze, że zdążyliście — powiedział Dahlen zdejmując hełm. — Myślałem, że tu nie traficie.

— Nie zajęło nam to dużo czasu — mruknął Mick. — Narysowałeś drogę bardzo dokładnie.

— W porządku, Thornton, powiadomiłeś ludzi z twojej sekcji?

— Tak.

— Zaraz, zaraz — wtrącił się Mannery. — Czy dowiem się nareszcie, na czym polega plan działania?

Dahlen popatrzył na niego.

— Poza mną nikt nie zna całości planu działania. Wyjaśnię ci tylko twoje zadanie — widocznie wyczytał coś w oczach Mannery'ego, bo dodał zaraz: — Mogę cię uspokoić, żaden ze strażników nie zginie, jeśli to nie będzie konieczne. Przede wszystkim będziemy używać gazów oszłamiających i paraliżujących.

Mannery nie odpowiedział. Odwrócił głowę i rozejrzał się dookoła. Czuł się dziwnie — dzięki nieważkości zawieszony w powietrzu, kilka metrów nad alejkami ze zwiropodobnej wykładziny, kępami krzewów, małymi drzewkami i połaciami trawy. Delikatne prądy powietrza poruszały łodygi i liście, rozwiewały przejrzyste, białawe smugi oparu, wydobywającego się z pękniętych przewodów. Skierował reflektor na oszkloną galeryjkę, której się trzymali — cała była pokryta rosą.

— Masz jakieś wątpliwości? — spytał Dahlen.

— Załóżmy, że nie mam.

— W takim razie powiedz — Dahlen zwrócił się do Thorntona — jak ci poszło w drugiej sterowni?

Thornton podrapał się po brodzie.

— Kiedy przyszedłem na dyżur, byłem kompletnie zaskoczony. Oni prowadzą tam jakiś remont i zdemontowali fotele oraz fragment podłogi. Komputer był wyłączony i nie udało się zmienić programu odbijania.

— Psiakrew, to znaczy, że w każdej chwili mogą porzucić port i odlecieć?

— Nie całkiem — powiedział spokojnie Thornton.

— Co to znaczy?

— Skoro nie udało mi się zmienić programu, musiałem wymyślić coś zastępczego i przyszło mi do głowy dość prymitywne, ale myślę, że skuteczne rozwiązanie.

— Jakie?

— Po prostu obluźowałem pokrywę zbiornika z wodą, który jest pod podłogą i zdjąłem izolację z dwóch kabli elektrycznych na czołowej ścianie sterowni.

— I co to daje?

Thornton uśmiechnął się lekko.

— Mówiłeś, że na samym początku wyłączymy grawitację, żeby wprowadzić zamieszanie wśród strażników. Jeśli ciężenie zaniknie, woda ze zbiornika uniesie się i będzie krążyć w powietrzu. Ponieważ w drugiej sterowni nie ma teraz foteli, operator będzie musiał stać, a wtedy siła ciągu silników przy ruchu wstecznym rzuci go na przednią ścianę. Opadnie tam również woda, przez którą popłynie prąd z odkrytych kabli.

— Hm, nie jest to zbyt pewne, ale trudno. Trzeba będzie raczej nie dopuścić, żeby wszedł tam ktoś z załogi. Teraz wasza część zadania — Dahlen wskazał na Mannery'ego i Micka. — Dokładnie o dwudziestej czasu pokładowego opuście pomieszczenie dla więźniów i pójście do waszych szafek w korytarzu. Z szafki Micka wyjmiecie butlę z gazem i dwie maski. Stamtąd musicie przejść do głównej sterowni. Jeśli ktoś będzie w środku, uśpicie go gazem. Przez cały czas zwracajcie uwagę na zegary kontrolne śluzy. Jeśli pokażą, że ktoś do niej wszedł, a mogą to być tylko strażnicy, dacie mały ciąg silników i rozgnieciecie ją o ścianę portu. Nie sądzę, żeby miało do tego dojść, ale musimy być zabezpieczeni. Po jakimś czasie ktoś przekaze wam dalsze rozkazy ode mnie. To wszystko, macie jakieś pytania?

— Tak — powiedział Mannery. — Skąd macie gaz i maski?

Dahlen uśmiechnął się.

— Stąd. To znaczy z portu. Ale kto inny przemyci je na statek i umieści w szafce Micka. To nie wasza sprawa. Co jeszcze?

— A jeśli o dwudziestej w pomieszczeniu więźniów zjawi się jakiś strażnik? — spytał Mick.

— To już wasz kłopot. Musicie być na to przygotowani. Jeśli spotkacie kogoś w korytarzu, możecie użyć gazu, jeśli wcześniej — sami coś wymyślicie... — Dahlen spojrział na zegarek. — Musimy się spieszyć. To wszystko?

Skinęli głowami.

— W takim razie chodźmy.

Zapięli próżniowe hełmy.

Mannery splatał i rozplatał dłonie, starając się ukryć drżenie palców. Nie mógł opanować zdenerwowania. Z podziwem prawie spoglądał na rozpartego

w fotelu Micka, tępo patrzącego przed siebie, niezmiennie w ten sam punkt. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta.

— Chodźmy, już czas! — powiedział do Micka.

Delikatnie otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Był pusty. Podbiegli do szafek. Mannery chwycił pokrywę jednej z nich i szarpnął, mało nie wrywając zamka. Dahlen nie kłamał. Włożyli maski, dopasowując mocujące taśmy. Mannery wziął ciężką butlę i z ręką na zaworze zaczął posuwać się przodem. Do samej sterowni nie napotkali nikogo. Przez chwilę stali pod jej drzwiami nasłuchując, potem Mick otworzył je gwałtownie, wpuszczając Mannery'ego z butlą. Sterownia była pusta.

Mick usiadł w fotelu pilota, przypinając się pasami.

— Nie zdejmuj maski — powiedział Mannery. — Od razu napełnię sterownię gazem, żeby nikt nas nie zaskoczył.

Mick skinął głową.

— Musisz przywiązać do czegoś butlę. Kiedy zniknie grawitacja, odrzut wydobywającego się gazu będzie nią rzucał po całym pomieszczeniu. — Sięgnął do dźwigni modułu mieszkalnego i przerzucił ją w położenie zerowe. Poczuli, jak ciężar ich ciał zaczął się powoli zmniejszać, żeby wreszcie zaniknąć zupełnie.

Mannery, trzymając się fotela, paskiem od spodni przymocowywał butlę do poręczy.

— Uważaj — krzyknął Mick. — Ktoś wchodzi do służby, muszę...

Przerwał mu trzask otwieranych drzwi i okrzyk:

— Stać! Nie ruszać się!

Mannery znieruchomiał. Wolno odwrócił się w stronę dwóch strażników, mierzących do nich z elektrycznych pistoletów. Jednym z nich był szef Forster. Spojrzał na Micka — właśnie w momencie, kiedy ten z wykrzywioną z wściekłości twarzą rzucił się w kierunku dźwigni przyspieszenia. Forster strzelił w jego kierunku, jednak oparcie fotela złagodziło szok i Mick dosięgnął dźwigni. Częściowo porażony, szarpnął ją w złą stronę. Straszliwe przyspieszenie rzuciło ich na przednią ścianę. Statek wraz ze służą oderwał się od kosmicznego portu, ciągnąc za sobą fragment jakiejś konstrukcji. Mannery wyrwał nieprzytomnemu od uderzenia strażnikowi pistolet, ale Forster strzelił pierwszy, trafiając w ekran nad jego głową. Huk implozji wstrząsnął Mannerym. Oszolomiony schował się za fotelem. Gorączkowo namacał chłodną powierzchnię butli i odkręcił zawór. Forster musiał to jednak zauważyć, gdyż wstrzymując oddech zaczął się wspinać w kierunku najbliższej konsoli. Mannery puścił trzymaną dotąd kurczowo poręcz fotela i usiłując zapanować nad rozdygotanymi rękami, złożył się do strzału. W momencie, kiedy na linii będącej przedłużeniem lufy znalazła się głowa Forstera, tamten uderzeniem pięści włączył na maksimum układ awaryjnej wentylacji. Miażdżące uderzenie sprężonego tlenu rzuciło ich na podłogę, dławiąc oddech i pozbawiając możliwości ruchu. Wycie huraganu zagłuszyło wszelkie dźwięki, a potworne ciśnienie napełniało głowę paraliżującym bólem. Na środku pomieszczenia utworzył się potężny wir powietrzny, który wessał wszystkich oprócz przypiętego pasami Micka i obracał nimi jak w gigantycznej wyżymacze, doprowadzając do utraty orien-

tacji. Forster i Mannery strzelali do siebie z odległości kilku metrów, jednak, kręcąc się w obłądnym młynie, mogli trafić jedynie przypadkiem. Ich kano-nada miała tylko jeden skutek. Z eksplodujących ekranów, pękających płyt i demolowanych urządzeń wir wysysał masy potrzaskanych części, które krążąc uderzały w ludzi, raniąc boleśnie. Mannery'emu zbierało się na wymioty. Targany w obłądnych łamańcach, z płucami palonymi czystym tlenem, wrzeszczał do Micka, nie zdając sobie sprawy, że ryk wichury głuży słowa. W ułamkach sekund, kiedy był zwrócony do niego twarzą, widział, jak na pół zamroczony Mick usiłuje pokonać zdrewniałe po elektrycznym szoku bezwładne mięśnie. Forster, wierzgając rozpaczliwie, próbował zaczepić się o cokolwiek. Wreszcie w którymś z kolei podrzucie chwycił za poręcz fotela. Walcząc z targającymi go strugami powietrza, przyciągnął się bliżej i objął nogami oparcie. Mannery dostrzegł to, ale Wirując błyskawicznie na środku sterowni, nie mógł nic zrobić. Był wystawiony jak ruchomy cel na strzelnicę.

Forster złożył się, trzymając pistolet w obu rękach. W tym momencie Mick zgasił światło. Mannery poczuł się jak ktoś, kogo zepchnięto do kilkusetmetrowej przepaści i okazało się, że tuż za krawędzią jest zabezpieczająca siatka. W zapadłych ciemnościach nie było sensu mierzyć do ruchomego celu, ale Mannery wiedział, że w tej sytuacji Forster będzie strzelał w kierunku fotela Micka. Zerwał z twarzy maskę.

— Do przodu, Mick! — krzyknął czując, że zdziera gardło.— Do przodu. Włącz silniki!

Krótki grzmot targnął powietrzem, zagłuszając na chwilę ryk huraganu. Gwałtowne przyspieszenie rzuciło Mannery'ego na ścianę. Kurczowo uczeplił się jakiejś dźwigni. W jednym z ocalałych ekranów zobaczył, jak statek wbija się dziobem w korpus portu. Szczątki śluzy rozprysnęły się wokół, gonione ognistymi jęzorami gazowej chmury. Dopiero teraz Mannery spostrzegł, że nie ma pistoletu. Czepiając się wystających części i omijając fosforyzujące wskaźniki, dotarł w pobliże drzwi. Były otwarte. Mannery odbił się i porwany uchodzącym tędy strumieniem powietrza znalazł się w korytarzu. Rozstawiając szeroko ręce i nogi zdołał złapać jakiś obluzowany przewód. Trzymając się go, wrócił pod sterownię i zamknął drzwi. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić, potem stłukł szybę zabezpieczającą instalację przeciwpożarową i przycisnął czerwony taster.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił komputer w ramach procedury „Pożar w sterowni“, było wyłączenie dopływu tlenu. Potem komputer sprawdził swoje czujniki — żaden z nich nie stwierdzał obecności ognia, natomiast wykryto obcy gaz w atmosferze. W tej sytuacji procedura pożarowa została zablokowana i znowu do sterowni buchnął sprężony tlen. Te kilka sekund przerwy starczyło jednak, by toksyny gazu rozpuściły się we krwi strażników. Mannery wiedział, że w tej chwili powietrzny młyn rzucał i obracał tylko ich bezwładne ciała.

Mannery wszedł do centrali strażniczej, zajętej teraz przez sztab Dahlena. W głębokich fotelach siedział Thomton, Gish i Siegel, a sam Dahlen stał na środku, paląc fajkę Forstera.

— Nareszcie jesteś! — powiedział. — Co z Mickiem?

— W porządku. Nic mu nie będzie.

Dahlen wyszczerzył zęby.

— W takim razie mój plan powiódł się bez żadnych strat z naszej strony.

— A strażnicy?

— Z nimi też załatwione — wtrącił się Thornton. — Oni już nic sprawią nam kłopotów — roześmiał się i przeciągnął palcem po szyi.

— Przecież, w miarę możliwości, miał nikt nie zginąć...

— Zależy ci na nich?

Mannery milczał. Powoli zlustrował postacie wokół siebie. Miały twarze morderców. Ciągle milcząc, cofnął się pod ścianę.

— Co będziemy teraz robić? — spytał Gish.

Dahlen wyjął fajkę z ust.

— Zniszczenia są duże. Już skierowałem ludzi do naprawy sterowni i dzio-bowej śluzy...

— Jemu nie o to chodziło — przerwał Thornton. — Co będziemy robić w ogóle? Czy polecimy do jakiejś kolonii?

— Teraz nie będziemy się nad tym zastanawiać.

— Dlaczego?

— Po prostu nie będziemy.

Rząd ludzi obładowanych wielkimi pakunkami posuwał się wolno po chybottliwym, prowizorycznym moście, przerzuconym nad parusetmetrową pustką hangaru. Światło bezcieniowych lamp rozpraszało się w kłębach pary wodnej, wijących się leniwie pod sklepieniem i błyskało reflektorami na wypukłościach czarnych ścian, pociętych zlewającymi się w dole rzędami żarówek oznaczających kolejne poziomy. Mannery oparł ręce o stalową barierkę podestu. Była wilgotna.

— Myślę, że bez grawitacji cały transport poszedłby dużo sprawniej.

— Grawitacja jest konieczna do innych celów. — Dahlen wystukiwał popiół z nieodłącznej od kilku dni fajki. — Musiałem ją włączyć w pierwszej kolejności.

— Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego przenosimy sprzęt ze statku do wnętrza portu?

Dahlen milczał. Przez chwilę rozglądał się wokół, potem popatrzył na Mannery'ego.

— Ten port jest mój — wycedził. — Jest mój i chcę go mieć! Ja tu jestem najważniejszy. — Zaczął nabijać fajkę. — Ale nie musisz się martwić — podjął po chwili. — Zostaniesz moim zastępcą. Moją prawą ręką.

W normalnych warunkach każdy człowiek, usłyszawszy coś takiego, musiałby wybuchnąć śmiechem. Ale sytuacja nie była normalna, a Mannery od dawna nie był normalnym człowiekiem. Patrzył spokojnie w oczy Dahlena.

— Chcesz tu zostać? Zostać na zawsze?

Milczenie.

— Przecież to najgorsze miejsce, jakie można sobie wyobrazić. Ludzie już są niezadowoleni... Naprawdę chcesz tu zostać?

—Odebraliście wszystkim broń? — Dahlen patrzył twardo na stojących przed nim mężczyzn.

—Tak — odparł Thornton. — Osobiście zamknąłem wszystko w magazynie...

— Klucz! — przerwał mu Dahlen.

Thornton z pewnym ociąganiem rzucił klucz na biurko. Dahlen uśmiechnął się szeroko.

—Wczoraj wymieniłem waszą z kolei broń na egzemplarze zewnętrznie niczym się nie różniące, ale posiadające w środku układ, dzięki któremu mogą je zablokować na odległość.

— Po co to zrobiłeś? — warknął Gish.

—Nic radzę przy niej majstrować — ciągnął Dahlen. — Można się pokaleczyć. I to bardzo. Thornton, jakie nastroje wśród ludzi?

— Fatalne.

—Hm, podzielcie ich na sekcje. Szefowie sekcji będą podlegać wam bezpośrednio. Wprowadźcie też regularny podział czasu. Sześć godzin pracy, godzina odpoczynku i znowu sześć godzin pracy. To wszystko.

Mannery zawahał się wychodząc i stanął w drzwiach.

—Masz jakieś wątpliwości? — spytał go Dahlen. Mannery przypomniał sobie, że już kiedyś zadano mu to pytanie. Nie mógł jednak przypomnieć sobie, jaką dał wtedy odpowiedź. Wzruszył ramionami i zamknął drzwi.

Przez dłuższy czas nic mógł zasnąć. Rzucał się na koi, kopiąc i mnąc prześcieradło. Wreszcie wstał, włożył głowę pod kran i puścił strumień zimnej wody. Nie uwolniło go to od natrętnych myśli. Musiał stąd uciec i to uciec natychmiast. Wiedział, że gdyby chciał działać z rozmysłem, po dłuższym czasie na pewno zdołałby ułożyć plan gwarantujący powodzenie. Czuł jednak, że nie może czekać, że musi coś zrobić i to natychmiast. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Prawie do rana przesiedział na podłodze, z głową opartą na kolanach. Potem wstał, wyśliznął się z pokoju i przemknął do małego magazynu ze sprzętem konserwatorskim. Nic znalazł benzyny ani nafty. Stał przez chwilę zdezorientowany, przeglądając nalepki na puszkach i kanistrach? Wybrał wreszcie dwudziestolitrowy pojemnik łatwopalnego, przezroczystego zmywacza. Starając się robić jak najmniej hałasu, przeniósł go do łazienki w pobliżu gabinetu Dahlena. Odkręcił wieko i wlał płyn do wanny. Potem przeciął kable doprowadzające prąd do oświetlenia i ustawił za wanną krzesło. Na korytarzu rozległ się odgłos kroków. Mannery zastygł pod drzwiami. Wartownik nie zatrzymał się. Mannery otarł pot z czoła i kiedy kroki ucichły, przeszedł do swojego pokoju.

Rano, kiedy rozległ się sygnał wzywający do pracy, Mannery ignorując swoją sekcję ukrył się w jakiejś wnęce przy gabinecie Dahlena. Nie czekał długo. Wybierając moment, kiedy okoliczne pomieszczenia były zajęte, a w gabinecie siedziało kilka osób, opuścił kryjówkę i otworzył drzwi gabinetu.

— Przepraszam, Dahlen — powiedział. — Muszę z tobą porozmawiać.

— Mów.

— Wołałbym sam na sam. To bardzo ważna sprawa.

— Nie możesz przyjść później?

— Nie. To naprawdę bardzo ważne.

Dahlen skrzywił się i podniósł niechętnie.

— Zaczekajcie tutaj — powiedział do pozostałych.

Wyszli na korytarz.

— Może tutaj — Mannery, udając obojętność, wskazał na łazienkę. — Tu powinniśmy mieć trochę spokoju.

Dahlen wszedł pierwszy.

— Czemu tu tak ciemno?

— Musiało coś wysiąść. — Mannery wyjął z kieszeni wolnotłącą racę i zapalił.

Dahlen popatrzył na wannę i krzesło. Coś jakby lekki, ledwie dostrzegalny uśmiech przemknęło mu przez twarz. Mannery dopiero teraz zrozumiał ryzyko związane z tak prymitywnym planem. Patrzył z niepokojem na Dahlena, ale tamten spokojnie usiadł na krzesle.

— Co mi chciałeś powiedzieć?

Mannery ustawił racę sztorcem na brzegu wanny. Zadowolony, że tak łatwo poszło mu wykonanie pierwszej części zadania, prawie zapomniał, co ma powiedzieć. Słowa opuściły go i znikły gdzieś w zakamarkach pamięci.

— No, słucham.

— Ty chcesz... robisz tutaj... — jękał się. — Ty wprowadziłeś tutaj więzienny system! — krzyknął wreszcie.

— No to co?

— Nie zgadzam się z tym — powiedział Mannery już spokojnie.

— Doprawdy?

— Tak. Odchodzę.

— Ty zdrajco! — Dahlen poderwał się przewracając racę. Rozdzieliła ich hucząca ściana ognia. Dahlen odskoczył odruchowo, przewracając się o krzesło. Mannery okrążył płomień i rzucił się na leżącego, wrywając mu pistolet. Na czworakach wydostał się z łazienki, zrzucił płonąca kurtkę i pobiegł w kierunku statku. Tuż przed służą zwolnił, wyciągając przed siebie rękę z pistoletem. Straży jednak nie było. Przeszedł przez służę i zamknął klapę. W środku też było pusto. Zdziwiony, że poszło tak łatwo, dopiero w sterowni, zapinając pasy, zrozumiał, że Dahlen chciał, żeby udało mu się uciec. Żeby uciekł razem ze statkiem.

— Proszę pana, już zamykamy. — Zniecierpliwiona kelnerka stała przy stoliku z rachunkiem w dłoni.

Mannery drgnął, wyrwany z rozmyślań. Rozejrzał się po sali. Hałaśliwa rodzina już wyszła. Znikł także stos naczyń z ich stolika. Barman za szerokim kontuarem czyścił ostatnie kieliszki. Mannery odsunął od siebie puste talerze i nie dopił kawę. Zerknął na rachunek i z przepaszającym uśmiechem położył na stole dwukrotnie wyższą sumę. Zapiął płaszcz, włożył kapelusz i wyszedł w śnieżną zawięgę.

Daimonion

— Jestem chyba kimś w rodzaju turysty — mówi Dawid, przykładając lufę peemu do szyi trzęsącego się szczeniaka w ciemnym mundurze wojsk inżynieryjnych. — Możesz więc być pewny — ciągnie, nie przerywając żucia gumy — że nic ci się nie stanie, jeżeli pokażesz nam przejście.

Wygląda teraz jak filmowy, bohaterski sierżant, który zaraz poprowadzi swój oddział do zwycięstwa. Hollywood za darmo, psiakrew! Ale tak widzi go przestraszony chłopak i choć milczy, widać, że jest na skraju załamania. Na szczęście nie wie, że Dawid boi się bardziej od niego, że dwie nie przespane noce i ponad dwadzieścia godzin ciągłej akcji uczyniły go niezdolnym do rozpoznania najprostszego kłamstwa, że wreszcie — można by go poprowadzić jak na sznurku dokądkolwiek, byleby obudzić w nim choć cień nadziei.

Chłopak tego nie wie, patrzy na mnie błagalnym wzrokiem, jakby oczekiwał z tej strony pomocy. Unoszę w górę ciężką lufę erkaemu i szturcham go w brzuch. Chce się zgiać, ale nie pozwala mu na to Dawid.

— Nie wiem... Naprawdę nie wiem, proszę pana — chrypi. — Tu wszystko jest obstawione...

— Nie kłam — głos Dawida załamuje się, jeniec znowu tego nie zauważa, a może nie rozumie, co się pod tym kryje. Jest za młody i za bardzo się boi. — Wiesz dobrze, o co nam chodzi. Wskaż takie przejście, gdzie nie macie elektryczności.

— To może tam, gdzie zaczynają się te wąskie korytarze... Stąd na lewo, o tu — wskazuje na widoczne w migotliwym świetle latarek rozwidlenie korytarza. Ktoś świeci we wskazanym kierunku. Nie widać nic więcej, wszystko przesłaniają snujące się leniwie kłęby gryzącego dymu. Chwila milczenia.

— Idziemy — decyduje Dawid. — Posuwać się trójkami, jeniec w pierwszej trójce.

Pluton wolno formuje trójki, wreszcie rusza, potykając się i zataczając ze zmęczenia. Po chwili jednak tempo marszu wyrasta. To wpływ dusznej atmosfery katakumb — jedyne w tej chwili bodźca, zdolnego przebić nawarstwiający się pancerz ośpienia. Nieskończony labirynt mrocznych sal i korytarzy zmusza do dalszego działania odstraszącą perspektywą zostania tu na zawsze.

Przed wejściem do wąskiego korytarza, wypełnionego w jednej czwartej wysokości wodą, trzeba zostawić trolleje. Razem z dwukołowymi wózkami zostaje cały ciężki sprzęt. Z konieczności rozpada się szyk trójkowy. Dawid każe zgasić większość latarek. Przed sobą widzą tylko zgięte w wysiłku plecy człowieka, brodzącego po pas w mulistej cieczy. Po grubej rurze granatnika poznają Voormana. Nasączony wodą ekwipunek jest coraz cięższy. Poplątane paski plecaka, ładownic i torby ciągną w dół. Nie mogą ich poprawić, ręce

obciąża bezwładna masa erkaemu. Pomimo zakazu zakładam jego taśmę na szyję. Korytarz jest tak wąski, że lufa zawadza o wystające fragmenty ściany. Zmieniam kąt zawieszenia, teraz kolba uderza o kolana, a zamek moczy się w wodzie. Nie dbam o to, nie zdąży zardzewieć. Płynący skądś dym przynosi woń zgnilizny, coraz trudniej oddychać. Cuchnące wyziewy łączą się z białawym oparem, sączącym się z pół wody, pół bagna, w którym grzęzną nogi. Ciemność, o ile to możliwe, staje się coraz gęstsza.

Po chwili korytarz się rozszerza. Zanim jednak zdaję sobie z tego sprawę, przed nami pojawiają się kruche rozbłyski. Jakaś siła rzuca na mnie Voormana. Przewracam się pod jego ciężarem, cuchnący płyn zalewa usta i uszy, przydając wzmocnionemu zamkniętą przestrzeń hukowi wystrzałów niesamowitego brzmienia. Z trudem podnoszę się na kolana, dźwigając na sobie bezwładne ciało. Wynurzamy się na powierzchnię. Tuż nad moją głową ktoś strzela na oślep z peemu, wypróżniając magazynek za magazynkiem. Staram się podnieść Voormana, ale coś raz po raz wstrząsa jego ciałem, za silnie na dreszcze. Po dłoniach, którymi go podtrzymuję, spływają ciepłe strugi. Jednocześnie milknie odgłos strzałów nad moją głową, czuję uderzenie w plecy i jakiś ciężar podcina mi nogi. Przewracam się znowu, łykając nową porcję cuchnącej wody. Nie mogąc zdjąć własnej broni, sięgam po porzucony granatnik, wstaję i strzelam bez ustawienia. Bliska eksplozja rzuca mnie do tyłu, musiałem trafić w ścianę. Czuję ostry ból w brzuchu, gorączkowo rozplątując ekwipunek dotykam skóry, coś płynie, nie sposób stwierdzić — krew czy woda. Łapie mnie obrzydliwe uczucie strachu. Ktoś stojący za mną rzuca granat oświetlający, który wpada do wody, rozjaśniając ją od spodu upiornym światłem. Robi się trochę widniej.

Powietrze drga, parzy i jęczy tysiącem pocisków niesionych we wszystkich kierunkach. Tuż koło mnie stoi na rozkraczonych nogach Sparks i błyskawicznie wystrzeliwuje granaty. Jest zanurzony tylko po kolana. Niemożliwe, żeby tu było tak płytko. Czyjaś ręka szarpie mnie za ramię.

— No, strzelaj! — to krzyk Dawida.

Trzęsącymi się rękami zdejmuję taśmę erkaemu. Nie ma na czym oprzeć nóżek, strzelam z ręki, opierając kolbę o biodro. Po chwili sprężyna zwalnia pusty magazynek. Wyjmuję nowy z ładownicy, ale nie mam czasu go założyć. Wszyscy wokół mnie ruszają do przodu, odruchowo idę za nimi. Teren zaczyna się wznosić. Poziom wody opada do kolan. Dobiegamy do barykady z worków piasku. Opieram o nie podpórkę erkaemu i mocuję magazynek. Inni przeskakują zaporę i widzę już ich plecy. Nie mogę strzelać. Z trudem podnoszę się i biegnę dalej.

Korytarz znowu się zwęża, jednocześnie opór wycofującego się wroga słabnie. Po chwili jest już tak wąsko, że można iść tylko pojedynczo. W nikłym świetle na nowo zapalonych latarek, na wprost majączy pionowa ściana, a więc zakręt. Dawid, o ile dobrze widzę w mroku, rozgląda się bezradnie.

— Czy ktoś ma jeszcze ręczne granaty? — woła w ciemność.

Tuż za mną rozlega się odpowiedź:

— Są... Już idę — snajper plutonu J. T. Woodrow z trudem przechodzi koło mnie. W tej samej chwili bliska eksplozja rzuca na nas Dawida. Z góry sypia

się cegły i kamienie. Pył i kurz błyskawicznie oblepiają płuca, ale oprócz nich czuć coś jeszcze...

— Gaz! — słychać czyjś stłumiony okrzyk.

Automatycznie wstrzymuję oddech. Pokonując drżenie rąk, wyciągam z torby maskę przeciwgazową, taśmy mocujące zaczepiają o lufę erkaemu, szarpnięcie, taśmy urywają się po jednej stronie. Dusząc się przykładam maskę do twarzy i przyciskam z całej siły. Czyjaś porzucona latarka świeci mi prosto w twarz. Załamionymi od ostrego światła oczami widzę przyciśniętego do mnie Woodrowa. Zdażył wyjąć maskę, ale rękę ma uwięzioną przez pasek zasypanego gruzem karabinu. Nie może dosięgnąć twarzy. Nic może użyć drugiej ręki ani się schylić, bo przyciskam go do ściany. Jest za ciasno, żeby zrobić cokolwiek. Nie widzę jego twarzy, czuję tylko, jak się szarpie, bezskutecznie usiłując ruszyć w którąkolwiek stronę, coraz słabiej. Jedyna ręka, którą mógłbym coś zrobić, przyciskam do twarzy maskę pozbawiona taśm. Pył powoli opada, pokrywając latarkę, której światło staje się mniej rażące. Woodrow nieruchomieje. Wciąż nie mogę dostrzec jego twarzy, a z niewiarygodną ostrością widzę tylko dłoń, kurczowo ściskającą gumową część maski. Po chwili docierają do mnie pierwsze dźwięki, ale ponad wszystko wybija się w łasny świszczący oddech. Nagle znika światło latarki odwracam głowę. Kątem oka zauważam, że podniósł ją Sparks, jest bez maski. Zdejmuję swoją, ostrożnie pociągam nosem. Nie czuć już gazu. Z trudem wysuwam się spod przygniatającego mnie ciała, które zwala się w dół. Jak automat podnoszę erkaem i zawieszam go na ramieniu. Rzucam porwaną maskę do wody. Chcę wyrzucić również pustą torbę, jednak po chwili wyrywam maskę z dłoni Woodrowa i wkładam do własnej torby. Chcę odejść, ale wiedziony jakimś podświadomym impulsem wyławiam własną maskę i wpycham między zaciśnięte palce leżącego...

Ruszamy dalej. Korytarz jest zasypany gruzem, tak że chwilami trzeba się czołgać bez możliwości podniesienia głowy. Klaustrofobia daje znać o sobie ze zdwojoną siłą. To, że nie wariujemy, że jeszcze posuwamy się do przodu, zawdzięczamy już tylko otępieniu. W mroku ginie także czas. Gdy docieramy do szerszego miejsca, znowu brnąc po pas w gęstniejącej wodzie, nie potrafię powiedzieć, jak długo szliśmy od zawału. Gmatwa się także pamięć, tworząc jedną całość tak, że nie można już oderwać żadnego elementu, nie można uciec do żadnego z przechowywanych obrazów, nie można zobaczyć już nikogo. Czarna pustka jest nie tylko na zewnątrz, mam ją także w środku. Być może sam jestem czarną pustką...

Błyskają silne światła. Chcę się za czymś schować, ale nie ma za czym. Podnoszę lufę karabinu. Jak przez watę słyszę krzyk:

— Dexter, to nasi, nie strzelaj!

Jednocześnie ktoś chwyta; mnie za rękę. Opuszczam broń, stojąc oślepiony — i tak chyba nie byłbym już zdolny strzelać. Wychodzimy na szeroką i suchą przestrzeń. Jest oświetlona intensywnym czerwonym światłem lamp przeciwdymnych. Pod ścianami leżą w bezładzie jacyś faceci w mundurach. Wszędzie widać porzucony sprzęt. Z oddali dobiega głuchy huk wystrzałów.

Podchodzi jakiś oficer. Patrzy pytająco.

— Pluton F czwartej kompanii — mówi Dawid. Nie melduje, tylko mówi.

— Pluton? — oficer lustruje naszą grupkę. — Gdzie jest dowódca i gdzie zostawiliście zapasową amunicję?

— Dowódca nie żyje, a trolleje musieliśmy zostawić, nie mieściły się w wąskich korytarzach.

Oficer podnosi brwi.

— Czy dowódca żył jeszcze, kiedy zostawialiście wózki? Czy to on powziął tę decyzję?

— Tak — kłamie Dawid.

Tamten patrzy na mnie jakby szukał potwierdzenia. Nie ruszam się.

— Dobrze — mówi. — Wyjście stąd jest chwilowo zablokowane — przerywa, jakby chcąc, żebyśmy usłyszeli strzały — ale to nie potrwa długo. Od pocznijcie z godzinę, potem przyślę nowego dowódcę i zostaniecie włączeni do akcji.

Dawid chce coś powiedzieć, ale nie śmie się przeciwstawić. Zrzucam ładunek pod najbliższą ścianą, kładę się na ziemi i popadam w bezsenne odrętwienie.

Ze snu budzi mnie Dawid. Któżby inny? Pustka wypełnia się znowu obrazami, choć czerwone światło nie odpycha mroku, fragmentarycznie tylko blokując jego dostęp. Dawid podaje mi pastylkę — gorzki, słony smak rozlewa się po całym gardle, całym ciele. Jeśli to środek pobudzający, działa niezwykle powoli. Porozrzucany sprzęt odzyskuje kontury, a twarze leżących przybierają koloryt z płócien Jordaensa czy Bouchera. Światło ruchome jak płomień deformuje przestrzeń nieregularnie rozrzuconymi blaskami i cieniami. Przywodzi to na myśl coś znanego... Piekło? Banał tego określenia wywołuje dreszcze. Podnoszę głowę do góry. Lampy drgają od wstrząsów i dalekich eksplozji. A więc nic wspólnego z płomieniem, choć światło wydaje się bardzo ciepłe.

Wstaję powoli. Mundur mam już suchy, musiałem tu długo przeleżeć. Dawid czeka bez zniecierpliwienia, gdy sprawdzam ranę na brzuchu. Nie ma jej. Zbieram cały ekwipunek, narzucam na siebie. Oddalamy się od huków i od światła. Trzeba zapalić latarki. Kiedy korytarz rozszerza się dostatecznie, Dawid przywołuje mnie ruchem ręki. Idziemy obok siebie w milczeniu. Hałasy oddalają się coraz bardziej, wreszcie giną. Słychać już tylko odgłos naszych kroków.

— Przejrzałem dokładnie papiery naszego jeńca... — odzywa się nagle i swoim zwyczajem znów milknie.

Ze sklepiennych nawisów ściekają krople, rozbijając się na naszych hełmach. Schodzimy w dół.

— Odkryłem w nich, albo wydaje mi się, że odkryłem, możliwość wyjścia.

Spoglądam na niego zdziwiony. Widzę tylko niewyraźny, drgający kontur jego twarzy na tle oświetlonej latarką ściany.

— Zawiadomiłeś oficera? — pytam. Milczenie.

— To przejście jest tylko dla dwóch — mówi po chwili.

— Nie rozumiem.

Znów przerywa.

— Zaraz zobaczysz, chyba już dochodzimy...

Droga obniża się jeszcze bardziej, sklepienie znika gdzieś w górze, a przed nami pojawia się idealnie spokojna powierzchnia podziemnego jeziora. Dawid wyjmuje coś ze swojego plecaka, zdiera opakowanie i rzuca na ziemię. Rozlega się syk i furkot rozkładanego materiału. Po chwili leży przed nami nadmuchana z przykręconej do obrzeża butli, jednoosobowa lotnicza dingi.

— Była tylko jedna łódka. Jeszcze jak wyskakiwaliśmy ze spadochronami zestrzelono jakiś samolot. Udało mi się odszukać jednego z pilotów i kupiłem tę łódkę. Oni to mają w wyposażeniu awaryjnym.

— Nie zawiadomiłeś nikogo o tym odkryciu?

— Wspomniałem jednemu porucznikowi. Gdy tylko usłyszał, że opieram się na przypuszczeniach i że trzeba przepłynąć jezioro, o mało mnie nie wyśmiał. Tam mają co innego do roboty.

Przedłużające się milczenie.

-- Dexter...

— Co?

— Czyżbyś miał wyrzuty sumienia?

Wzruszam ramionami.

— To pakujemy się do tej łupiny. Erkaem lepiej zostaw, jest za ciężki.

Rzucam żelastwo na ziemię. Odpinam też ładownice.

— Masz to — podaje mi. malutki UZI ze złożoną kolbą i pęk spiętych gumką magazynków. Mocuję pistolet pod kurtką i chowam magazynki do kieszeni. Chwytam za wiosło wielkości rakiety do ping-ponga. Płyniemy dość szybko, gumowa łódka, choć przeciążona, nie stawia dużego oporu.

Nie widać sklepienia. O jego istnieniu informują tylko krople przeraźliwie zimnej wody, rozbijające się z dużą siłą na rozpalonej twarzy, ilekroć spoglądam w górę. Ciszę burzy monstrualnie zwielokrotniony odgłos wiosłowania i szelest materiału naszych kurtek.

Mam wrażenie, że stanowią środek tego wszystkiego, że wszystko krąży wokół mnie, zatracając niezależną formę i jednoznaczny wymiar. Trwa to tylko chwilę. Pojawienie się przeciwległego brzegu przywraca normalne wartości przestrzeni. Mrok nie jest już bezkresną pustką — obejmuje mnie lepkimi palcami.

Wyciągamy łódkę na wąski mulisty brzeg. Przed nami lita kamienna ściana, na szczęście dość niska. Wspinamy się na nią, wchodząc jeden na drugiego. Widać tu wyraźne ślady działalności człowieka. Sklepienie podparto drewnianymi stemplami, a podłoże wybetonowano. Wojskowe buty wałę po nim z niechętnym łoskotem. Już za pierwszym zakrętem perspektywa korytarza rozjaśnia się delikatną poświatą i aby zachować ciszę, jesteśmy zmuszeni iść bardzo powoli.

Światło staje się coraz ostrzejsze, wreszcie dostrzegamy szeroki otwór, przez który mimo oślepionych oczu widzę nieruchome w promieniach wschodzącego słońca drzewa. Czuję powiew ciepłego powietrza. Do pokonania pozostaje ostatnia przeszkoda: dwumetrowe, całkowicie wybetonowane wgłębienie w ziemi. Trzeba zejść na dół, przejść kilka metrów i wspiąć się po drugiej stronie, nic trudnego, tylko że z zewnątrz dobiega odgłos kroków pojedynczego

człowieka. Słuchamy przez chwilę. Chodzi tam i z powrotem, chyba wartownik.

Powali opuszczam się na rękach. Dół okazuje się głębszy niż przypuszczałem, nogi nie sięgają podłoża. Nie mam siły podciągnąć się z powrotem, by zdjąć buty, czy też chwycić za rękę Dawida, aby opuścił mnie niżej. Odpycham się lekko i skaczę na sztywne nogi. Cichy stuk twardych butów, ból w kolanach. Nasłuchuję. Kroki nie zmieniają rytmu. Teraz schodzi Dawid, nagle zaczyna paskiem peemu o jakiś występ. Próbuje się uwolnić i spada, waląc żelastwem o beton. Wyszarpuję pistolet spod kurtki i zwalnięm bezpiecznik. Ktoś nadbiega z góry, kiedy ukazuje się nad krawędzią, przyciskam trzykrotnie spust, strzelając z obu rąk krótkimi seriami. Postać łamie się w tył i wylatuje ponad krawędź, pchana siłą rozpędu. W chwili gdy uderza o beton, z dłoni wypada granat, który skacząc toczy się w moją stronę. Za późno na jakąkolwiek ucieczkę. Rzucam się na podłogę, głową w kierunku granatu. Hełm wytrzyma eksplozję, trzeba tylko jak najmniejszą powierzchnię ciała wystawić na odłamki. Kątem oka dostrzegam, że Dawid robi to samo. Zaciskam powieki, w momencie wybuchu powstaje próżnia, muszę wyrzucić powietrze z płuc. Uczucie dławienia. Nie myśleć... Najlepiej liczyć sekundy: tysiąc, jeden, tysiąc dwa — jak cholernie blisko leży ten granat — tysiąc trzy, tysiąc cztery, tysiąc pięć — duszę się — tysiąc sześć — czemu nie wybucha, duszę się — tysiąc siedem, tysiąc osiem — a może tamten nie zdążył wyrwać zawlecзки? Ta myśl elektryzuje cały umysł. Bezwiednie wciągam powietrze i otwieram oczy. W pierwszej chwili poraża je jasne światło, ale szybko się przyzwyczajają.

Nie leżę już w betonowej niszy, w polu widzenia przesuwają się jakieś postacie, w tle dostrzegam wyciągnięte na brzeg łódzie... Brzeg? Nie, nie może to być brzeg, łódzie ustawione na płaskim, względnie równym terenie, nie wskazującym na to, żeby w pobliżu była jakaś rzeka czy jezioro. Nie widać też horyzontu, dalszy plan ginie w gęstniejącej wraz z odległością mgle.

Ktoś trąca mnie w ramię. Słyszę śmiech i pytanie:

— Długo będziesz tak leżał?

Przewracam się na plecy. Nade mną stoi roześmiana, ciemnowłosa dziewczyna w krótkiej niebieskiej sukience. Przyciska ją do ud obiema rękami. Kształtne, wyraźnie rysujące się pod cienkim materiałem piersi zasłaniają mi jej twarz. Wstaję i rozglądam się niepewnie. Po przeciwległej stronie teren przechodzi w łagodne pagórki, niknące w delikatnej mgle. Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

— Jestem Dexter Wilby — wyciągam rękę do dziewczyny. Ignoruje ten gest, uśmiechając się jednak przyjaźnie. Zdejmuję hełm. Jest cały.

— Zawsze śpisz w tej pozycji? — pyta.

— Nie spałem... — odpowiadam. Patrzę pod nogi, jakby spodziewając się zobaczyć coś, co łączyłoby się jakoś z poprzednim... z poprzednim czym? Światem, wizją, rzeczywistością?... Wzruszam ramionami. Stoimy na miękkim trawiastym gruncie, przetykanym gdzieś tam łatanami piasku i kamieni. Omiotam wzrokiem jej uda i biodra, a później okoloną ruchliwą aureolą włosów twarz, o zaskakująco regularnych rysach. Sprawia to, że odruchowo przyglądam włosy i wydobywam najlepszą minę, na jaką mnie stać. Musi to wy-

glądać bardzo żałośnie. Waham się. Ona rusza w kierunku skupiska łodzi. Idę obok, ciągle wahając się, czy zadać to pytanie. Nie decyduję się na nie, rozmieniam je na drobne.

— Możesz mi powiedzieć, jak masz na imię?

Patrzy na mnie zdziwiona.

— Właśnie, jak mam na imię?

— To ty powinnaś wiedzieć.

Myśli przez chwilę.

— Nie wiem.

— Przypomnij sobie, musisz mieć jakieś imię i nazwisko...

Nie wiem. Przypominam sobie wiele imion i nazwisk, ale nie wiem, które jest moje... Może wszystkie? A ty, jak masz na imię?

— Już mówiłem, Dexter.

— Ach, pamiętam, powiedziałaś: Dexter Wilby. CO to znaczy Wilby?

Wzdycham.

— Nic nie znaczy, to nazwisko.

— Gdzieś już to słyszałam... Tak, przypominam sobie teraz, ktoś mi o tobie mówił.

Chcę zapytać kto, ale przerywa mi oberwany starzec, który pojawił się niespodziewanie. Stoi i celuje we mnie palcem.

— O co panu chodzi? — pytam. Brak odpowiedzi.

— Czy... — zaczynam, ale staruch przerywa mi krzykiem.

— Zostawiłeś go! Zostawiłeś... A ja muszę o tym przypominać.

— Kogo zostawiłem?

— Ja jestem inny niż wszyscy! — krzyczy coraz głośniejsze — ja nie zapomnę i tobie nic pozwolę zapomnieć. Będę o tym przypominał wszędzie, o każdej porze i przy każdej okazji. Coraz silniej i coraz częściej.

— Hej, czego pan ode mnie chce? Co ja...

— Będziesz pamiętał! Będziesz musiał pamiętać!

Stary zacietrzewił się jeszcze bardziej. Staram się go ominąć, nie zmienia kierunku, mierzy teraz palcem w pustkę. Widzę go już od tyłu. Powoli zwiija dłoń w pięść i grozi komuś niewidzialnemu przed sobą.

— Będę ci przypominał o wszystkim i będę ci niszczył. Tak, niszczył... — Przerwał, jakby słuchając odpowiedzi. — Mnie nie można unicestwić, będę trwał tak długo jak ty. Jeśli mnie zlikwidujesz, to tylko pozornie, odrodzę się na nowo jak koszmar... I będę silniejszy.

Starzec w dalszym ciągu nie zwraca na mnie uwagi. Nie może mówić do mnie.

Rozglądam się w poszukiwaniu dziewczyny. Wyprzedziła mnie sporo, dostrzegam jej pośladki kilkadziesiąt kroków przede mną. Doganiam ją. Dysząc, rozgrzany biegiem, zadaję jej to pytanie.

— Słuchaj, czy możesz powiedzieć mi, gdzie jesteście?

Nie ogląda się na mnie nawet.

— Wątpię, żebyś chciał to wiedzieć, ty chyba szukasz czegoś innego...

— Powiedz.

— Ty chyba szukasz czegoś innego...

— Skąd wiesz, czego szukam?

Odwraca się i chwytą mnie za ramię.

— Nie wiem, ale każdy czegoś szuka, każdy albo się z czymś zмага, albo ucieka...

Opuszczam wzrok. Dziewczyna wydaje mi się teraz bardzo banalna. Żałuję rozprysniętej tajemniczości. Zresztą być może nieobiektywnie oceniam zdarzenia, ale nie lubię, kiedy ktoś z całą pewnością twierdzi, że każdy robi to a to, lub że ludzie są tacy a tacy. Tak jakby wiedział. Przewrażliwienie.

Dziewczyna ciągnie mnie za ramię.

— Chodź, chodź.

Zbliżamy się do łodzi. Przystajemy.

— Połóżmy się na trawie — mówi.

Czuję ogarniającą mnie falę ciepła. Skwapliwie odpinam plecak i siadam na ziemi. Ona kładzie się obok, ale dalej niż na odległość ramienia. Zawstydzam mnie niewinność jej gestów. Mimo to nie rezygnuję. Przysuwam się, łapiąc ją za szyję. Dotykam wargami jej warg. Prawą rękę przesuwam po jej boku coraz niżej, po dojściu do połowy uda i końca sukienki zmieniam kierunek na przeciwny.

Szarpie się.

— Nie, nie mogę.

Chwytą mnie za nadgarstek i odpycha.

— Nie — powtarza. Wstaje wygładzając fałdy materiału.

Rozgląda się niepewnie i odchodzi. Coraz szybciej.

Przewracam się na bok, wkładając pod głowę plecak. Zobojętniały obserwuję kręcących się ludzi w dziwnych ubraniach. Właściwie nie tyle ubrania są dziwne, co ich zestawienie. Eleganckie garnitury obok spłowiałych dżinsów i pocerowanych koszul, ciepłe zimowe futra obok kusych plażowych kostiumów, wieczorowe suknie i robocze dreluchy pobrudzone smarem. Mieszają się kobiety i mężczyźni, postacie duże, chude, grube, małe, bezbarwne i charakterystyczne, inteligentne i bezmyślne, zdecydowane i popychane przez tłum, bezwolne.

Odwracam wzrok, patrzę na łodzie. Też są różne. Widać małe spacerowe łódki z wiosłami, większe żagłówki czy nawet jachty, łodzie odkryte, z brezentowymi daszkami, bądź też zabudowane kabinami. W plątaninie wielu kształtów i kolorów można dostrzec cechę wspólną: są od dawna nic używane, po prostu stare. Jednak mimo spłowiałych barw, sflaczałych, nieruchomo zwisających żagli czy luźnych lin wydają się jeszcze sprawne... Łodzie... Symbol czego?

Opuszczam głowę i zamykam oczy.

Unoszę powieki, czując przenikające mnie zimno. Wokół zamiast jasnej, pełnej światła przestrzeni — gęstnieje zawiesina mroku. Czern jednak nie jest kompletna, mimo braku konkretnego oświetlenia rozpoznaję miejsce, w którym się znajduję. To jeden z korytarzy katakumb. Podnoszę się z trudem, wolno wykonując ruch po ruchu, hamowany jakąś paraliżującą siłą. Brnąc w zwolnionym tempie jak we śnie, idę przed siebie. Wszystko drga wokół nieostrzegalnie, aby co jakiś czas zwiększyć amplitudę, stać się jawnym i wyraźnie odczuwalnym wrażeniem. Ja drzę również. Trzęsące się ręce z trudem przyciskam do nóg, niepewnie szukających oparcia, zęby rytmicznie uderzają

o siebie. Boję się oglądać, a nawet spojrzeć w bok na ściany. Powoli, grzęznąć w czymś niematerialnym, idę przed siebie. Po dłuższej chwili w ciemności pojawia się jaśniejsza plama. Podchodzę bliżej. To kości szkieletu. Chyba niejednego. Leżą w nieładzie wśród zardzewiałej, pooblepianej czymś broni. Wokół poniewierają się stopy zaśniedziałych łusek. Staram się przejść nie dotykając niczego. Kilka kroków dalej, wśród czegoś, co wygląda jak zgniłe lepkie smaty, spostrzegam leżący w nienaturalnej pozycji jeszcze jeden szkielet. Dawno rozłożone ścięgna nie trzymają już kości, niektóre z nich wchodzą na siebie, niektóre potoczyły się dalej. Z lewej strony, wśród luźnych kości dłoni leży stara maska przeciwgazowa z urwanymi paskami. Poznają to miejsce. Posuwam się drogą oddziału. Nic nie rozumiem, nie wiem, co robić dalej, nic nie czuję.

Powoli otwieram oczy. Leżę z plecakiem pod głową, dokładnie naprzeciwko tej samej łodzi... tej samej? Coś uderza mnie w jej wyglądzie. Popękany lakier osypuje się w wielu miejscach, ukazując zeschnięte, spróchniałe gdzieśgdzie drewno, porozdzielane ciemnymi szparami. Jeszcze niedawno smętnie zwisający żagiel jest teraz w strzępach. Maszt przechyla się w stronę obniżonej burty, z którą nie łączą go już porwane wanty.

Wstaję i zarzucam plecak na ramię. Dalej jest to samo, nic widzę ani jednej całej łodzi. Słyszę płynące skądś słowa, idę w ich kierunku. Na środku niewielkiej przestrzeni między łodziami siedzi w swobodnej pozycji jakiś mężczyzna w wyszarzonym i wytartym garniturze. Widzę jego profil i wiem, że już go widziałem. Podchodzę bliżej. Tak, znam go. To Fred Willow-Terence, dobry znajomy Dawida. Już na pierwszy rzut oka widać, że zmienił się bardzo. Zachował jeszcze młodzieńczy wyraz twarzy, ale, na ustach zastępnym grymas, deformujący ich linię, a jasne, patrzące niegdyś prosto oczy są rozedrgane, prześlizgują się niepewnie po wszystkich znaczących punktach terenu, nie zatrzymując się na żadnym. Szczególnie często spogląda jednak przed siebie, tak jakby rozmawiał z kimś tam stojącym. Oprócz nas dwóch nie ma tu nikogo.

— Nie, nie chcę się wtrącać w twoje życie prywatne — mówi zaferowany — i nic mnie nie obchodzi, co zrobisz dalej. Chcę ci tylko zwrócić uwagę...

Przerwa.

— Tak, mówię to teraz i będę powtarzał, że Wilby jest człowiekiem bezwartościowym, pustym wewnątrz. On wywiera zły wpływ na ciebie!

Znowu przerwa.

— Właśnie ludzie prymitywni i bezwartościowi mają na ogół silną osobowość i często wywierają na otoczenie destruktywny wpływ.

Przerwa.

— Ja nawet nie wiem, czemu się z nim przyjaźnisz, czemu na to pozwalasz? Czy nie dostrzegasz, że płytka i mało świadoma, ale właśnie przez to spójna, silna i zaborcza osobowość Dextera negatywnie na ciebie oddziałuje?

Dłuższa przerwa.

— Dobrze. Jeśli chcesz, nie będę to tego wracał, ale pamiętaj... — Znowu przerwa.

— O.K. Nie odchodź, naprawdę już nie będę. Wspominałeś coś, że was zmo-

bilizowano... Będziecie w tej samej jednostce? I on jako twój podwładny?... Przynajmniej nie skompromituj się tym, że znowu będziesz go forował...

Nie mogę się zdobyć na to, żeby mu przerwać, nie mogę też słuchać dalej, wycofuję się powoli. Idę gdzieś przed siebie, mijając ludzi zaprzątniętych własnymi sprawami. Chciałbym ich zaczepiać i pytać, gdzie jestem, co tu się dzieje, ale spoglądam w nieobecne, zamyślane, roześmiane, gadające lub milczące twarze i nie mogę się zdecydować. Uderza mnie jedno. Nie ma w tłumie ludzi młodych. Gdzieniegdzie widać jeszcze osoby w średnim wieku, ale przeważają starsi. Nie widzę ich dokładnie, jakby wzrok nie mógł zogniskować się na wybranych przez mnie fragmentach. Nieposłuszny woli wydobywa jakieś charakterystyczne szczegóły, nienaturalnie powiększone twarze, rzucające się w oczy cechy, pozostawiając resztę pod nieprzeniknioną zasłoną. Można uchwycić całość, ale nie można jej rozbić na poszczególne jednostki, tak jak nie można przypomnieć sobie konkretnych osób z widzianego na ulicy tłumu.

Wyraźnie wylania się tylko jedna postać. To ten sam staruch, którego widziałem poprzednio. Już nie krzyczy i nie wymachuje rękami. Gdy podchodzę bliżej, dobiegają mnie jego zimne, cedzone spokojnie słowa:

— Zostawiłeś go, zostawiłeś go, zostawiłeś go...

Idę dalej, słysząc ciągle jego głos, przechodzący w coraz wyższe tony:

— Mnie nie można zniszczyć, cokolwiek byś zrobił, będę tylko coraz silniejszy! Nie można mnie uśpić!!!

Siadam zmęczony, gdzieś z dala od rozsypujących się łodzi. Wyrzucam zawartość plecaka na ziemię i przeglądam bezmyślnie. Najwięcej miejsca zajmuje część kartoteki oddziału, którą z bezsensownych powodów kazano nam przenieść. Odwijam foliowe zabezpieczenie i przerzucam papiery w poszukiwaniu własnej karty. Nie ma jej w tym zestawie. Znajduję za to kopertę z napisem: Sergeant Dawid Marjoe Shennan. Przez chwilę się waham, potem odklejam zamykającą taśmę. To akta osobowe. Jest tu wszystko, dokładny ciąg zdarzeń od czasu urodzenia do ostatniej mobilizacji. Zatrzymuję się nad sprawozdaniem lekarskim:

„...chorób zakaźnych nie przechodził, w dzieciństwie kłopoty z wymową — ustąpiły w wieku szkolnym. W tym też okresie łagodne objawy schizofrenii — niezaawansowane rozdziwienie jaźni. Symptomy nie rozwijały się i ustąpiły w wyniku przeprowadzonej terapii. W okresie wyższych studiów skomplikowane złamanie kości udowej podczas wypadku samochodowego. Odzyskał sprawność w krótkim czasie. Usunięty z uniwersytetu za używanie narkotyków, głównie meskaliny, co doprowadziło do utrzymujących się przez pewien czas zaburzeń osobowości o podłożu schizofrenoidalnym. Po kuracji w klinice wojskowej przyjęty do Sił Zbrojnych z zastrzeżeniem, które wycofano po upływie czternastu miesięcy...“

Przerzucam kartki, są jeszcze opinie, jakieś wykazy, sprawozdania...

Przerywa mi nadejście dziewczyny — w spłówiącej, poroździeranej miejscami niebieskiej sukience. To ta sama, którą już spotkałem. Tak, na pewno ta sama, choć trudno już nazwać ją dziewczyną. To dojrzała kobieta, z siatką zmarszczek pod oczami, przeredzonymi włosami, o pewnych,

zdecydowanych ruchach, w których dawno już zabrakło nieśmiałości czy wahania. Podchodzi bliżej i przysiada naprzeciwko. Lustrujemy się wzrokiem w milczeniu.

— Jesteś czymś zajęty? — pyta wreszcie, omijając delikatnie jakieś nie wypowiedziane słowa wiszące w powietrzu. Kręcę przecząco głową.

— Przyszłam ci coś powiedzieć — przysuwa się trochę.

Patrzę pytająco.

— Chodzi o to, że... — w tym miejscu przerywa, zastygając nieruchomo, by po chwili zerwać się i krzyknąć:

— Szeregowy Dawid Shennan wystąp! W lewo zwrot. Dwa razy dookoła placu przed frontem kompanii biegiem marsz!

Chcę się podnieść zaskoczony, ale nie jestem w stanie. Coraz mniej wyraźnie widzę zniekształconą wściekłością twarz wrzeszczącej kobiety.

— Stój! Z której nogi się zaczyna? Odpowiadaj...

Znowu jestem w katakumbach, poddając się ogarniającej wszystko ciemności. Nie znajduję się w tym samym punkcie co poprzednio. Sądząc po zastygłym, jakby przyklepionym do ściany ciemnoczerwonym śladzie światła, jest to miejsce odpoczynku żołnierzy. Nie widać szczątków ludzkich, tylko skołtunioną masę porzuconego sprzętu, zdolnego wypełnić chyba wszystkie strony katalogu wyposażenia armii. Nie rejestruję zmysłami całych fragmentów, drogi czasem dostrzegam tylko wydobyte według nieznanych reguł szczegóły, czasem widzę wszystko całkiem wyraźnie. Korytarz kończy się, ukazując rozległe podziemne jezioro. Potrącam coś leżącego na ziemi. To porzucony erkaem i splątany pas z ładownicami.

Czuję wokół siebie coraz większe zimno. Otwieram oczy i zrywam się zaskoczony. Stoję po kostki w wodzie, jej strugi spływają mi teraz po plecach, oblepionych mokrym mundurem. Nieruchome lustro ciągnie się aż po zakryty mgłą horyzont. O kilkanaście kroków z tyłu rozciąga się brzeg. Obok ktoś stoi. Przyglądam się ostrożnie, tłumiąc czający się na dnie świadomości irracjonalny lęk. To stara kobieta o rzadkich siwych włosach, opadających na pooraną zmarszczkami twarz, z czarnymi, odcinającymi się brwiami. Podchodzę bliżej, dostrzegam w niej coś znajomego. Tak, to ciągle ta sama dziewczyna. Stoi w wodzie nieruchomo, patrząc w dół pod nogi. Odkrycie wstrząsa mną, rozpryskując wodę biegnę do brzegu. Nie ma łodzi, pustą równinę zalegają resztki spróchniałych desek i zetłałych szmat. Rzadkie wypiętrzenia szczątków wskazują miejsca, gdzie stały większe konstrukcje, nie zachowało się już nic sugerującego ich dawne kształty. W nieruchomym powietrzu poruszają się tylko ludzie, błędząc bezmyślnie wśród rozrzuconych resztek. Dobiegają mnie pojedyncze głosy.

Ruszam ku najbliższemu. To Fred, choć znowu w pierwszej chwili nie mogłem go poznać. Jest bardzo stary. Jak poprzednio prowadzi rozmowę z kimś, kogo nie można dostrzec.

— Mówisz, że jutro odlatujesz? To ma być jakaś akcja w podziemiu?... Nic, nic nie wiem, gazety o tym milczą... Znowu będziesz przez cały czas z Wilbym.

Wykorzystuję przerwę, aby podejść bliżej.

— Cześć, Fred — mówię. — Poznajesz mnie?

Nie zwraca na mnie uwagi, ciągnie swoje:

— Nie gonię za chimera i nie zaprzeczam istnieniu wewnętrznego, konkretnego „ja“, to ty chcesz temu zaprzeczyć.

Potrząsam go za ramię:

— Fred, słyszysz mnie?

Nie reaguje.

— Wiem, że Dexter to twój przyjaciel, że to najbliższa dla ciebie osoba...

Szarpię go tak silnie, że przewraca się na ziemię.

— ...ale jest człowiekiem bezwartościowym! — krzyczy. — Dziwię się, że tego nie dostrzegasz. Nie rozumiem, jak taka osoba mogła stać się prawie częścią ciebie...

Cofam się najpierw tyłem, potem skręcam i uciekam przed goniącym mnie głosem. Staram się zaczepić kogokolwiek, ale jest to bardzo trudne. Ludzie odpowiadają oderwanymi, bezsensownymi zdaniami, jakby odgrywając jakieś nie związane z teraźniejszością sytuacje, albo nie odpowiadają w ogóle. Muszę z kimś porozmawiać. Biegnę na brzeg, do kobiety wciąż stojącej w wodzie. Szarpię ją, wykrzykując nieskładne, urywane słowa, żądając wyjaśnienia lub choćby chwili rozmowy, próby zrozumienia.

Ona odwraca się patrząc smutno.

— Czy myślisz, że jestem, inna niż wszyscy, że wiem coś więcej?

— Z tobą można nawiązać kontakt...

— Chyba z innymi też można, nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

— Gdzie jestem, co się tu dzieje? — krzyczę.

Wzrusza ramionami.

— Nie myśl, że się czymś wyróżniasz, że jesteś gościem w tym świecie. — Chwyta mnie za rękę i podnosi ją do góry. — Spójrz na siebie, jesteś jednym z nas.

Patrzę na swoją dłoń. Jest chuda, koścista, powleczone bezbarwną, pomarszczoną skórą. Nigdy taka nie była, schylam się, by zobaczyć w wodzie swoje odbicie. Patrzy na mnie stara twarz, o łysej czaszce z podkrążonymi, zapuchniętymi powiekami, osłaniającymi zaczerwienione oczy. Zataczając się docieram do brzegu. Siadam na piasku, nie usiłując już nawet uporządkować rozedrganych, wirujących wściekle myśli. Jak przez mgłę dociera do mnie głos zawodzącego na brzegu starca.

— To twoja wina, zostawiłeś go, zostawiłeś go, bo się bałeś. Tak, bałeś się o siebie, myślałeś tylko o sobie. To twoja wina!

Staruch wygraża obiema pięściami. Patrzy gdzieś w górę. Powoli zbiera się wokół niego coraz większy tłum. Nie przerywając zawodzenia cofa się pod naporem ludzi do wody. Uśmiecha się.

— A więc dręczę was... dręczę cię coraz bardziej — mówi w stronę skupionych ludzi. — Wiem, co czujesz i jak się męczysz. Ale tak już będzie do końca. Nie da się tego zmienić, nie da się odwrócić tej drogi.

Z tłumy wysuwa się parę osób, podchodzą do niego.

— Mnie nie można zniszczyć, pamiętaj, że nie można mnie usunąć...

Czterech mężczyzn chwyta go za ramiona i nogi i wciąga pod wodę. Wrzask tłumy głuszy wszystko. Szamotanina trwa krótko. Mężczyźni wychodzą na brzeg.

— Jego też — krzyczy jeden z nich — on też przypomina! — Podbiegają do mnie przy hałaśliwej aprobacie tłumu.

Pierwszy podnosi rękę do ciosu. Podbijam ją, wkładając mu jednocześnie ramię w zgięcie łokcia. Chwytam własną dłoń drugiej ręki, robię krok do przodu i naciskam utworzoną dźwignię z całej siły. Słyszę trzask łamanej kości, facet leci do tyłu. Kantem uwolnionej dłoni uderzam drugiego w krtań. Wiotczeje i osuwa się na ziemię. Trzeci łapie mnie od tyłu. Przytrzymuję go i kopię czwartego obiema nogami w twarz. Gdy tylko nogi odnajdują oparcie, przerzucam tego z tyłu przez plecy. Błyskawicznie, nie czekając na reakcję tłumu, odwracam się i uciekam. Biegnę przed siebie. Na pustej, lekko sfalowanej równinie nie ma się gdzie ukryć. Gonią mnie wszyscy, którzy stali na brzegu. Rozciągnięty korowód zastygłych w wysiłku twarzy, napiętych mięśni, stóp uderzających o ziemię. Jak to może wyglądać z boku? Zabawny maraton ścigających się starców.

Krew huczy w głowie, płuca nie mogą dostarczyć potrzebnej ilości tlenu. Biegnę coraz wolniej. Jeszcze kilka spazmatycznych ruchów i przystaję dysząc ciężko, niezdolny biec dalej. Kucam na ziemi, obejmując głowę rękami. Kurczowo zaciskam oczy w zapamiętanym z dzieciństwa odruchu, którym w śnie chciałem się pozbyć koszmarów.

Uczucie zapadania.

Ogarnia mnie chłód, jestem znowu w katakumbach, w korytarzu nad jeziorem. Zza łagodnego zakrętu wybiegają w zwolnionym tempie postacie goniących. Wstaję i brnę w przeciwnym kierunku. Mam obrzydliwe wrażenie, że coś trzyma mnie za nogi, zmniejszając i tak już małą szybkość. Wypełnia mnie strach, że biegnę zbyt wolno, że tamci mnie doganiają. Oglądam się, są coraz bliżej. Mimo wysiłku nie mogę przyspieszyć. Ruszam się jak zanurzony w czymś lepkim. W ostatniej chwili dopadam betonowej niszy, do której doszliśmy z Dawidem. Zeskakuję na dół. Oni zatrzymują się na górze. Po przeciwnej stronie stoi ten sam starzec, którego przed chwilą topiono. Zaczyna mówić wolno, bardzo wolno.

— Mnie nie można zniszczyć. Nigdy. Nie w taki sposób — przerywa, by zacząć znowu, dużo głośniejszym głosem. — Oto dowód winy — wskazuje na coś leżącego pośrodku niszy. — To jest dowód winy, nie da się go wymazać z pamięci.

Podchodzę bliżej. To trup człowieka w mundurze, leżący na brzuchu wśród niewyraźnych ciemnych plam. Odwracam go. Ma moją twarz, na pewno moją, choć zastygłą w nienaturalnym grymasie strachu i oczekiwania. Tuż za pogiętym, osmolonym hełmem widać na betonie ślady eksplozji.

Rozglądam się, niczego nie rozumiejąc. Patrzę na stojących u wylotu korytarza ludzi. Widzę ich coraz mniej wyraźnie, sylwetki blakną i rozplývają się bezgłośnie w powietrzu. Milkną też stojący obok starzec. Jestem sam. Nie walczę już z ogarniającym mnie bezwładem.

Pierwszy wdziera się w ciszę jednostajny szum, by rozpaść się następnie na pojedyncze dźwięki, które po chwili mogę już rozróżnić od siebie i nazwać: to popiskiwanie jakichś urządzeń, szum wody w rurach, przyciszona rozmowa. Z oddali dochodzi warkot samochodowych silników, zgrzyty hamulców, jęklive zawodzenie syreny — odgłosy wielkiego miasta. Potem zaczynam rozróżniać słowa rozmowy.

— Przyjdę jeszcze przed lunchem — mówił gruby męski głos. — Jeżeli zajdą jakieś komplikacje, to oczywiście proszę mnie wezwać wcześniej, ale nie sądzę, żeby coś się stało.

— Czy pacjent jest jeszcze w szoku?

— Nie. Mogą co prawda występować jakieś drobne zaburzenia, ale poza tym wszystko jest już chyba w porządku.

— Można pozwolić mu wstać?

— Tak, ale proszę nie wypuszczać go z pokoju, zanim nie wrócę.

Kroki. Trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Coś unosi mi powiekę. Zalew światła. Ukłucie zastrzyku. Ciepło rozlewa się po całym ciele, przywracając mu jedność. Z zamazanych kształtów wyłania się uśmiechnięta twarz niemłodej już pielęgniarki.

— Jak pan się czuje? — pyta przesłodzonym głosem.

— Dobrze — odpowiadam zgodnie z prawdą.

Przez dłuższy moment patrzymy na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Przeciągam się w łóżku i mając nogi oparte na poręczy, walę głową w poręczę po przeciwnej stronie. Cholerne łóżko. Przy moim małym wroście dali akurat takie, żebym nie mógł się wyciągnąć.

— Niech pan uważa — mówi pielęgniarka. — To niegroźna rana — ciągnie widząc, że patrzę na obandażowane ramię — ale musiała być bardzo bolesna. Przybiegł pan do helikoptera cały zakrwawiony. Doktor Andrews wyciągnął z rany kilka odłamków granatu.

— Nie pamiętam tego...

— To normalne, był pan w stanie szoku, przywieźli tu pana nieprzytomnego. Trochę pan majaczył.

— Majaczyłem?

— Tak, o tym, że kogoś pan zostawił czy coś takiego... Ale mam dla pana przyjemną wiadomość. Został pan odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. Wręczą go panu przy najbliższej okazji, na razie przyszło zawiadomienie.— Wciska mi do ręki jakąś kartkę.

Siadam na łóżku — nie wygląda wcale na takie małe.

— Czy może pani powiedzieć, kogo zostawiłem? Czyżby Dawid nie zdołał wyjść?

— Jaki Dawid? — zdziwienie ściera uśmiech z ust pielęgniarki. — Wymieniał pan inne imię.

— Jakie? — hamuję się, żeby nie chwycić jej za ramiona.

— Dexter... Tak, Dexter Wilby.

Szumi mi w głowie. Spoglądam na trzymaną w ręku kartkę.

„Rozkazem z dnia... — litery skaczą mi w oczach — przyznaje się Srebrny Krzyż Zasługi sierżantowi Dawidowi Shennanowi za...“

Rzucam się do tabliczki przy łóżku.

„Dawid Marjoe Shennan — rana podłankowa ramienia, szok“.

Dobiegam do lustra nad umywalką. Nic dziwnego, że łóżko było za krótkie. Pochylam swą studziwieńcdziesięciocentymetrową postać, by dostrzec odbicie bladej, okolonej jasnymi włosami twarzy Dawida.

— Czy coś się stało? — jak zza niewidzialnej zasłony dobiega do mnie głos

pielęgniarki. Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Odkręcam zimną wodę i chlapię na głowę. Wiem, że muszę coś powiedzieć, ale mimo wielu kłębiących się myśli żadnej nie mogę ucieleśnić i ubrać w słowa. Czuję się dobrze, czuję się dobrze — tłucze coś po mózgu.

— Jak pan się czuje? — pyta pielęgniarka.

— Czuję się dobrze — wykrztuszam.

— Może zawołam doktora Andrewsa?

— Nie trzeba, wszystko w porządku — z trudem układam wargi do słów.

Siadam z powrotem na łóżku. Pielęgniarka coś mówi, odpowiadam automatycznie. Za oknem hałas się zwiększa. W biurówcu naprzeciwko ludzie przerywają pracę, udając się na obiad.

Koloryt lokalny

Nad ranem, kiedy temperatura we wnętrzu stacji znacznie spadła, tuż nad podłogą unosił się, jak niespotykanej grubości dywan, obłok pary. Biały, choć zarazem przejrzysty, kłębił się i wirował pod nogami zmierzającego do zewnętrznych kabin Donnera. Zaklejające oczy resztki snu, przenikliwe mimo ciepłej koszuli i swetra zimno, i opary, jakby żywcem przeniesione z baśniowych bagien, tworzyły wraz z przyćmionym nocnym światłem wystarczająco przygnębiającą atmosferę, by pozbawić go resztek dobrego samopoczucia.

Starał się jak najszybciej przebyć płataninę ponurych korytarzy i chociaż droga z jego pokoju do miejsca pracy nie była długa, kiedy dotarł do przylepionych bezpośrednio do zewnętrznego pancerza stanowisk wymienników, czuł w skroniach niespokojny rytm przyspieszonego tętna. O tej porze panowała tu niska temperatura, jednak w porównaniu z lodowatym chłodem wnętrza stacji atmosfera wydawała się niemal tropikalna. Wszyscy z nocnego dyżuru już wyszli i w niewielkim, słabo oświetlonym pomieszczeniu zauważył tylko ślęczącego nad jakimiś papierami Dusty'ego i kogoś odwróconego plecami, zamkniętego w kabinie wymiennika.

— Jest coś nowego? — spytał szukając swej karty.

Dusty podniósł głowę znad papierów.

— Coś nie jest w porządku z odczytami i pobór mocy jest przekroczony o prawie pięć procent...

Donner wzruszył ramionami.

— Pytałem, co nowego. W tym wraku takie rzeczy słyszy się codziennie.

Nie otrzymał odpowiedzi. Zresztą nie spodziewał się jej. Właściwie prawie nie znał Dusty'ego. Tak jak z innymi stykał się z nim w pracy i podczas posiłków, rzadziej w czasie wolnym. Ani stacja, ani w ogóle jakikolwiek pobyt w przestrzeni czy na dalekich planetach nie sprzyjały zacieśnieniu stosunków między ludźmi. Poza niecierpliwym oczekiwaniem na wygaśnięcie kontraktów konsolidowała ich jeszcze jednakowa u wszystkich chęć powtójtu, w bardziej ludne strony. Powrotu o tyle beznadziejnego, że nie był, że nie mógł być trwały. Wszyscy po pewnym czasie, dłuższym lub krótszym, wyruszeni — obojętnie, tu czy gdzie indziej — pchani pragnieniem wyrwania się z monotonii

normalnego życia, mimo że oznaczało to tylko przejście z jednego obszaru nudy do drugiego, ciągnięci nierozzerwalnymi pętami nie potrzeby już, lecz nałogu. Nałogu nie obiecującego niczego poza nową nadzieją powrotu, który chociaż nie niósł ze sobą żadnej zmiany, to jednak łudził przerwaniem bezbarwnego łańcucha dni, pozorną zmianą otoczenia, zmianą świata... Co do zmiany ludzi, nikt już nie miał wątpliwości.

Donner zamknął nad sobą pokrytą brudnoszarymi zaciekami klapę kabiny wymiennika. Przypiął się pasami do fotela, nastawił wyłącznik czasowy i włączył dopływ prądu. Jako pracownik z dużym stażem i doświadczeniem nie odczuwał tak dotkliwie jak początkujący negatywnych skutków połączenia. Nie drażniły go elektrody wszczepione pod skórę, nie czuł zawrotów głowy ani uporczywych natrętnych myśli, które tak wielu zmusiły do zmiany zawodu. Niemniej długotrwałe działanie aparatu wywołało utrzymujący się często nawet przez kilka godzin po jego wyłączeniu nastrój przygnębienia i apatii, trudny do przezwyciężenia nawet za pomocą środków farmakologicznych.

Kiedy połączenie zostało dokonane, zespolił się psychicznie z jedną z prymitywnych istot spoczywających wśród wielu w płytkim szlamie, pokrywającym większość obszarów tej planety. Kierując myślami, wołał czy raczej odruchami amebowatego stworu, poderwał go z dna błotnistej niszy i powoli wyprowadził na suchszą równinę. Pokonując bierny opór kilkudziesięciotonowego stworzenia rozpoczął monotonne zbieranie radioaktywnych rud.

Tym razem jednak nużąca praca nie trwała długo. Nie zrobił nawet pełnego okrążenia pola, kiedy poczuł opanowujące go uczucie bezwładu, znak, że urządzenie łącznikowe przestaje działać. Otaczająca go granatowa ciemność zaczęła się powoli rozjaśniać, aby potem, jakby prawem kontrastu, przybrać postać bezmiennej czerni kabiny. Z chwilą kiedy ustał ucisk w skroniach, znowu stał się sobą. Nie był otepiał po tak krótkiej pracy, więc raczej z przyzwyczajenia zażył zwykłą dawkę środków pobudzających.

W pustym poprzednio pomieszczeniu panował teraz gwar i tłok nie pasujący do nastroju Donnera. Wśród dyskutujących członków ekipy technicznej z trudem odnalazł Dusty'ego. Dotarł do niego jednocześnie z pracującym w kabinie obok Ryanem. Dusty, jakby uprzedzając ich pytania, zaczął się usprawiedliwiać.

— Nie wiem, co się dokładnie stało, jest jakaś poważniejsza awaria. Na razie koniec pracy. Wątpię, żeby dzisiaj to usunięto, niemniej nie oddalajcie się zbyt daleko... — przerwał nad czymś się zastanawiając — albo nie, dam wam konkretną robotę.

Z szuflady biurka wyjął jakiś schemat i podał go Ryanowi.

— Sprawdź linię przesyłu mocy. Jeśli uda ci się pootwierać te stare kasety, to zwróć szczególną uwagę na złącza. Z różnic między rachunkami a prospektem firmy produkującej te urządzenia wynika, że zużywamy za dużo energii... Ty natomiast — zwrócił się do Donnera — mógłbyś sprawdzić jeszcze raz aparaty kontrolujące jałowy bieg...

— Przecież kazałeś mi robić to samo kilka dni temu, kiedy wysiadła centrala rozrzędu — powiedział Ryan.

— Wiem, ale musi tam coś być nie w porządku. Nie kontrolowany wpływ

energii wynosi obecnie prawie pięć procent, a pozostałe segmenty sam sprawdziłem. Tak duży pobór mocy mogą mieć już tylko urządzenia tamtej sekcji, trzeba to jeszcze raz obejrzeć.

Ryan wzruszył ramionami, spojrzął pytająco na Donnera, ale ten nie poparł go, zajęty własnymi myślami. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy sprawdzał urządzenia kontrolujące bieg jałowy...

— Musiało ci się coś pomylić, Dusty, nigdy nie byłem w tamtej sekcji — powiedział.

— Nie sil się na ironię, wiem, że to nudne, ale ktoś to musi zrobić, a ja jestem zajęty tutaj.

— Ale ja naprawdę nie mogę sobie przypomnieć, żebym coś takiego...

— Tym bardziej trzeba to zrobić teraz — Dusty był w podłym humorze, usiadł za biurkiem i zaczął nerwowo przerzucać jakieś papiery, co miało oznaczać, że nie są mu już potrzebni.

Ryan zaskoczony popatrzył na Donnera i na zdenerwowanego Dusty'ego, potem uśmiechnął się i ruszył w kierunku drzwi. Donner odruchowo poszedł za nim. W drzwiach Ryan odwrócił się.

— To dobrze, że go przytemperowałeś, niech sobie nie wyobraża zbyt wiele, chociaż chwilę wybrałeś niezbyt odpowiednią...

— Mówiłem prawdę — odparł Donner.

— Dobra — Ryan klepnął go z uśmiechem po ramieniu — lepiej odpocznij. — Włożył schemat do kieszeni i ruszył w kierunku pomieszczenia reaktora.

Niewielkie pomieszczenia urządzeń kontrolnych w zasadzie nie różniły się między sobą niczym szczególnym, to jednak, w którym pracował Donner, rzadko odwiedzane, odstraszało zwałami kurzu, który nierównomiernymi warstwami pokrywał wszystkie aparaty. Teraz unosił się on i wirował, drażniąc oczy i drogi oddechowe oraz potęgując początkowo nieuchwytny zapach stęchlizny. Nie zamierzał przebywać tu długo, wyjął z rejestratora graficzną kopię zapisu pracy urządzeń, dokonał pobieżnej kontroli połączeń i wściekły na archaiczny klimatyzator, mieszający tylko otaczający go pył, przeszedł do pobliskiego klubu.

Spojrzał na zegarek, dochodziła siódma — o tej porze nikogo tu nie było. Granatowoszara ciemność za nielicznymi iluminatorami powoli "zaczęła tracić swój głęboki ton, przechodząc w jaśniejsze odcienie. Mimo że przyzwyczajony do wczesnego wstawania, z trudem przystosowywał się do dziennego rytmu, nie pomagała nawet rurowata kawa z automatu ani nowa porcja środków pobudzających. Monotonne przeglądanie przyniesionych zapisów potęgowało nastrój senności. Dopiero kiedy dotarł do wykresu zużycia prądu, zainteresowała go niespotykana regularność zarejestrowanych wychyleń pisaka. Nie spotkał się z czymś takim przy żadnej awarii. Jedynym wytłumaczeniem mogło być to, że ktoś musiał podłączyć jakieś urządzenie do linii przesyłu, cóż, zwykle nadużycie... A jednak niepokojący był niezwykle kształt linii wykresu. Wynikało z niej, że co najmniej od paru tygodni podczas jałowego biegu przy konserwacji wymienników kradzież energii stale wzrasta i to o małe co prawda, ale mniej więcej równe wartości każdego dnia. Nie przychodziło mu na myśl żadne urządzenie o takim poborze mocy. Kojarzyło się to już raczej z powolnym wdrażaniem do pracy jakiejś wielkiej maszyny. O ile dobrze sobie przypominał,

niczego takiego, oprócz samych wymienników, na stacji nie było.

Od dłuższego czasu prześladowające Donnera podświadome uczucie powtarzania się sytuacji i myśli nasiliło się. Choć wydawało mu się, że nie ma natręctw myślowych ani innych bardziej odczuwalnych dolegliwości z racji swej pracy, teraz uświadomił sobie jednak uporczywe odradzanie się starych, zatartych zdań, skojarzeń, a nawet całych ciągów myślowych — zdarzało się to ostatnio coraz częściej.

Trochę nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał się po małej salce, nie mogąc zatrzymać spojrzenia na żadnym konkretnym przedmiocie. Wyszarzałe i wytarte obicia foteli, nie domykające się szafki, poplamiona czymś wykładzina i porysowane szkła iluminatorów uparcie podsuwały mu jakieś niejasne skojarzenia, których sensu nie był w stanie uchwycić. Złapał się natomiast na tym, że od dłuższego czasu usiłował policzyć, ile razy ostatnio odczuwał w tak dotkliwy sposób powtarzanie się sytuacji. Liczby nie mógł oczywiście podać nawet w przybliżeniu, ale musiało występować to bardzo często. Na pewno miewał przedtem, jak inni ludzie, niejasne uczucie, że już to wszystko przeżywał, ale nigdy nie była to tak jasna, sprecyzowana myśl jak teraz. Odruchowo wzruszył ramionami, nie mogąc otrząsnąć się z tego nastroju. Odłożył na najbliższy stół trzymane w rękę papiery.

Nie mógł połączyć się z Dustym — w sprawie swoich odkryć związanych z ubytkiem energii — linia była zajęta przez konsultujących się techników. Postanowił nagrać wiadomość na kasecie i wysłać pocztą pneumatyczną.

Otworzył szyfrowy zamek swojej szafki i wyjął magnetofon. Przewinął taśmę w kasecie do położenia zerowego i żeby zobaczyć, co kasuje, włączył odczyt. Po krótkim urywku jakiejś melodii rozległy się czyjeś ciche, ale brzmiące wyraźnie słowa. Upłynęła dłuższa chwila, zanim zorientował się, że to jego własny głos: „— Wiadomość dla Dusty’ego. Podczas kontroli urządzeń regulujących pracę wymiennika na jałowym biegu odkryłem, że strata mocy odbywa się właśnie gdzieś na linii łączącej wymiennik z rozrządem lub w samym wymienniku. Trudno w tej chwili dokładnie oszacować poniesione straty, najprawdopodobniej wynoszą one od trzech do pięciu procent ogólnych nakładów energii. Poza tym odkryłem, że straty energii podczas jałowego biegu stale rosną, zwiększając się codziennie o pewną stałą wartość”. Taśma przez chwilę jeszcze przesuwawała się szumiąc, by po słabym trzasku powrócić do przerwanej melodii. Donner wyłączył magnetofon. Było coś w otaczającej go ciszy, w mdłej szarości świtu, ledwie wydobywającego niewyraźne kształty za iluminatorami, i w nim samym, co kazało mu w tej chwili szukać towarzystwa innych ludzi. Nie mógł uporządkować kłębiących się myśli ani dojść do ładu z wyobraźnią, spiętrzającą ciągle nowe obrazy i wyjaśnienia, które odsuwał, nie mogąc ich zanalizować. Trochę podświadomie, jak skazany, który uspokaja się mając przy sobie drugą osobę, mimo że nie spodziewa się od niej konkretnej pomocy, ruszył w kierunku pokoju ekipy naprawczej. Nie było tam tylu ludzi, ilu spodziewał się zastać. Przy stole siedział tylko Dusty i doktor Merck. Po zaczerwienionych twarzach, nerwowych ruchach i stosie niedopałków w popielniczce poznał, że musieli się kłócić. Nie wiedział, od czego zacząć w tej sytuacji. Uprowadził go Dusty.

— Niepotrzebnie szukaliśmy awarii w całym wymienniku, okazało się, że to awaria komputera... Nie wyłączyliśmy go w porę i teraz wszystko jest unieruchomione, nie wiadomo na jak długo...

Przerwał mu wejście Ryana.

— Sprawdziłem całą linię — zaczął do progu — nigdzie ani śladu...

— To już nieaktualne — przerwał mu Merck — okazało się, że to awaria komputera.

Ryan wzruszył ramionami.

— Nie mogliście wcześniej uprzedzić? — Z niechęcią rzucił zarysowany różnokolorowymi mazakami schemat na stół przed Dusty'ego.

Przez chwilę milczał, jakby zastanawiając się, co ma powiedzieć, potem zwrócił się do Donnera, modulując swój głos tak, aby brzmiał lekko, mimo to można było w nim wyczuć nutę niepokoju.

— Słuchaj, czy przed snem jest ci tak zimno, że chodzisz się rozgrzać do pomieszczeń reaktora?

Donner spojrzał na niego zdziwiony, nie wiedząc, do czego Ryan zmierza. Natomiast Merck był zelektryzowany usłyszaną wiadomością.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał.

— Nie, nic takiego... — Ryan zdawał się teraz żałować, że poruszył tę sprawę — po prostu znalazłem w przedsionku reaktora dwa zdjęcia Donnera, tam jest taki automat, który przy otwarciu zewnętrznej klapy robi zdjęcia i notując czas wejścia i opuszczenia przedsionka. — Rzucił na stół dwie fotografie.

— Nie wiedziałem nic o tym automacie...

— Ja też dowiedziałem się dopiero dzisiaj. To pozostałość po poprzednim użytkowniku stacji. Wykonywali jakieś doświadczenia w komorze reaktora i potrzebny był im zapis, kto i jak długo tam przebywał.

Doktor Merck przeniósł wzrok na Donnera.

— Pokaż dozometr — powiedział sucho. Donner zerknął na fosforyzującą tarczę. Mała żółto-czarna wskazówka wychylała się daleko poza pierwszą z czerwonych trzech linii. Trzy głowy pochyliły się nad wskaźnikiem. Ktoś gwizdnął. Merck pierwszy podniósł głowę.

— Dlaczego to zrobiłeś? Jeżeli już musiałeś tam leżeć, to czemu tego nie zgłosiłeś? — rozglądał się przez chwilę, jakby szukając odpowiednich słów. — Nie wiesz, że grozi ci białaczka?! — Odwrócił się w stronę interkomu i wystukał numer ambulatorium.

— Właściwie, Donner, chciałem porozmawiać z tobą już od pewnego czasu — odezwał się Dusty. — Przed twoim przyjściem właśnie, mówiąc łagodnie, sprzeczałyśmy się z doktorem o...

— Może nie w tej chwili, kolego — przerwał Merck — trzeba go zabrać do szpitala.

— Myślę, że właśnie chwila jest odpowiednia, wszystko to w jakiś sposób się łączy i jeśli nie wyjaśnimy całej sprawy, może ona mieć poważne konsekwencje.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem, po co poszedłem do pomieszczeń reaktora. Nie pamiętam, że w ogóle tam byłem — powiedział Donner, jakby dopiero teraz ocknął się z zaskoczenia. — Przecież nie wchodziłbym tam, gdzie grozi

mi niebezpieczeństwo, a gdzie nie ma nic, co...

— To prawda, że tam niczego nie ma — wtrącił Ryan — to pusta sala, coś w rodzaju nie używanego od czasów naszych poprzedników magazynu. Nawet do właściwej komory reaktora nie da się stamtąd wejść bez wiedzy komputera...

— Skoro Donner utrzymuje, że nie pamięta swojej tam bytności, skąd wie, że sala jest pusta? — spytał podniesionym głosem Merck.

— To żadna tajemnica, wszyscy o tym wiedzą — odpowiedział Ryan.

— Wszyscy? Dlaczego ja nic nie wiem?

Ryan coś mruknął i spojrzał wymownie na Mercka.

— Może potem o tym porozmawiamy — przerwał dyskusję Dusty — są jeszcze inne sprawy, które chciałbym poruszyć. W zasadzie nie zwróciłbym na to uwagi, gdyby nie to, czego dowiadujemy się teraz... Od dość dawna niby przypadkiem albo żartem niektórzy ludzie skarżyli się, czy raczej dawali do zrozumienia, że Donner przedrzeźnia ich i naśladuje. Takie rzeczy są raczej trudne do zauważenia, a tym bardziej do słownego skonkretyzowania, dlatego dość dziwne wydało mi się, że kilka osób poruszyło tę sprawę. Poza tym rzucił mi się w oczy postępujący regres w sprawozdaniach Donnera, z których trudno było cokolwiek wywnioskować, składały się bowiem z coraz bardziej schematycznych zwrotów i formuł. Nigdy nie powiązałbym ze sobą tych faktów, gdyby nie to, czego dowiedziałem się dzisiaj tuż po awarii. Jeden z techników parę dni temu widział Donnera, gdy po pierwszej kontroli tych samych co dziś urządzeń nagrywał na taśmę wiadomość o swoich odkryciach, które wydawały mu się ważne. Zdziwił się, że posłałem tam Donnera jeszcze raz, zdziwił się jeszcze bardziej, gdy usłyszał, że nie dostałem wspomnianej wiadomości...

Mimo niskiej temperatury Donner poczuł spływające mu po twarzy grube krople potu. Spróbował je wytrzeć, ale z powodu drżenia rąk rozmazał tylko pot po gorącym czole.

— To prawda — głos z trudem wydobywał się ze ściśniętej krtani Donnera. — Przed chwilą znalazłem kasetę z nagraniem wiadomością, była w mojej szafce... dzisiaj doszedłem do takich samych wniosków... — Nie mógł zdobyć się na wysiłek, by w jakiś uporządkowany sposób przedstawić zdarzenia. — Ale naprawdę nie wiem, jak mogło do tego dojść. Nie mogę sobie nic przypomnieć...

Zlustrował otaczające go osoby. Ryan stał z boku, niewiele zdaje się rozumiejąc, ale uczuciowo chyba solidaryzował się z Donnerem — może dlatego, że wykonywali ten sam zawód, może z podświadomej chęci przeciwstawienia się kierownictwu, tak powszechnej u wszystkich ludzi niżej postawionych, a może z jakiejś innej jeszcze przyczyny. Z zachowania Mercka wyraźnie przebijała niezbyt maskowana nieufność, było pewne, że nie wierzy w ani jedno słowo Donnera. Natomiast z twarzy Dusty'ego nic nie można było wywnioskować. On też pierwszy przerwał milczenie.

— Jeśli wszystko jest tak, jak mówi Donner, to jest chyba tylko jedno rozwiązanie, które równocześnie tłumaczyłoby i jego zachowanie, i nienaturalne straty energii w tym sektorze...

— Proszę mówić dalej, chętnie wysłuchamy tej hipotezy, choć osobiście nie łączyłbym wymienionych faktów — odezwał się Merck.

— Moim zdaniem jest to wykorzystywanie aparatury łącznikowej w kierunku przeciwnym, od zewnątrz.

— Co za bzdura... — mruknął Merck, zakrywając jakby w nagłym zmęczeniu twarz dłońmi.

— Czy ktoś widzi inne rozwiązanie?

— Przecież istoty żyjące na tej planecie i wykorzystywane przez nas nic są rozumne. Ich instynkty sprowadzają się do inteligencji ameby ważącej kilkanaście ton. W jaki więc sposób te bezrozumne kolosy potrafiłyby opanować tak skomplikowaną aparaturę, jaką stanowią wymienniki? -

— Nie wiem i nie jestem w stanie udzielić pewnej odpowiedzi przed dokładnym zbadaniem urządzeń stacji. Myślę jednak, że gdy codziennie podczas pracy łączą się tak różne istoty, nie jest trudno o dokonanie przeskoku, który może sprawić, że psychika ludzka nie będzie już dominująca. Wystarczył być może jeden przepalony przewód w wymienniku, tak mały, że nie zarejestrowała go aparatura kontrolna. Najnowsze z używanych przez nas urządzeń mają co najmniej po dziewięćdziesiąt lat, stąd mimo konserwacji tyle awarii i stąd być może wynika fakt, że po tak wielu przeróbkach nie w pełni nad nimi panujemy.

— Jak to możliwe, że wpływ na takiego człowieka nie ulega przerwaniu po opuszczeniu kabiny wymiennika?

— Każdy, kto tam pracuje, ma wszczepione na stałe elektrody. W chwili gdy opuszcza kabinę wymiennika, urządzenia przechodzą na bieg jałowy, kontakt więc nie ulega przerwaniu, lecz jedynie zmniejsza się do nieodczuwalnych wartości. Stąd też, aby uzyskać normalny kontakt poza kabinami, konieczny był wzrost pobieranej energii przy jałowym biegu. Dopiero po całkowitym wyłączeniu urządzeń kontakt się urywał.

— Nie wiem, jak na podstawie tak niewielu i tak trudnych do interpretacji faktów można wysunąć wnioski o obcej interwencji w psychikę Donnera. Ale nawet jeśli założymy, że tak się stało, jeśli założymy na przykład, że chcą w ten sposób opanować naszą stację, to jak wytłumaczyć bezsensowne zachowanie osoby podporządkowanej woli tych istot?

— Przede wszystkim nie wiemy — odparł Dusty — i nie wie tego sam Donner, czego zdołali dotychczas dokonać. Znamy tylko kilka oderwanych fragmentów z bogatej być może działalności człowieka podporządkowanego ich woli. Poza tym nie możemy przykładać do nich ludzkiej miary, nie można dopatrywać się zrozumiałych dla nas celów u kogoś tak odmiennego... Nie widzę innego wytłumaczenia dziwnego zachowania Donnera, tych luk w pamięci...

— A właśnie — przerwał mu Merck — jak pan wytłumaczy owo „przedrzeźnianie”, postępujący regres jego sprawozdań i co się z tym wiąże, o ile dobrze pana zrozumiałem, regres myśli i zachowań wśród innych ludzi?

— Nie mogę bez szczegółowych badań odpowiedzieć na to pytanie. Wszystko, co dotychczas mówiłem, opiera się na hipotezie, ale wydaje mi się, że w chwili,

gdy obca natura zdominowała świadomość Donnera, musiała też zawładnąć jego zachowaniem. W jaki sposób to robić, by nie odróżniał się od innych

osób? — to proste, starał się postępować jak one — stąd „przedrzeźnianie”. Ale to nie wystarczało, nie zawsze można brać przykład z innych, dlatego trzeba było sięgnąć do pamięci Donnera, do przechowywanych tam starych myśli, zdarzeń, reakcji, czyli... czyli schematów, na których opiera się zewnętrzny obraz człowieka.

Merck nie panował już nad sobą, rozłożone na pulpicie przed nim ręce drżały lekko, ale zauważalnie. Zwrócił zaczerwienioną nagle twarz w stronę Dusty’ego.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że można naśladować... Co tam!... Stworzyć człowieka, podrabiając parę schematów zachowań? Czy składamy się z samych schematów?

— Zapewne nie. Ale obraz otaczającej nas rzeczywistości, a przede wszystkim ludzi, odbieramy bardzo fragmentarycznie. W żadnej ze znanych nam osób nie dostrzegamy bezpośrednio owej „istoty wyższej”, dociera do nas zaledwie to, co sygnalizuje jej zachowanie, to, co widzimy na zewnątrz. W zależności od tego, jacy sami jesteśmy, rozbudowujemy i uzupełniamy te informacje, by dostosować świat do własnego punktu widzenia. Jacy naprawdę są ludzie, wiemy tylko na podstawie naszych domysłów. Dlatego może nie zawsze potrafimy dostrzec, czy pod zasłoną słów i gestów kryje się człowiek naprawdę, czy tylko my go tam chcemy widzieć.

— Nigdy się z panem nie zgodzę. To nie jest możliwe... Rozstrzygnięcie tak abstrakcyjnych problemów wykracza poza nasze kompetencje...

— Może, ale jest też realna sprawa, nad którą trzeba się zastanowić. Chodzi o to, czy mamy wznowić pracę po usunięciu awarii.

— Nic rozumiem.

— Mamy do dyspozycji kilka faktów, które ułożyliśmy w pewną hipotezę. Problem teraz w tym, czy zaryzykujemy i opierając się na wnioskach, do jakich doszliśmy, mimo całej niecodzienności sytuacji i nurtujących nas niepewności, wstrzymamy dalszą pracę bez względu na konsekwencje czy też podejmiemy ją bezpośrednio po usunięciu awarii, nie bacząc na niebezpieczeństwo...

Merck podniósł się powoli.

— Domyślam się, do czego pan zmierza, więc odpowiem panu z góry: nie, nie wiem, co spowodowało takie, a nie inne zachowanie Donnera, ale nigdy, powtarzam: nigdy nie uwierzę w podobne brednie wyssane z palca. Pan nie jest osobą kompetentną do tworzenia takich hipotez. Może pan być pewny, że jeśli zostanie zwołane zebranie zarządu, będę głosował za natychmiastowym podjęciem pracy po usunięciu awarii. — Szybkim krokiem podszedł do drzwi i otworzył je. — Powiem panu jeszcze tylko jedno — odwrócił się w progu. — Nie jest możliwe sterowanie człowiekiem przez jakies bezmyślne bydlę. Nikt i nic nie może nam rozkazywać ani podporządkowywać sobie rozumnych istot, jakimi jesteśmy... A my — zwrócił się do Donnera — chodźmy do ambulatorium.

Donner stał oparty o rdzewiejącą ścianę, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w niewyraźnej za zaparowanym iluminatorem przestrzeni na zewnątrz stacji, nie zauważając lub nie chcąc zauważyć z trudem maskowanych ciekawych spojrzeń, jakimi obrzucali go obecni. Potem powoli, jakby brnąc przez ośrodek

dużo gęstszy od powietrza, ruszył w kierunku jedyne­go zdawałoby się istnie­jącego dla niego punktu w przestrzeni — rozkazującego wzroku Mercka.

Zakład zamknięty

Kester wytarł ręce pobrudzone świeżą lepką ziemią w poły kurtki. Tak wielkie korzenia nikt jeszcze nie znalazł. Wyjął z kieszeni zaostzony na kamieniu kawał blachy i ostrożnie zaczął nim oskrobywać warstwę ziemi, spod której ukazała się biała powierzchnia zdrewniałej tkanki, ukrywającej jadalny miąższ. Obejrzał zdobycz dokładnie ze wszystkich stron. Nie było śladu brązowych plam sygnalizujących zgniłe wnętrza. Schował blachę, służącą mu za nóż, i ruszył w kierunku bungalowu. Był zadowolony tak, że prawie uśmiechał się mijając rozgrzebujące rękami ziemię grupki współwięźniów.

Dziś wagowym był Stolp. Kester nie cierpiał tego małego, zarozumiałego i pewnego siebie człowieczka. Nie lubił go, jak zresztą wszystkich pozostałych. Zdążył ich dokładnie znienawidzić w czasie przymusowego wspólnego życia. Na pamięć znał stereotypy ich zachowań, ich reakcje, wszystkie przyzwyczajenia i nawyki. Nawet w jego podświadomości tkwiły cudze wspomnienia, opowiadane w jesienne wieczory, kiedy nie można było zasnąć, bo cienkie, nieszczelne ściany bungalowów uginały się pod podmuchami wiejącego od strony pustyni wiatru i nie chroniły przed jego lodowatym tchnieniem.

Stolp był jak zwykle w dobrym humorze. Czekał przed drzwiami, wygodnie rozparty na podartym kocu, rozłożonym wprost na ziemi. Na widok Kestera podniósł się dość szybko, jakkolwiek zaznaczając, że robi to od niechcienia. Na widok olbrzymiego korzenia tylko gwizdnął przez zęby. Pochwycił go chciwym ruchem i przez chwilę wydawało się, że schowa dla siebie. Podobno robił kiedyś takie numery słabszym, ale rzut oka na szerokie bary Kestera, na jego potężne, silne dłonie i ten szczególny wyraz twarzy cechujący zdecydowanie i determinację, starczył, by ze spokojem — wszystko jedno, udanym czy naturalnym — położył korzeń na wadze. Powoli, celebrując każdy ruch, zmieniał na drugiej szali odważniki.

— Cztery i pół kilograma — oznajmił wreszcie. — Nie ma co, udało ci się, stary. — Przez chwilę kreślił jakieś znaki na ziemi. — To wychodzi trzynaście godzin i czterdzieści pięć minut, ale masz szczęście, dziś już nie musisz nic robić, jutro cały dzień i jeszcze pojutrze masz prawie dwie godziny wolnego...

Kester nie słuchał dalej, wyminął gadającego Stolpa i wszedł do swojego baraku. Wnętrze pozbawione było niemal sprzętów i jeśli nie liczyć sześcianu prycz oraz małego zbiornika z wodą, nic nie wskazywało na to, że jest to pomieszczenie mieszkalne. Brakowało nawet oświetlenia i gdyby nie wpadające przez szczeliny w dachu i ścianach promienie słoneczne, byłoby tu całkiem ciemno. Niestety, katorżnicza z braku jakichkolwiek narzędzi praca przy wydobywaniu korzeni, stanowiących jedyny na tym terenie pokarm, zużywała dokładnie wszystkie siły ludzi i nie pozwalała na inne zajęcia.

Kester podszedł do zbiornika z wodą. Bardzo starannie umył ręce i wytarł je do sucha. Potem z ulgą rzucił się na pryczę. Miał trochę wolnego czasu do

momentu, w którym zaczęną się schodzić pozostali mieszkańcy, ale wiedział, że już nie zdąży zasnąć. Leżał, patrząc bezmyślnie w ciemniejący wraz z zapadającym mrokiem sufit, gdy weszła Mira.

— Cześć, Ces — rzuciła od progu — słyszałam, że znalazłeś największy korzeń, jaki kiedykolwiek widziano, czy to prawda?

— Czy myślisz, że wylegiwałbym się tutaj, gdyby tak nie było?

— Ile czasu przypada ci za niego?

— Ponad trzynaście godzin.

Kester, ciągle leżąc, odwrócił głowę. Miry nie było w polu widzenia, musiał usiąść, żeby ją zobaczyć. Była ładna, nawet bardzo ładna, szczególnie w porównaniu z dziewczynami, które tu widywał. Niestety, jej atrakcyjność była tu tylko jeszcze jednym narzędziem w rękach władz. Mimo że kobiety mieszkały i pracowały wspólnie z mężczyznami, bliższe kontakty zostały surowo zakazane. Była to jedna z tych wyrafinowanych form oddziaływania na więźniów, form tym dokuczliwszych, że dokąd sięgała pamięć Kestera, nikt nigdy nie widział żadnego z wielu strażników ani nie rozmawiał z nikim z kierownictwa zakładu. Nie było kontaktów z najbliższymi, paczek, listów, wiadomości z normalnego świata. Był tylko Regulamin. Przestrzegany bezwzględnie, wszechmocny i wszechobecny. Wobec zupełnego braku styczności z kimś z zewnątrz, więźniowie tworzyli tu małą samowystarczalną społeczność, która w paradoksalny sposób korzystała z pewnej swobody i niezależności. Ciężka praca bowiem spowodowana była nie nakazem zewnętrznym, ale ich własnymi potrzebami — nie dostawali żywności ani ubrań. Ta pozorna wolność rodziła pokusy, które Kester dobrze znał, nawet nie strach powstrzymywał go od złamania regulaminu — pożądanie było zbyt mocne — ale obsesyjna prawie pewność, że jest ciągle pod obserwacją. Irracjonalne wrażenie, że jest śledzony, towarzyszyło mu, jak i innym więźniom, wszędzie, chociaż brak było na to jakichkolwiek dowodów. Nawet zmęczenie, spowodowane pracą ponad siły, nie potrafiło przytłumić tego odczucia. Kester często myślał, że przy dożywotnim wyroku nic już nie może powiększyć jego kary czy zmienić na gorsze panujących tu warunków. Jednak ta beznadziejność sytuacji nie wprawiała go w determinację, raczej przeciwnie, osłabiała wolę i chęć czynu, i tak już nikłą po tylu latach odbywania kary. Trud i monotonia dnia powszedniego sprawiły, że bezwolnie podporządkowywał się wymogom tak dobrze znanego Regulaminu. W jego pamięci nieuchronnie zacierało się wspomnienie świata, z którego pochodził.

Spojrzał na Mirę. Była młodsza o dobre kilkanaście lat i poza zniszczonymi i spuchniętymi dłońmi — wyglądającymi jak wypchane nierównomiernie i o kilka numerów za duże rękawiczki — i sfatygowanym drelichowym kombinezonem nic więcej nie odróżniało jej od normalnego człowieka. Jeszcze na dniu jej oczu nie czał się ten wyraz całkowitej rezygnacji, tak charakterystyczny dla większości więźniów.

Przedłużając się ciszę przerwała dziewczyna.

— Właściwie wcale nie chciałam rozmawiać o korzeniu, wiesz, w nocy przyszedł do nas jakiś ślepiec...

— Niewidomy? Nie przypominam sobie, żeby tu widział kogoś takiego, a przecież...

— To nowy!

— Nowy? — słowo to wstrząsnęło Kesterem. Nagle, zupełnie dla niego niespodziewanie zaczęły nabierać ostrości dawno wyblakłe wspomnienia, wywołując niejasne pragnienia, nie konkretyzujące się jednak w świadomości, prawie całkowicie podległej rutynie. Nowy... Odkąd pamiętał, nie zjawił się tu nikt obcy, mówiono, że władze nie pozwalają nawet na najmniejszy przeciek informacji z zewnątrz. Uznano, że kara tylko wtedy będzie dostateczna, kiedy utrzyma się pełną izolację więźniów.

Z trudem opanowując wzruszenie zapytał, z góry znając odpowiedź:

— Jaki wyrok dostał?

Odpowiedź jednak go zaskoczyła.

— Mówi, że nie ma żadnego wyroku.

— Więc jak tu trafił? — Przez chwilę pobudzona ciekawość szybko przycisnęła. — To pewnie szpicel.

— Nie wygląda na szpicla, a poza tym, kto miałby go wysłać? Władze więzienia? Po co, skoro wiedzą o nas wszystko. Zresztą, gdyby nawet oni go wyślali, to dlaczego mieliby robić to tak nieudolnie, w sposób budzący podejrzenia, dlaczego nie przystaliby go jako normalnego więźnia? Nie wiem, jak się tu dostał, zastanawiałam się, ale nie doszłam do niczego. Niczego sensownego, w każdym razie. Przyszłam prosić cię o radę. Chciałabym, żebyś porozmawiał z tym człowiekiem.

— O czym mam z nim mówić?... Zaraz, dlaczego ja?

— Dlaczego ty? Bo tylko ty budzisz tu moje zaufanie, a poza tym byłeś przecież psychologiem, łatwiej będzie ci rozgryźć jego kłamstwa.

Kester uśmiechnął się samą twarzą, uśmiechem bez wesołości, dokładnie takim, w jaki szczerzą zęby wszyscy więźniowie, których Kesterowi udało się widzieć, a na pewno wszyscy więźniowie tutaj. Owszem, był kiedyś psychologiem, ale pamięć tak dalece odsunęła ten fakt, tak skutecznie zmieszała z innymi, że w pierwszej chwili, nie uświadamiając go sobie, chciał zaprzeczyć. Czas zdążył dokładnie wymazać z osobowości Kestera-więźnia wszystkie tkwiące tam elementy Kestera-psychologa. Owszem, miał jeszcze dużo wiadomości z tej dziedziny (przypuszczał czasami, że to one pomogły mu przetrwać i nie ulec częstemu w tych warunkach wynaturzeniu, jakiemu uległo wiele z otaczających go osób), ale same wiadomości nie tworzą lekarza ani naukowca. A czuł, że tę właśnie nieuchwytną cząstkę utracił już dawno.

Rozległy się kroki i przyciszone rozmowy wracających z pracy. Dziewczyna poruszyła się niespokojnie.

— Muszę już iść, zobaczymy się jutro na placu. Bardzo cię proszę, porozmawiaj z nim wtedy...

Kiwnął głową. Uśmiechnęła się.

— Muszę już iść — powtórzyła. — Cześć, Kes.

Machnął jej ręką. Nie słyszał, jak wyszła, usłyszał za to, jak waląc buciorami wbiegła do bungalowu piątka jego współmieszkańców.

— Słuchaj, Kes, ale ci się udało — to był Mayer, najsilniejszy i najbardziej prymitywny z całej piątki. Uważał się za najważniejszego w grupie, a także za

coś w rodzaju przywódcy, nikt jak do tej pory nic wyprowadzał go z błędu.

— Masz jutro cały dzień wolny, to rzadko się zdarza. Ale nie myśl, że nie będziesz robił, na popołudnie wyznaczono ci dyżur w kuchni.

Kester cicho zaklął, choć nie był specjalnie zły — spodziewał się tego. Zresztą bał się trochę zbyt długiej samotności i bezczynności: Musiałby zostać wtedy sam na sam ze sobą, czego ostatnio unikał.

Przybyli dokładnie myli ręce — było to konieczne przy tego rodzaju pracy. Kolejno walili się na trzeszczące prycze. Nie rozmawiali ze sobą, po tak ciężkim dniu zasypia się na ogół dość szybko. Tylko Kester długo się męczył, dusząc się w atmosferze przesyconej zapachem potu i nigdy nie mytych ciał. Dręczyło go, z powodów, których nie mógł zrozumieć, wspomnienie rozmowy z Mirą. Raczej wyczuwał niż wiedział, że ciosem dla niego było wskrzeszenie pamięci o Kesterze-psychologu. Ten bilet powrotny w przeszłość, gdzie nie można już powrócić, rozsadzał cały spokój wewnętrzny, budowany z trudem przez tyle lat. Odżyły dawne rany. Los, z którym zdawał się pogodzony, znowu objawił swoje straszne oblicze.

Obudził go zwykły poranny ruch. Zerwał się szybko. Według Regulaminu nie wolno było leżeć zbyt długo. Według Regulaminu, którego nikt nie egzekwował, a który był z pewnością o wiele ściślej przestrzegany niż w innych konwencjonalnych zakładach. Po złożeniu koców w kostkę i nalaniu świeżej wody do zbiornika wyszli przed bungalow, gdzie zmieszali się z ludźmi zmierzającymi na plac apelowy. Było pewne, że żadnego apelu nie będzie, ale wszechmocny Regulamin nakazywał odstanie tam godziny. Doszli szybko. Plac znajdował się niedaleko części mieszkalnej, na piaszczysto-kamiennej płaszczynie, ograniczonej z dwóch stron dość stromymi, skalistymi wzniesieniami. W wąskim, prowadzącym na zewnątrz przesmyku rozkraczyła się niska i przysadzista wieża strażnicza, jedyna widoczna z tego miejsca. O tej porze dnia słońce stało wprost nad nią, wyostrając jej ponurą sylwetkę i oślepiając wszystkich patrzących w jej kierunku.

Kester rozejrzał się dookoła. Mira już czekała, machała ręką. Podszedł bliżej. Dopiero teraz zauważył stojącego tuż obok starca w ciemnych okularach na dużym, nie dopasowanym do reszty twarzy nosie. Ani starość, ani małe, czarne okulary nie zdołały zetrzeć z tej twarzy śladów inteligencji, owego charakterystycznego wyrazu, pozwalającego odróżnić jego właściciela w tłumie innych ludzi. Mimo kalectwa, w postawie ślepego widać było zdecydowanie i pewność, jakiej Kester nigdy nie zauważył w obozie. Już na pierwszy rzut oka człowiek ten budził zaufanie, Kester nie poddał się jednak temu uczuciu. Dziewczyna miała głęboko podkrążone oczy, twarz bladą i wymiętą. Była bardziej przygarbiona niż zwykle. Prawdopodobnie nie spała w nocy, mimo całego dnia ciężkiej pracy. Na widok Kestera uśmiechnęła się, zaraz jednak jej twarz przybrała wyraz powagi.

— Wiesz, Kes, powzięłam ważną decyzję, ale zanim ją wyjawię, chcę cię o coś spytać. Czy wiesz, jak ten człowiek się tu dostał?

Wzruszył ramionami.

— On mówi, że wędrował skrajem autostrady z miasta do miasta, czasami jechał, jak go ktoś zabrał, ale wczoraj czy raczej przedwczoraj właśnie szedł.

Zaskoczyła go burza piaskowa, w której stracił swego psa przewodnika i zgubił autostradę. Potem trafił tutaj... Ale co najważniejsze, przeszedł przez przemyk, tuż koło wieży strażniczej i nikt go nie zatrzymał. Długo wczoraj rozmawialiśmy i... to wydaje się niemożliwe, ale doszłam do wniosku, że żadne więzienie nie istnieje, to jest...

— Co za bzdura! Czy chcesz powiedzieć, że jesteśmy tu z własnej woli? Że sami wymyśliliśmy to piekło?

— Świetnie to ująłeś, Kes — krzyknęła — sami je wymyśliliśmy! Ale nie przerywaj mi i nie odchodź, chcę cię jeszcze o coś spytać — powiedziała widząc jego reakcję. — Czy pamiętasz, jak się tu dostałeś?

Kester zastanowił się, ale jedyną refleksją, jaka mu się nasunęła, była pewność, że nigdy dotychczas o tym nie myślał. Zaczął uporczywie przeszukiwać wszystkie zakamarki pamięci.

— A może wiesz, za co cię skazano?

Od paru chwil jakaś myśl uporczywie wymykała się Kesterowi, a gdy ją wreszcie uchwycił, jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Tak, to właśnie ona nie pozwalała mu tak długo zasnąć — nie mógł dojść, dlaczego przestał być psychologiem, dlaczego tu jest... Pamiętał, że nie był w stanie skonkretyzować sobie tego pytania, udało się to dopiero teraz.

— Widzisz, nie możesz sobie przypomnieć. Nie ty jeden zresztą. To samo jest ze mną i z kilkoma innymi osobami, które pytałam. Jak myślisz, czy to możliwe, żeby nikt nie wiedział, za co jest ukarany?

Kester popatrzył na nią z przerażeniem.

— Proszę cię, Kes, odpowiedz mi, ale rzetelnie, na jedno pytanie: czy możliwe jest z punktu widzenia psychologii, by grupa ludzi tak dalece uwierzyła w pewną nie istniejącą sytuację, że mimo faktów świadczących przeciwko niej, wierzy dalej i wzajemnie podtrzymując się w tej wierze nie dąży do Odkrycia prawdy?

— Teoretycznie istnieje taka możliwość, choć w takich wymiarach, jakie tu występują... wątpliwe, by twój domysł okazał się trafny, każdy psycholog odrzuciłby go definitywnie. Bardziej nieprawdopodobnej historii nie mogłaś wymyślić, czy sądzisz, że te zasięki pod prądem, wieże strażnicze, wreszcie Regulamin są naszym wymysłem?

— Czy widziałeś kiedykolwiek jakieś zasięki albo wieże poza tą, którą oglądamy wtedy, gdy słońce świeci nam wprost w oczy? Czy widziałeś może jakiegoś strażnika albo kogoś z obsługi? Tak jak i Regulamin, istnieją tylko w rozmowach przerażonych ludzi!

— Dziewczyno, nie wiesz chyba, co mówisz! Jak według ciebie dostaliśmy się tutaj?

— Nie wiem, ale tutaj na pewno nie znajdziemy odpowiedzi, nie przyjdzie też do nas sama, kiedy bliscy obłądu kopieją ziemię, musimy jej zacząć szukać!

— Spodziewałem się po panu czegoś więcej — odezwał się milczący dotychczas starzec. — Ale pan tkwi we własnych, zapewne narzuconych mu przekonaniach, jak zwierzę pogodzone z klatką, nie stać pana na wysiłek obiektywnego spojrzenia na świat...

— A ty może jesteś — Kester dawno już odzwyczyił się do formy „pan“ —

jednym z wyznawców zasady, że rozum sięga dalej niż wzrok, że...

— W moim przypadku to oczywiste, w twoim po prostu niewidoczne — wpadł mu w słowo ślepiec. — Tworzysz sobie przeszkody w przekonaniu, że ich nie pokonasz, stwarzając nowe światy nie stajesz się ich panem, ale niewolnikiem, jesteś dalszy człowiekowi niż ziemia, w której ryjesz.

Kester wstrząśnięty odwrócił się, chciał odejść, aby pomyśleć w samotności. Potrzebował czasu, żeby dojść ze sobą do ładu, żeby móc uporządkować kłębek splątanych myśli, jaki tworzyła jego świadomość, ale stanął oko w oko z otaczającymi ich ludźmi. Nie zauważył, kiedy ten tłum się zebrał, patrzył teraz na przyciągnięte krzykiem zmięte postacie, na bezmyślne, zrezygnowane twarze, nic nie rozumiejące, patrzące z obojętnością maszyn. Zauważył wśród nich Mayera, później Stolpa, tak odbijających się na co dzień, teraz stopionych w jedną całość z otaczającym ich tłumem, całość kierowaną jednakowymi impulsami, całość okazującą jednakową reakcję.

Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Odwrócił się z powrotem do starca i Miry. Spojrzał na nią.

— Co chcesz zrobić?

— Przejdę przez przesmyk.

Spodziewał się tej odpowiedzi.

— To szaleństwo. — Zabrakło w jego głosie pewności, którą zamierzał weń włożyć. Był to raczej szept poruszającego ustami dziecka. „To szaleństwo”, tak powiedziałby każdy z nich.

— Proszę cię, kiedy już znajdę się po tamtej stronie, przyjdź szybko — będę czekała.

Bezwiednie patrzył za oddalającą się dziewczyną. W tłumie rozległy się szepty, ktoś się roześmiał, ktoś powiedział: „Zaraz ją zastrzelą, ale będzie widowisko”. Wszyscy czekali w napięciu. Dziewczyna przebyła już ponad połowę drogi. Kesterowi nagle zrobiło się jej żal, zrozumiał, że nie może dopuścić, by zginęła, musi ją natychmiast zawrócić. Rzucił się biegiem w kierunku przesmyku. Zbliżał się szybko, ale i ona szła szybkim krokiem. Wieża była już bardzo blisko, jeszcze kilka kroków i zrozumiał, że nie zdąży. W chwili gdy do niej dobiegł, przechodziła przez przesmyk. Z rozpędu wpadł na nią, upadli i potoczyli się oboje w dół po łagodnym zboczu urwiska. Kester zerwał się natychmiast. Słońce, które miał teraz za plecami, oświetlało dokładnie skały nad nimi. Szukał wzrokiem wieży strażniczej, ale dostrzegł jedynie wielki głaz o dziwnych, nic jednak nie sugerujących kształtach. Przeniósł wzrok na dziewczynę. Siedziała tuż obok rozcierając kolano, uśmiechała się.

— Jesteś — powiedziała krótko. Takiego odcienia w jej głosie jeszcze nie słyszał, a może tylko nie zwrócił na niego uwagi. — Chodźmy, zanim reszta tu przyjdzie, mam dość ich towarzystwa.

Kester też miał dość. Ruszyli najpierw wolno, potem coraz szybciej, jakby chcąc nadrobić stracony czas.

Prawie biegli, gdy ukazała się autostrada.

Kiedy ludzie stracili z oczu Kestera i Mirę, zapanowała pełna napięcia cisza. Słyszać było tylko coraz szybsze oddechy. Nie trwało to długo. Któraś z kobiet histerycznie krzyknęła:

— Wpadli do rowu z wodą, utopili się!

— Słuchajcie — zawtórował ktoś inny — strzały! Strzelają do nich! Posypała się lawina okrzyków, cały tłum mieszał się i falował, nikt nie słyszał wołania ślepego starca, usiłującego przekonać ich, że nikt nie zginął, że powinni go wysłuchać i uspokoić się. Pod naporem tłumy cofnął się na pobocze, usiłował odejść. Zapomniano o nim, ale nie na długo. Ktoś krzyknął przenikliwym głosem, wybijającym się nad ogólny hałas:

— To przez niego zginęli!

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę ślepego, choć wołający nie wskazał go palcem.

— Teraz strażnicy zemszczą się za ucieczkę!

Tłum zafalował. Nie wiadomo kto rzucił pierwszy kamień. Po kilku minutach, zwolna się uspokajając, ludzie ruszyli w kierunku korzennego pola.

Czekając na barbarzyńców

I. Introdukcja

Tłum przy starych, cuchnących nabrzeżach portowych był tak gęsty, że z trudem wydostałem się z łodzi i przepchałem w poblizę głównej ulicy, gdzie było więcej miejsca. Robotnicy portowi, w krótkich chitonach, siłą torowali sobie drogę wśród zalewu barbarzyńców, tych podobno, co z nami handlowali. Każdy jednak jako tako inteligentny człowiek przysiągłby, że co najmniej połowa z nich to członkowie klanu najeźdźców. Przechadzali się powoli, rzadko i na krótko przystając przy którymś z licznych straganów, nie zwracając uwagi na ruchliwą, rozkrzyczaną gromadę mieszkańców miasta i przybyszów z bardziej cywilizowanych stron.

Ruszyłem w głąb ulicy, odprowadzany niechętnymi spojrzeniami straży. Było tu prawie pusto. Zbliżało się południe, a o tej porze ludzi można spotkać jedynie w porcie lub w stoach. Toteż zdziwiłem się, kiedy ktoś głośno zawołał mnie po imieniu. Mimo że było to moje miasto, a może właśnie dlatego, zanim się odwróciłem, wsunąłem palce w kółka kastetu. Czasy nie były najlepsze.

— Hej, nie poznajesz mnie? — to był Pesaro, najsprytniejszy i najbardziej energiczny kupiec, pośrednik i przedsiębiorca w mieście, a zarazem jedyny chyba nie zasklepiony w interesach, znający się na filozofii i polityce lepiej niż większość wysoko postawionych obywateli. Dawniej łączyły nas bliskie stosunki, ale teraz, po tylu latach...

Opanowałem mięśnie twarzy i uśmiechnąłem się wystudiowanym, twardym skrzywieniem warg.

— Szedłem za tobą od samego portu i nie byłem pewien, czy to ty. O bogowie, tyle lat... Zmieniłeś się, wydorostałeś i... i wyglądasz jak barbarzyńca. Dziwne, że straż w ogóle wpuściły cię do miasta.

Miał rację. W ściśle przylegających do ciała spodniach z cienkiej skóry i równie obcisłej kurtce wyglądałem tak, że gdyby nie gładko wygolona twarz i krótkie włosy, straż nie wahałyby się ani chwili.

— Ostatnio gościłem w krajach, gdzie klimat niezbyt sprzyja noszeniu naszych ubrań. Poza tym rzadko gdzie budzimy sympatię. Tam lepiej nie chwalić się pochodzeniem.

— Wszystko będziesz musiał opowiedzieć. Menate wypędzi mnie z domu, kiedy się dowie, że wreszcie przyjechałeś, a ja ciebie nie przyprowadzałem. Jeszcze nigdzie się nie zatrzymałeś, prawda? Co ja mówię, nie miałeś czasu. Chodź, będziesz mieszkał u nas. — Pesaro mówił szybkimi, urywanymi zdaniem. — Przyjechałeś na stałe?

— Nie wiem. Sytuacja niezbyt sprzyja pobytowi w naszym kraju.

— Prawda, prawda — wziął mnie pod ramię i ciągnął w stronę swojego domu. — Barbarzyńcy napierają coraz bardziej. To musi się źle skończyć — to

na pewno źle się skończy... I to już niedługo. — Pochylił głowę i posmutniał. Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu.

Wspaniały dom, w którym mieszkał, położony obok karczmy prowadzonej przez jego siostrę, był dokładnie taki, jakim go zapamiętałem. Weszliśmy do środka.

— Zaczekaj chwilkę, uprzedzę Menate i przyprowadzę ją tutaj.

Pesaro znikł za jakimiś drzwiami. Po chwili wrócił z siostrą. Nie zmieniała się ani trochę. Była starsza ode mnie o dziesięć lat, musiała więc dochodzić już co najmniej trzydziestu pięciu, ale wątpię, czy nadal ktokolwiek dawał jej więcej niż osiemnaście. Co gorsza, była świadoma swej urody. Teraz podeszła i zarzuciła mi ręce na ramiona.

— Przyjechałeś nareszcie! — pocałowała mnie, szkoda, że tylko w czoło — to straszne, że tak długo cię nie było. Musisz wszystko opowiedzieć. Chodź, kazałam przygotować kąpiel... i musisz się ubrać w coś bardziej ludzkiego.

Przeszliśmy do małego wewnętrznego megaronu, z przyklepionym do niego pokojem mieszczącym ogromną wannę.

II. Część pierwsza

Wyczerpawszy z grubsza zasób opowieści, z całkowicie wyschniętym gardłem mogłem nareszcie opróżnić zaległe puchary zimnego wina, prosto z piwnicy Pesara. Zapadła ciszę przerwała Menate, rozładowując jakieś napięcie, wyraźnie kumulujące się podczas całej rozmowy.

— Wiesz, postanowiliśmy... chcemy zorganizować, a raczej już organizujemy.. — mówiła bardzo powoli, a mimo to z trudem formułowała zdania. — Bardzo dobrze, że przyjechałeś właśnie teraz. Jeśli się tylko zgodzisz... Potrzebujemy twojej pomocy.

— Chętnie, ale o co chodzi?

— Chcemy wyruszyć za Góry Bogów! — wypalił Pesaro.

Zakrztusiłem się.

— Gdzie?

— Do kraju za Górami Bogów. Przecież tam byłeś.

— Nie byłem. Zostałem u podnóża gór, przy bagażach.

— Ale było tam kilku twoich towarzyszy.

— Wszyscy zginęli. Właśnie tam.

— Mówiłeś, że jeden wrócił.

Wzruszyłem ramionami.

— Tak, Lytos. Zmarł później z powodu odmrożeń.

— A to, co opowiadał? Przestałeś już wierzyć?

Zamyśliłem się.

— Nie wiem. Tak często opowiadałem to innym i nikt mi nie wierzył, że... Nie wiem, naprawdę nie wiem.

— Wiesz za to, jaka jest sytuacja — barbarzyńcy zalewają kraj. Coraz szybciej i coraz bezwzględniej. Za rok, a może już w zimie nasza cywilizacja przestanie istnieć! — krzyknął Pesaro.

— Mmmm, to możliwe. Myślę, że naprawdę jest ciężko.

— A może masz nadzieję, że ich powstrzymamy? Że cała nasza schyłkowa kultura, tak, schyłkowa, potrafi przeciwstawić się pierwotnej sile barbarzyńców? To beznadziejne. Byłem w siódmym forcie, kiedy napadli na wieś poniżej. Stałem na murach i widziałem, jak mieszkańcy wioski rzucili się do ucieczki. Nikt się nie przeciwstawiał, nikt nie walczył. Bramy fortu pozostały zamknięte. Ani jeden żołnierz nie wyruszył na pomoc, bali się. Wszyscy się bali. W nocy uciekłem z fortu i dotarłem do jakiejś nadmorskiej wsi, gdzie złapałem statek do domu. Już tutaj dogoniła mnie wiadomość, że siódmy fort zdobyto jeszcze tego samego dnia, a oblężenie trwało, o bogowie, krócej niż dwie zmiany warty na murach... Gdzie te czasy, kiedy sześciuset żołnierzy broniło całego miasta? W Temnizos, w samym porcie, mieliśmy trzy tysiące wojska i co? Zostało zdobyte w tydzień. Tylko dlatego trwało to tak długo, że barbarzyńcy nie mogli wdrapać się na skały pod murami. Miasta na równinach zdobywają od jednego uderzenia!

Pesaro wyczerpany opadł na oparcie. Uspokoił oddech i zaczął już ściszonego głosem.

— Czy widzisz jakąkolwiek inną możliwość uratowania siebie, naszej kultury i cywilizacji poza exodusem do kraju za Górami Bogów? Oczywiście nie wszystkich. To już niemożliwe. Zresztą pociągnęlibyśmy za sobą barbarzyńców, ale żeby udało się wyprowadzić choć jedno miasto — nie całe, przynajmniej ochotników...

— Próbowalesz już z kimś rozmawiać?

Pesaro skrzywił się z niesmakiem. Odwrócił twarz, jakby chciał ukryć gorycz i własną niepewność.

— Szkoda mówić o rezultatach.

— Trzeba powiedzieć — podjęła Menate. — Mimo że staramy się o to od blisko roku, zgodziła się tylko jedna osoba. Śmieszne, ale to prawda — jeden człowiek na tak duże miasto. Nikt nie chce obalać zakorzenionych przesądów. Tak dużo mówimy o naszej kulturze, wynosimy ją ponad wszystko, nie zdając sobie sprawy, że staje się ona naszą zgubą. Nadmierna wyobraźnia zrobiła z nas tchórzy, inteligencja spowodowała niechęć do działania, nieufność do wszystkiego, nawet do wskazań własnej logiki. Jesteśmy zasiedziali, rozleniwieni, przyzwyczajeni do tego, że z zagrożeń wychodzimy cało i stąd przekonani, że i teraz też nic się nie stanie — mimo oczywistych dowodów nadchodzącego końca. Być może trudno jest przyjąć nowe, reagować elastycznie, zmienić torę myślenia i rozumienia czy przestawić się... Ach — machnęła ręką — o stopniu trudności tego przedsięwzięcia możemy tylko snuć przypuszczenia, ale nikt nie chce podjąć tego trudu, aby się przekonać, że może jest to prostsze niż... niż... Podobno w którymś z północnych miast wynaleziono środek zdolny rozsadzać kamienie — to znak, to symbol, że łatwiej jest rozsadzać góry, niż zmieniać bieg ludzkich myśli.

Menate roztrzęsiona podeszła do okna. Oparła ramię o framugę.

— Jutro Rada Miejska podejmie ostateczną decyzję. Czy pójdziesz z nami i powtórzysz relację z wyprawy w góry?

Drgnąłem, nic przygotowany do zmiany tematu. Nieprzytomnym wzrokiem powiodłem po łagodnych liniach otaczającej nas architektury, spokojnych rzeź-

bach, stojących w zacienionych wnękach, ścianach pokrytych malarstwem o zadumanym, delikatnie ścienionym nastroju.

— Dobrze, pójdę tam — powiedziałem mechanicznie.

Zebranie Rady miało charakter nieoficjalny, co umożliwiło zaproszenie także zwykłych obywateli, nie pełniących żadnych funkcji. Zainteresowanie zebraniem było jednak małe, poza członkami Rady przyszło zaledwie kilkanaście osób. Nastrój od początku był chłodny. Ironiczne uśmiechy, oderwane uwagi — wypowiedane półgłosem — rozbiły przemówienie Pesara, który zaczął się powtarzać i nie mógł tchnąć pewności w to, co mówił. Nawoływania do postawienia wszystkiego na jedną kartę i podjęcia wyprawy, która według niego była jedyną możliwością uratowania zarówno ludzi jak i kultury, wypadły błodo i nieprzekonująco. Jedyna żywsza reakcja nastąpiła, kiedy mówił o kraju za Górą Bogów — było nią oburzenie. Potem opowiedział o wyprawie Lytosa. Odziani w długie, nieskazitelnie białe chlamidy członkowie Rady nie wspominali już nawet o świętokradztwie ani o zakazach. Ich twarze wyrażały tylko zdumienie.

— Widzę, że nikt mi nie wierzy — Pesaro mówił ochryplym głosem. — Przedstawię wam jedyny dowód, jakim rozporządzam. Jest tu na sali człowiek, który uczestniczył w tej wyprawie. Jest jedynym, który ocalał i zna prawdę.

Na kilku twarzach pojawiło się zainteresowanie, u innych żadnej reakcji.

— Niby dlaczego mamy mu wierzyć? — ktoś krzyknął.

— Spokój, niech opowiada — to był Lames, dowódca garnizonu miejskiego i jeden z przewodniczących Rady.

Uniosłem się z siedzenia. Nie wiedziałem, jak zacząć wśród otaczających mnie zimnych, nieczułych i podejrzliwych oczu.

— Wypłynęliśmy z miejskiego portu na niewielkim statku, w pięć osób. W dość krótkim czasie dotarliśmy do Therion, gdzie trzeba było zostawić łódź. Tam też za zgodą Lytosa dołączył do nas jeszcze jeden człowiek. Nie znam jego imienia, ani nigdy z nim nie rozmawiałem mimo wspólnej podróży. Nie wiem, jaki wpływ miał na Lytosa, ale wydawało mi się, że w jakiś sposób oddziałuje na postępowanie dowódcy. Z Therion do stóp gór szliśmy pieszo, niosąc cały bagaż. Zajęło nam to prawie dwa tygodnie, przez które zapasy znacznie się uszczupliły, ale nie do tego stopnia, by można je było w całości przetransportować przez góry. Postanowiliśmy założyć obóz, gdzie jeden z nas miał czekać na resztę z częścią bagażu. Ciągnęliśmy losy i wypadło na mnie.

Zlustrowałem wzrokiem obecnych. Nastrój nudy i niedowierzania nie zmienił się ani trochę. Ciągnąłem dalej:

— Zostałem na wyżynie u podnóża gór. Oni z trudem zaczęli się wspinać po stromym, ośnieżonym stoku. Widziałem ich jeszcze nazajutrz, choć byli już bardzo wysoko... Widziałem śmierć jednego z nich. Nie, z tej odległości nie wyglądało to strasznie — nagle jedna z ledwie widocznych figurek obsunęła się w dół i zawisła na linie. Nie wiedziałem nawet, że to coś poważnego, do momentu kiedy pozostali czterej ruszyli dalej, a on został nieruchomy na tej ścianie. Czekałem długo, bardzo długo, choć nie wiem dokładnie, ile, bo nie zaznaczałem upływających dni, a ich nazwy szybko zatarły się w mej pamięci. Czekałem dnie i noce w doskonale cichym, zamrażającym lesie, z trupem towarzysza

w ciemności, gdzieś nad głową... Lytos przyszedł niespodziewanie którejś nocy. Nie przypuszczałem, że jest z nim tak źle. Wydawał się tylko zmęczony. Widocznie wiedział, że ma mało czasu, bo nie chciał, żebym mu w czymkolwiek pomógł, tylko mówił.

Mówił o kraju za górami, o jego lasach, rzekach, równinach, żyznej ziemi, zwierzętach, łagodnym klimacie, a przede wszystkim o pustce, o braku ludzi, a więc i wrogów... Wracając odkrył dość wygodną drogę przez jakąś przełęcz. Gdyby znalazł ją wcześniej, może wróciliby wszyscy, a on sam... Narysował mapę — zacząłem się płatać. — Dopiero o świcie zobaczyłem, że cały był siny, miejscami jego ciało przybierało już barwę kredowobiałą. Zmarł wkrótce potem.

Spojrzałem na obecnych. Żadnej reakcji. Może tylko na kilku twarzach ślad zainteresowania.

— Czy przez to przejście można przeprowadzić karawanę jucznych zwierząt, a także czy mogą przejść tamtędy kobiety i dzieci? — spytał Larnes. Jego głos brzmiał niechętnie, ale widać było, że jest jedynym człowiekiem traktującym sprawę poważnie.

— Według Lytosa, tak, — powiedziałem ostrożnie. — Zrobiłem kilka kopii jego mapy — wyjąłem z torby rulon pergaminu i wręczyłem Larnesowi. — Widać na niej dokładnie rodzaj i stopień trudności szlaku...

Gdzieś z tyłu wstał jeden z członków Rady.

— O ile mnie słuch nic myli, nasz drogi dowódca garnizonu wypytuje już o drogę. Czyżby rzeczywiście bogowie pomieszali mu rozum i zamierza się tam wybrać? Pomijając już fakt, że byłoby to świętokradztwo, że zaprzeczylibyśmy w ten sposób własnej trzeźwości, dając wiarę podobnym legendom — to ucieczka z naszego miasta i kraju doprowadziłaby nas do utraty kultury!

Na sali podniósł się szmer głosów.

— Całą kulturę, a wraz z nią i życie na pewno stracimy biernie oczekując na przybycie barbarzyńców. Przecież nieprzerwanie zalewają nasz kraj. Nikt nic zdołał im się przeciwstawić! Dlaczego zwierzętom podobni barbarzyńcy są silniejsi od nas? Odpowiedź jest przecież prosta: są silniejsi, bo nie chcemy skorzystać z naszej najlepszej broni — z rozumu. W tej chwili najwyższą wartością jest nie kultura, lecz. istnienie, i żeby ją ocalić, musimy zdecydować się na rozwiązanie proponowane przez Pesara.

Tym razem na sali zaległa cisza. Przerwał ją ktoś siedzący z boku.

— To zabawne. Obie strony, chcąc nas skłonić do diametralnie różnych decyzji, operują jednym i tym samym argumentem: rozumem.

Śmiechy.

Larnes podszedł do mnie i cicho zapytał:

— Czy jesteś pewny, że przez przełęcz można wprowadzić ludzi do kraju za górami? Jesteś pewien, że ten kraj istnieje?

— Tak — skłamałem.

— I nie obawiasz się wkroczyć na Ziemię Bogów? Czy myślisz, że śmierć twoich towarzyszy była naturalna?

— Tak — skłamałem ponownie.

Larnes zwrócił się do zebranych.

—Myszę, że Rada powinna podjąć decyzję w omawianej sprawie. Proszę pozostałe osoby o opuszczenie sali.

III. Część druga

Pesaro został pod budynkiem Rady, aby czekać na ostateczną decyzję, a ja razem z Menate poszedłem wąską ulicą w dół, do portu. Zbliżał się wieczór, ale słońce świeciło jeszcze jasno, oślepiając czerwonymi promieniami padającymi pod ostrym kątem. Żeby nie dopuścić do milczenia, mówiliśmy do siebie jakieś oderwane zdania, udając, że prowadzimy rozmowę. Dopiero powiew wiatru znad morza przyniósł pewne uspokojenie. Można było skupić się na czymś konkretnym. Menate zainteresowała się czarnym amuletem, który miałem na szyi.

— To nie amulet — powiedziałem — to płytka pewnego czarnego kryształu, który można czasem znaleźć w górach. — Zdjąłem sznurek z szyi i podałem Menate.

—Ma bardzo ciekawą właściwość. Jeśli patrzeć przez niego na jakiś przedmiot, to nie widać na nim refleksów światła odbitego. Na przykład, gdy chcesz przez szybę zajrzeć do wnętrza domu, ale akurat odbija się w niej niebo, patrzysz przez kryształ i widzisz dokładnie to, co jest we wnętrzu.

— Ale po co to robić? W całym mieście jest tylko kilka budynków z szybami w oknach.

Machnąłem ręką w nieokreślonym geście.

— Można też oglądać to, co jest pod wodą, nawet kiedy przeszkadza słońce, tworząc na niej nieprzeniknioną zwykłym okiem świetlistą powierzchnię.

Menate roześmiała się głośno i pociągnęła mnie na poszukiwanie domu z szybami w oknach. Znaleźliśmy go w zamierającym o tej porze porcie, ale okna były zbyt wysoko i z pozycji stojącego człowieka widać było tylko nieciekawą sufit.

Usiedliśmy na brzegu, tuż nad jaskrawoczerwoną w promieniach stojącego już bardzo nisko słońca powierzchnią wody.

—Wiesz — powiedziałem rozglądając się po ogromnym basenie — z tym portem związana jest pewna legenda. Zawsze ją sobie przypominam, ilekroć tu jestem. Podobno dawno, całe wieki temu, kiedy przybyli tu mityczni Ziemia, kładąc podwaliny pod naszą cywilizację, zastali już port gotowy. Nie wiedzieli, czy został stworzony siłami natury, czy też zbudowała go jakaś stara kultura, po której oprócz niego nie zostało ani śladu. Wtedy postanowili, że założą tu dla nas miasto, a w samym porcie, dla jego ochrony zostawią jeden ze swoich ogromnych okrętów. Miał on stać w tym porcie dotąd, aż miastu i jego mieszkańcom zagrazi niebezpieczeństwo, by wtedy stanąć do walki i odeprzeć wszystkich wrogów. Według legendy ma tu być do dzisiaj — machnąłem ręką w kierunku pustego basenu. — Kiedy byłem dzieckiem, wierzyłem w tę opowieść. Wierzyłem, że w odwiedzanym przez tysiące ludzi dziennie porcie jest gdzieś zapomniane nabrzeże, gdzie stoi ich okręt, w każdej chwili gotowy do pomocy...

Raz nawet wybrałem się tutaj, żeby go odnaleźć. O mało nie zginąłem w tłumie.

Menate opuściła głowę i oparła ją na rękach. Pomiedzy palcami prawej dłoni zwisiała na sznurku czarna płytka kryształu, którym dotychczas się bawiła. Powolnym ruchem podniosła głowę i przysłoniła oczy płytką. Patrzyła gdzieś w stronę wyjścia z portu. Chwyciłem ją za rękę i naprowadziłem na właściwy kierunek. Przez chwilę trwała nieruchomo, potem zerwała się na równe nogi.

— On tam jest! — krzyknęła. — On... on tam ciągle jest. — Szarpnęła mnie za ramię i wetknęła mi płytkę do ręki. — Tam pod wodą, na dnie basenu.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Pod wodą, która nie okrywała go już słonecznym odbłaskiem, idealnie nieruchomo leżał na dnie żelazny statek Zienców. Ogromnie wydłużony wrzecionowaty kształt tylko w najgrubszym miejscu zakłócała wysoka owalna wieża ze sterczącymi na boki żelaznymi skrzydłami. Ciemny i nieporuszony tkwił wśród falujących wodorostów, ruchliwych stad małych rybek, pływających odpadków — niczym twarda i ciężka góra wśród targanej wichrem roślinności.

Menate mimo całego swojego opanowania drżała z podniecenia. Wyrwała mi kryształ z ręki.

— Daj, muszę jeszcze raz zobaczyć. Nie wiem, czy mogę wierzyć własnym zmysłom.

Milczała chwilę.

— Musimy szybko zawiadomić Radę, niech tu przyjdą i...

— Nie — przerwałem.

Popatrzyła zaskoczona.

— Co?

— Nie pójdziemy z tym do Rady.

— Co ty mówisz? Dlaczego?

Usiadłem z powrotem na niskim murku. Nie patrzyłem na nią.

— Czy myślisz, że tylko za pomocą tej płytki można go dojrzeć? Jeżeli płyną bezpośrednio nad nim, można dostrzec jego kształty za burtą łodzi, po stronie, gdzie nie ma słońca. Wtedy też nie przeszkadza odbłask.

Stała nieruchomo, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

— Zapewniam cię, że ten statek widzieli już inni — ciągnąłem. — Wiele osób, na pewno niejednokrotnie i wcześniej ode mnie.

— To niemożliwe! Dlaczego nic się o tym nie mówi? Dlaczego nikt nie nawiązuje kontaktu z załogą tego okrętu?

— Dlaczego nikt o tym nie mówi? Nie wiem. Zobaczyłem ten statek dość dawno, nie opowiadałem o nim, bo i tak miano mnie za kłamcę z powodu Lytosa. Dlaczego nie mówili inni? Naprawdę nie wiem. Może bali się śmieszności. Może bali się samych siebie... A może mieli w stosunku do niego własne plany.

— Ale dlaczego nikt nie chce się dostać do środka, nie chce zobaczyć załogi?

— Skąd wiesz, że nikt? Sam przed laty nurkowałem do niego, dawałem znaki, waliłem w kadłub, opływałem wieżę... Ale okręt milczał. Nie byłem tam pierwszy. Widziałem na jego powierzchni znaki, że wielu czyniło już to przede mną. Wielu chciało się dostać do środka lub wydobyć statek na powierzchnię.

Byli silniejsi od samotnego nurka i mieli lepsze środki. Pierwsze próby musiano robić już dawno, bardzo dawno.

Zamknąłem oczy i starałem się przypomnieć sobie ledwo rejestrowane przez podrażnione oczy niewyraźne kształty, rozmywające się i falujące w zielonkawej wodzie.

— Ale statek milczy nadal.

Menate poruszyła się niespokojnie.

— Dlaczego mi o tym powiedziałaś?

Wzruszyłem ramionami.

IV. Część pierwsza — ciąg dalszy

Płynęliśmy już czwarty dzień przy dobrym wietrze i wszystko wskazywało, że najdalej jutro ujrzymy Therion. Zapadał zmierzch. Oddałem ster Agathesowi — jedynemu człowiekowi, jaki chciał z nami płynąć, i wszedłem do ciasnej kabiny pod pokładem, gdzie Pesaro po raz któryś z rzędu skarżył się siostrze, wspominając nieprzychylnie przyjęcie projektu przez Radę.

— Powiedzieli, żebym jechał i sprawdził! Głupcy! Jeśli nie ruszą natychmiast, będzie już za późno... — umilkł na moment, dysząc ciężko i krzywiąc się na pocieszenia Menate, że nie można w dzisiejszych czasach żyć przeszłością i kierować się wyłącznie starymi zasadami. Ukrył twarz w dłoniach. — To była jedyna szansa...

— Och, przestań — zdenerwowała się Menate. — I cóż to jest ta twoja cywilizacja? Najpierw wpaja w człowieka lęk, a później stara się go przełamywać. Ale z jakim skutkiem?

Nie mogłem tego słuchać, byłem jednak za bardzo zmęczony, by wrócić na pokład. Rzuciłem się na najbliższy hamak i odwróciłem do ściany. Sen długo nie przychodził. Dopiero gdzieś w środku nocy zapadłem od razu w ciężki i duszący koszmar, z którego długo nie mogłem się uwolnić. Obudziłem się z krzykiem, kiedy ktoś potrząsnął mnie za rękę. To była Menate. Przerazona moim wyglądem mówiła coś, czego nie rozumiałem. Trzęsły mi się ręce i nie mogłem opanować rozlatanych oczu, by skupić wzrok na konkretnym przedmiocie. Po całym cieple spływał grubymi kroplami pot. Bolało mnie, że ona to widziała. Powoli docierał do mnie sens jej słów.

— Uspokój się, przecież nic się nie stało — chwyciła mnie za ręce, chcąc uspokoić ich drżenie. — To tylko sen, musiało ci się śnić coś strasznego.

Popatrzyłem na nią w miarę przytomnie.

— Coś strasznego? — mruknąłem. — To koszmar, sen bez dna, który przesładuję mnie od bardzo dawna.

Menate skrawkiem peplusu starała się zetrzeć pot z mojego czoła.

— To związane jest z tamtym miejscem. Z krajem za Górami Bogów, z którym związało się całe moje życie. Uciekałem przed tym na najdalsze lądy, jakie tylko zna człowiek. Na próżno. Przed tym nie ma ucieczki. Coś, o czym

marzyłem, co stanowi, lub myślę, że stanowi, jeden z nielicznych celów w moim życiu, jest jednocześnie moim koszmarem. Prześladowuje mnie i torturuje każdą myślą. Śni mi się tragicznie po nocach.

— Uspokój się... Spokojnie... — powtarzała wciąż Menate.

— Wtedy, u podnóża gór, podczas losowania, kto ma zostać w obozie, oszukałem Lytosa. Oszukałem ich wszystkich! — Nie wiedziałem, co kazało mi to z siebie wyrzucić. — Zrobiłem to ze strachu — dodałem już spokojnie.

Menate przerwała swe monotonne uspokajania. Patrzyła mi w twarz. Odwróciłem głowę.

— Myślę, że to nie był strach — zaczęła. — A przynajmniej nie zwykły strach. Może ukrywasz przed sobą prawdziwe powody...

Znowu przestał docierać do mnie sens jej słów. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego powiedziałem jej to wszystko. Czy znajdowałem w tym jakąś perwersyjną przyjemność? Coś w rodzaju psychicznego ekshibicjonizmu? Wątpię, nie czułem nic takiego. Przecież miałem być twardy. Twardy na przekór wszystkim. Taką rolę sobie wyznaczyłem, jeśli w ogóle można mówić o jakiejś roli, i takim człowiekiem miałem być. Czułem się wypluty i pusty. Jedyнным uczuciem, które mnie przepęłniało, była nienawiść do Menate za to, co usłyszała. Nie mogłem już znieść jej towarzystwa. Wyszarpnąłem ręce z jej dłoni, przerywając w pół słowa jakieś zdanie, które wypowiedziała.

— Zostaw mnie! — krzyknąłem. — Odczep się wreszcie ode mnie!

Wybiegłem na górę i wydostałem się na pokład, zatraskując drzwi kabiny. Agathes siedział przy sterze, a Pesaro gdzieś na dziobie. To, że tak byli blisko, pozwoliło mi ochłonąć i jakoś powrócić do dawnej postaci. Bałem się, żeby Menate nie wyszła teraz na pokład, ale nie zrobiła tego. Zmusiłem się do normalnego zachowania. Usiadłem na burcie przy sterze. Agathes zaczął coś zagadywać o nocy i bezsenności, ale nie mogłem go słuchać. Uwagę moją zwrócił dopiero głośniejszy od innych plusk. Kilka par rąk wychynęło z morza i chwyciło za burtę. Po chwili ukazały się głowy.

— W lewo! — wrzasnąłem kopiąc jednocześnie ster. Noga szarpnęła bólem. Agathes krzyknął ugodzony w rękę. Przy niewielkiej szybkości robiliśmy zwrot bardzo powoli, mimo to ręce barbarzyńców znikły z burty.

— Pesaro, odblokuj wszystkie żagle! A ty do miotacza — popchnąłem Agathesa. — Szybko!

Pesaro przerażony zaczął rozplątywać sznury. Rzuciłem mu toporek, niestety tak, że zranił go w kolano i upadł na pokład. Pesaro jęcząc szukał go po omacku. Na przeciwległej burcie znowu ukazały się czyjeś ręce. Agathes szarpnął dźwignię miotacza, ustawiając go w tamtym kierunku. Kiedy ukazała się głowa barbarzyńcy, nacisnął ramię pompy celując tuż za burtę, by nie podpalić własnego statku. Struga ognia rozlała się po wodzie, oświetlając głowy nadpływających ludzi. Barbarzyńca mimo płonących pleców zdołał wspiąć się na pokład i dopiero stamtąd, w kompletnej ciszy, jakby zdziwiony palącym się ciałem, zeskoczył do wody. Pesaro znalazł wreszcie topór i rozciął liny blokujące żagle. Zaczęliśmy nabierać prędkości. W tym samym momencie rozległ się wysoki głos spuszczonej cięciwy i długa, czarna strzała utkwiała w plecach Agathesa. Stał jeszcze na nogach, ale powoli zaczął tracić równowagę. Trochę z boku,

przed dziobem, stał po pas w wodzie człowiek z łukiem.

— To niemożliwe! — wyrwało mi się.

Skierowałem dziób łodzi w jego stronę. Po chwili rozległ się odgłos uderzenia i coś otarło się o dno. Za rufą wypłynęło trzech ludzi. Zapewne to oni przytrzymywali łucznika nad wodą. Ciągłe jednak pozostawało zagadką, jak zdołali uchronić ciężiwę przed zawilgoceniem.

Tymczasem Agathes pochylał się jeszcze bardziej, by wreszcie wolnym, jakby wystudowanym ruchem upaść na miotacz, który bluzgnął prosto w burtę. Żeby nie dopuścić do zapalenia żagla, zmieniłem hals na przeciwny. Przed dziobem, fragmentarycznie wydobywane przez płomień z mroku, ukazały się dwa barbarzyńskie okręty. Teraz stało się jasne, dlaczego atak nastąpił z wody. Były to ciężkie wielowiosłowce, niezdolne do podpłynięcia w ciszy. Gdybyśmy zobaczyli je wcześniej, nie mieliby szans nas dogonić. Nasze statki były szybsze, szybsze jednak tylko w jedną stronę. Trójkątne, ustawiane równolegle do podłużnej osi statku żagle dawały przy takiej pogodzie przewagę tylko na kursach zbieżnych do wiatru. Okręty barbarzyńców, wyposażone w luźne, kwadratowe płachty, wspierane wieloma dziesiątkami wiosel dogoniłyby nas bez trudu przy wietrze wiejącym od tyłu. Tylko wiatr wiejący od dziobu zmusiłby ich do płynięcia na samych wiosłach i wtedy mielibyśmy jakieś szanse. Niestety, właśnie teraz obydwie okręty barbarzyńców znajdowały się dokładnie na kursie z wiatrem.

— Zmień hals, to przejdziemy obok — krzyknął Pesaro — teraz płyniemy wprost między ich okrętami!

— Jeżeli to zrobię, zapali się żagiel. Odrąb palące się części.

W tej chwili wyszła Menate niosąc nasze tarcze i miecze. Nie było czasu na nałożenie pancerzy. Skierowałem ją do miotacza.

— Ustaw go na prawą burtę!

— Dlaczego na prawą? — krzyknęła widząc zbliżające się z przeciwnej strony potężne kształty barbarzyńskich okrętów.

— Rób, co mówię — warknąłem. — Kiedy ci powiem, uruchomisz pompę.

Spojrzałem na Pesara. Widać było, że nie zdąży ugasić ognia. Byliśmy coraz bliżej. Kiedy doszliśmy na odległość skutecznego zasięgu miotacza, dałem znak Menate i po zwrocie odpadłem do półwiatru. Przemknęliśmy przed dziobami obu okrętów oblewając je ogniem. Błyskawicznie wyostrzyłem i zrobiłem zwrot, przechodząc koło burty najbliższego okrętu. Łucznicy nie zdążyli dotrzeć tu z przeciwległej strony, a teraz powstrzymywał ich ogień miotacza. Żagiel, znajdujący się w tym położeniu nad płonącym jeszcze fragmentem burty, zaczął dymić — zrobiłem drugi zwrot, przenosząc go na przeciwną stronę. Dopiero teraz barbarzyńcy zaczęli strzelać z łuków. Bez skutku, odległość rosła z każdą chwilą.

Nie wierzyłem w to. Nie wierzyłem, że ominiemy te statki, a jednak tak się stało. Wszystko to musiało dziać się gdzieś poza mną, gdyż dopiero teraz zdawałem się rozumieć całą sytuację. Rozejrzałem się dookoła. Menate i Pesaro kończyli gasić resztki pożaru. Zablockowałem ster, zapaliłem lampę i zacząłem oglądać łódź, szukając ewentualnych zniszczeń. Nie były wielkie, natomiast na dziobie znalazłem skulonego barbarzyńcę. W pierwszej chwili odskoczy-

łem, ale znając ich zwyczaje opanowałem się. Było pewne, że nie zaatakuje, kiedy jest sam. Dla pewności z mieczem w ręku podszedłem do niego. Był to młody chłopak, z długimi włosami splecionymi nad czołem w drobne warkoczyki, aby nie zasłaniały oczu. Patrzył dość obojętnie spod przymrużonych powiek, ale przez plecy przebiegał mu co chwilę niespokojny dreszcz.

— Co z nim zrobimy? — spytał Pesaro. — Trzeba go chyba zabić — dodał niepewnie.

Wzruszyłem ramionami.

— On teraz nie zaatakuje. Barbarzyńcy są agresywni tylko w grupie i tylko kiedy mają przewagę.

— Jak on się tu dostał?

— Nie wiem. Zapewne wdrapał się z wody na samym początku albo skoczył z mijanego okrętu.

— Taki młody i ładny chłopak — powiedziała Menate — trudno uwierzyć, że potrafi mordować z zimną krwią.

— To nie jego wina. Tak go wychowano. Nie jest to sprawa złego charakteru, tylko innej moralności. W rzeczywistości może jest dobrym i wrażliwym człowiekiem.

— Jak możesz tak mówić? — w głosie Menate nie wyczułem żadnej nutki świadczącej, że pamięta lub chce pamiętać o naszej ostatniej rozmowie. Ale mogłem się mylić. Sytuacja była inna, a ja byłem zmęczony. Wyjąłem z najbliższej torby z zapasami kawałek mięsa i rzuciłem długowłosemu barbarzyńcy. Chłopak podniósł go i zaczął łapczywie jeść.

— Jak zwierzę — mruknął Pesaro.

— Niech zostanie — powiedziałem. — Będzie robił, co mu się każe.

— Nie rzuci się na nas w sprzyjających okolicznościach?

— Nie.

— Nawet kiedy będzie blisko swoich?

— Nawet wtedy. Zrozum, ci ludzie nie mają takiego poczucia przynależności, wspólnoty jak my. Łączą się nawet nie dla wykonania tego, co przyniesie im zysk, ale zmuszani zewnętrznymi okolicznościami. Oni nie mają tak zwanego „kośca moralnego”, etyki czy czegoś w tym rodzaju. Ten człowiek po odizolowaniu od swoich będzie żył tam, gdzie zadecydują jego nowi współplemieńcy, będzie walczył razem z nimi i dla nich przeciwko wszystkim — a przeciwko dawnym współbraciom szczególnie, bo gdyby go złapali, zginąłby na miejscu jako zdrajca.

— Ale my nie jesteśmy jego współplemieńcami!

— Daliśmy mu jeść, a ponieważ nie tuczy się wrogów, uznał, że jesteśmy jego braćmi. Czuje się już jednym z nas.

— To niemożliwe! — krzyknął Pesaro.

Uśmiechnąłem się. Chłopak skończył już jeść i oblizywał palce.

— Idź i posprzątaj spalone deski — powiedziałem w jego języku.

Podniósł się i posłusznie poszedł we wskazanym kierunku.

V. Część trzecia

Therion wydawało się dziwnie puste i nieruchome już z daleka. Ale będąc jeszcze na wodzie nie zastanawiałem się nad tym obserwując refleksy światła rzucone przez fale, rozświetlone słońcem żagle, czyjeś mokre włosy, poruszane przez wiatr. Wspomnienia mieszały się z rzeczywistością. Zegnałem morze, którego mogłem już więcej nie zobaczyć.

Kiedy podплыliśmy do zewnętrznego falochronu, stało się jasne, że w porcie nie ma nikogo. Przygnębieni jednak niedawną śmiercią Agathesa, byliśmy skłonni przyjąć to za odbicie naszych myśli raczej niż za fakt rzeczywistości. Dopiero kiedy dobiliśmy do wybrzeża, kiedy znikły wszystkie dźwięki towarzyszące pracy na łodzi, uderzyła nas cisza. Poza krążącymi nad miastem ptakami nic się nie poruszało. Nie bacząc na potencjalne niebezpieczeństwo rzuciliśmy się do miasta. Było równie puste. Krążyliśmy wymarłymi ulicami, starając się znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie, przyporządkować cisnące się z zewnątrz obrazy do jakiegokolwiek znaczenia, przechowywanego być może gdzieś na granicy pamięci i wyobraźni. Nic z tego. Żaden z możliwych punktów widzenia nie dawał oparcia. Jedynym pewnym uczuciem był strach. Potężniał on i rósł z każdym krokiem, każdym skojarzeniem nasuwanym przez martwe teraz budowle, rynki i targowiska.

Nie wiem, jak długo krążyliśmy między domami. Chyba długo, bo byłem już dobrze zmęczony, kiedy Pesaro wszedł do jednego z nich. Wybiegł zaraz i wpadł do następnego, potem jeszcze do kilku. W końcu wyszedł na ulicę i ciężko dysząc stanął na środku.

— Są wewnątrz — wysapał.

— Co? — nie zrozumiałem.

— Wszyscy są w swoich domach.

Rzuciłem się w kierunku najbliższego wejścia.

— Martwi — dodał.

Zatrzymało mnie w miejscu. Chciałem o coś zapytać, ale zakrztusiłem się śliną.

— Musieli tu już być barbarzyńcy. I to bardzo niedawno — ciągnął — wymordowali wszystkich.

— Ale po co pownosili ich do domów?! — krzyknęła Menate.

— Pownosili? — Pesaro uśmiechnął się gorzko. — Nie ma żadnych śladów walki, żadnej porozrzucanej broni, nic. Na pewno nikt ich tam nie wnosił. Zginęli dokładnie tam, gdzie leżą.

Usiadłem zrezygnowany pod ścianą.

— Oglądałem wiele zdobytych miast — powiedziałem. — Widziałem trupy na ulicach, palące się domy, rozbite bramy... Najwięcej ofiar leżało zwykle wokół budowli publicznych, gdzie obrońcy bronili się najdłużej. Ale nigdzie

nie widziałem mieszkańców pochowanych we własnych domach, gdzie bierni i przerażeni czekali na najeźdźcę.

Pesaro stanął przede mną.

— Chciałoby się powiedzieć: schyłkowość, co? Ale to słowo nie ma tu odniesienia. Już nie ma odniesienia. Sprawy zaszły za daleko... — Odwrócił się. — Co robimy? — spytał patrząc gdzieś ponad dachami domów.

— Ruszamy dalej? — to był głos Menate.

— Po co? — Pesaro uspokoił się już zupełnie. — Skoro już tu są barbarzyńcy, wszystko traci znaczenie... Nawet jeśli dotrzemy do tego kraju, nie będziemy mogli wrócić do naszego miasta, o ile w ogóle będzie ono jeszcze istnieć.

— Wszystko jedno, czy to ma jakieś znaczenie czy nie — Menate podeszła do brata: — Czy chcesz być taki jak ci, którzy pochowali się w domach? Coś trzeba robić. Poza tym gdzie indziej też nie ma nadziei. Jedźmy!

Pesaro stał bez ruchu.

— Chodźmy do łodzi po zapasy — powiedział po chwili nieswoim głosem.

— A ty? — Menate spojrzała na mnie chłodno. — Jedziesz z nami?

Było mi wszystko jedno.

— Tak — powiedziałem, bo trzeba było coś powiedzieć.

VI. Część pierwsza — ciąg dalszy, zakończenie

Nie udało się jednak ruszyć od razu. Kilka dni straciliśmy na poszukiwanie jucznych zwierząt. Niestety tylko barbarzyńskiemu chłopcu udało się znaleźć dwa stare muły. Niezbyt nam wystarczały i zapewne zostalibyśmy w okolicach Therion trochę dłużej, ale Pesaro przed zachodem słońca zauważył zbliżającą się od strony równin kolumnę ludzi i zwierząt. Mogli to być tylko barbarzyńcy. W nocy spakowaliśmy bagaże i niosąc część na plecach ruszyliśmy w kierunku gór. Posuwaliśmy się coraz wyżej i wyżej, zostawiając za sobą krainę słońca i ciepła. Brnąc po kolana w zimnym błocie, mijaliśmy karłowaciejące wraz z wysokością rośliny. Potem był już śnieg i białoszara w rozpraszonym przez chmury światłe pustka. Mimo że włożyliśmy wszystko, co mieliśmy ze sobą, zimno było coraz dokuczliwsze. Któregoś kolejnego dnia trafiliśmy do zamarznętego lasu. Tak jak przed laty wywierał przygnębiające wrażenie. Wysokie, skute lodem i śniegiem drzewa na tej wysokości onieśmiały i przywodziły na myśl jakąś potężną dekorację — wyglądającą jak kamuflaż pułapki.

Następnego dnia znaleźliśmy dawne obozowisko i resztki zapasów, które pozostawiłem tam przed laty. Mimo że mróz zachował je w doskonałym stanie, nie chciałem ich ruszać. Nie chciałem też zatrzymywać się w tym miejscu, nie tylko dlatego, że gdzieś w pobliżu był Lytos.

Kierując się jego mapą szybko dotarliśmy do początku owej drogi przez nieprzekraczalne według legendy Góry Bogów. Zatrzymaliśmy się niezdeterminowani u ich stóp. Nie chciałem spojrzeć na Menate, ale byłem pewny, że mnie obserwuje. W zasadzie nie miałem wątpliwości, ale tak jak przed skokiem do zimnej wody — nie mogłem się zdecydować na jakiś konkretny moment... Nie

wiem, jak długo wahałbym się, gdyby nie minął mnie chłopak prowadzący muły. Nie szliśmy w zwartym szyku i przed chwilą został w tyle. Teraz, nie biorąc naszego postoju za ważny, wyprzedził nas i pewnie wszedł na drogę wiodącą ku przełęczy. Ruszyliśmy za nim. Pesaro śmiał się cicho.

— Teraz widzisz, dlaczego barbarzyńcy mają przewagę nad nami — trącił mnie w ramię. — On po prostu nie wie, że to są Góry Bogów.

— Czy niewiedza jest siłą? — mruknąłem.

— Może czasami tak? On nie jest skrzepowany wyobraźnią nasuwającą skojarzenia, wytłumaczenia i schematy postępowań na podstawie posiadanych pojęć, uczuć i obrazów. To pozornie inne wartości, w rzeczywistości jedna ze skończonej liczby kombinacji.

Nie odpowiedziałem. Droga wznosiła się coraz bardziej i stawała się coraz trudniejsza. Niedługo potem zobaczyliśmy nieruchome ciało ludzkie zwisające obok drogi. Kiedy podeszliśmy bliżej, wydało mi się, że je rozpoznaję. To chyba ten nieznajomy, który dołączył przed laty do wyprawy Lytosa. Człowiek, o którym nic nie wiedziałem — oprócz tego, że nigdy już nie opuści tych skutych lodem gór.

Ruszyliśmy dalej przygnębieni. Mimo że zapadała noc, nie mogliśmy się tutaj zatrzymać. Spędziliśmy ją bezsennie kilkaset kroków dalej, beznadziejnie starając się dostrzec ukryte w ciemności, a zapamiętane z dnia szczyty górskie, które według mapy Lytosa zwiastować miały przełęcz.

Widoczność nie poprawiła się rano, gdyż ogarnęły nas mokre i namacalnie wprost lepkie kłęby mgły. Temperatura nieco wzrosła. Mając wrażenie, że stąpamy w chmurach, przekroczyliśmy przełęcz nawet o tym nie wiedząc. Dopiero kiedy teren zaczął się obniżać, zdaliśmy sobie sprawę, że większa Część drogi została już za nami.

Bardzo wolno, ślizgając się i przewracając schodziliśmy w dół, czując powiewy coraz cieplejszego powietrza. Mgła rozrzedziła się nieco, kiedy weszliśmy na rozległy jak wynikało z mapy płaskowyż, a rozwiała się zupełnie, kiedy dotarliśmy do jego krawędzi.

Pod nami rozciągała się głęboka równina, pocięta pasmami rzek i czarnymi połaciami lasów. Widać było stado jakichś zwierząt, przemierzających płaszczynę porośłą trawą, i ptaki na naszej wysokości. Kraina była dokładnie taka, jak opisywał ją Lytos. Zmęczeni opadliśmy na kamienie.

Leżałem bez ruchu, nie myśląc o niczym, odprężony i cudownie wyprany z wszelkiego niepokoju. Słychać było tylko wycie wiatru rozdieranego krawędziami skał. Nie trwało to długo. Pesaro przerwał ciszę. Nastroj przysnął, na jego miejsce wdarły się znowu męczące myśli i natrętne wspomnienia.

— W tej chwili barbarzyńcy zajęli już na pewno cały pas wokół Therion — powiedział. — Już za późno, żeby wrócić i przyprowadzić ludzi...

Nic mnie to nie obchodzi — odparłem w myślach.

— Dlaczego tak się stało? — ciągnął Pesaro martwym głosem. — Dlaczego nie zwyciężyła w nich choćby pierwotna cząstka instynktu nakazującego zachować życie? Zabrakło bodźca? To, co nadbudowała kultura...

Nic mnie to nie obchodzi! — chciałem krzyknąć, ale w tym samym momencie długowłosy chłopak dotknął mojego ramienia.

— Czy będziemy dalej schodzić, czy mam rozjuczyć muły? — spytał.

Wzruszyłem ramionami. Pesaro przerwał i patrzył na niego.

— Oto barbarzyńcy — powiedział. — Nigdy się nie wahają. Nie znają tego uczucia, które towarzyszy całkowitej przegranej, stracie wszystkiego... Dla nich dobra jest każda sytuacja. Przystosowują się do wszystkiego, bo są bez balastu, są czyści i elastyczni. My możemy osiągnąć to tylko przez autodestrukcję!

— Przestań! — krzyknąłem. — Mam tego dość, rozumiesz? Mam dość twoich nadętych kazań. Nic mnie to nie obchodzi!

Odwrociłem się i pobiegłem z powrotem. Potknąłem się za jakimś załomem skalnym i przewróciłem — drapałem palcami kamień, jakby chcąc w ten sposób coś skompensować, coś zastąpić.

Ktoś stanął za mną. Znieruchomiałem.

— Rozumiem, że dla ciebie ważniejsze jest to, co odkryłeś w sobie, ale...

— Nic! — powiedziałem twardo, przerywając Menate.

— Co nic? — spytała.

— Nic nie rozumiesz.

— A mógłbyś mi wytłumaczyć?

Spojrzałem na nią roztargniony.

— Czy nic zdarzyło ci się nigdy, że przyzwyczajona do tego, że ludzie i tak zauważają tylko jedną twoją stronę, grasz przed nimi narzuconą sobie rolę? Przypuśćmy, że spotkasz nagle człowieka innego, ale nie wiesz o tym i grasz przed nim jak przed wszystkimi. Dopiero potem, kiedy tracisz z nim kontakt, domyślasz się, że to była stracona szansa, że utraciłaś coś, co się może już nigdy nie powtórzyć... — wyrzucałem z siebie wszystko to, co kumulowało się we mnie od dawna.

— Czy dlatego tak mnie nienawidziłeś wtedy na łodzi? — spytała.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zacząłem krążyć.

— Czasami zdaje ci się, że możesz się wyrwać, ale zawsze odkładasz to na później. Aż wreszcie przychodzi taki moment, że jest za późno, że nie ma nikogo wokół ciebie. Ani dosłownie, ani w przenośni.

Zapadło milczenie. Musiałem je przerwać. Wstałem i ruszyłem w kierunku przełęczy.

— Idziesz tam? — poderwała się.

— Nic wiem. Na razie chcę być trochę sam.

— Ale wrócisz?

— Może — mruknąłem, ale to nie oddawało tego, co chciałem powiedzieć. — Tak, chyba tak — dodałem.

— Będę razem z nimi. Tam na krawędzi płaskowyżu... — chciała jeszcze coś dodać, ale zrezygnowała. Może nie zdążyła, nie czekałem na nią. Mimo wznoszącej się drogi przyspieszyłem i zanurzyłem się w rzadką mgłę.

VII. Repryza tematu głównego

Temperatura zaczęła znowu opadać, ale przez to powietrze stawało się czystsze

Chmury podniosły się o tyle, że widać było ukryte przedtem wierzchołki gór

otaczają cych przełęczy. Z powodu dużej wysokości szybko poczułem zmęczenie i zatrzymałem się, by odpocząć pod jakąś skałą na zakręcie drogi. Nie zdążyłem usiąść, kiedy usłyszałem stukot kopyt. Bez wątplenia były to kopyta konia. Nie było się gdzie ukryć. Nie miałem miecza, tylko długi nóż. Przygotowałem go do wyciągnięcia.

A więc tak wszystko się kończy... — pomyślałem.

Zaskoczyło mnie to, nie byłem przygotowany na podobną ewentualność. Jeździec zbliżał się mając słońce za plecami, tak że nie widziałem dokładnie jego sylwetki. Zauważyłem tylko, że koń był bardzo zmęczony, bo ciągle się potykał, aż wreszcie stanął dysząc i parując tuż przy mnie. Dopiero wtedy rozpoznałem jeźdźca. Był to Larnes.

— To ty?! — krzyknąłem zdumiony. — Jak tu trafiłeś?

— Przecież sam dałeś mi mapę — odpowiedział śmiejąc się. — Czy tam — wskazał ręką kierunek, z którego przyszedłem — jest kraj, o którym mówił Lytos?

Skinąłem głową. Larnes roześmiał się na cały głos.

— Ale... jak to się stało, że jesteś tutaj? — spytałem.

— Cóż, sam nie wiem dokładnie dlaczego. Naprawdę nie wiem. Po prostu zdecydowaliśmy się jednak. Wyruszyliśmy niedługo po was.

— Mówisz w liczbie mnogiej?

Larnes podniósł się w strzemionach i wskazał coś za swoimi plecami. Spojrzałem w tamtym kierunku.

Zaczerwienione od krzyku twarze poganiaczy zwierząt, kanciaste, silne postacie żołnierzy i zróżnicowane sylwetki mężczyzn, dzieci, kobiet i zwierząt zlewały się w jedną masę. Tworzyły razem długi, falujący i wijący się w ząłomach wąwozu pochód, który choć mały w porównaniu z otaczającymi górami, zbliżając się potężniał z każdą chwilą.

Blisko granicy

- Czy potrzebuje pan pilota?
- Której kategorii?
- Mmmm... Nie mam karty, ale...
- Nie, nie potrzebuję.
- Pan mnie nie rozumie, miałem kartę pilota wojskowego, zabrano mi ją, gdy zostałem usunięty dyscyplinarnie... Dyscyplinarnie, rozumie pan? Nic dlatego, że byłem złym pilotem, tylko zamieszano mnie w aferę z przemytem alkoholu na poligon. Taka głupia sprawa...
- Niestety, musi pan spytać gdzie indziej.

★ ★ ★

- Czy pańska firma potrzebuje pilota?
- Której kategorii ma pan kartę?
- Nie mam karty...
- Przykro mi, nie możemy pana przyjąć.
- Ale...
- Mamy komplet, proszę spróbować u kogoś innego.

★ ★ ★

- Czy potrzebuje pan...

★ ★ ★

Jedynie, co pozostało Dempseyowi, to pójść do jednego z wielu barów tego wielkiego i brudnego europejskiego miasta, w którym się znajdował. Zapewne zrobiłby to, gdyby nie fakt, że ze wszystkich pieniędzy została mu już tylko drobna moneta wyrzucona przez zepsuty automat. Stał bez ruchu przed budką telefoniczną, wdychając duszne, ciężkie od gęstego kurzu powietrze, kiedy poczuł lekkie uderzenie w kark. Odwrócił się. Z tyłu, pod pokrytą zaciekami ścianą stał jakiś chłopak, sącząc piwo z butelki. To on rzucił w Dempseya kapslem.

— Hej, ty — odezwał się nadspodziewanie grubym głosem. — Chcesz

zarobić?

Widocznie uznał milczenie za formę potwierdzenia, bo ciągnął dalej.

— Słyszałem, co wykrzykiwałaś do tej słuchawki. Wiem, gdzie by chcieli takiego jak ty.

— Gdzie? — mruknął Dempsey.

— Co się tak spieszysz? Odpal trochę forsy.

— Nie mam ani grosza.

— Zegarek.

Dempsey odpiął błyszczącą bransoletkę i rzucił ją chłopcu. Ruszyli w stronę przeciwną do tej, w której mieszczą się eleganckie wieżowce firm lotniczych, niemniej budynek, do którego weszli, prezentował się dość okazale. Chłopak wszedł bez pukania do jakiegoś pokoju. Przez uchylone drzwi widać było, jak rozmawia z urzędnikiem.

Po chwili znowu był na korytarzu.

--- Właż — wskazał palcem pokój i ruszył w stronę wyjścia.

Siedzący za biurkiem pracownik był wysokim, postawnym mężczyzną. Pochylał nisko głowę, jakby chciał ukryć opuchniętą, nalaną twarz, ozdobioną okrągłymi okularami o wypukłych soczewkach. Teatralnym, wyszukany gestem wskazał krzesło przy drzwiach.

— Słyszałem o pana sytuacji — zaczął nie czekając, aż Dempsey odezwie się pierwszy — myślę, że nasza oferta będzie panu odpowiadać.

— Jaka to praca?

— O, proszę się nie martwić — urzędnik odchylił się na krześle, nie prostując jednak karku, co sprawiało, że ciągle patrzył spod brwi, nadając swojej twarzy wyraz surowości. — Na pewno będzie to praca w pańskiej specjalności. Chodzi o lot do Ameryki Południowej i z powrotem. Zapłacimy panu za to — tu zrobił przerwę — dwa tysiące...

— Ile? — spytał Dempsey sądząc, że się przesłyszał.

— Dwa tysiące. Tysiąc teraz i tysiąc po powrocie. — Urzędnik uśmiechnął się. — Dziwi pana zapewne, że proponujemy tak wysoką sumę za jeden lot, ale będzie to praca... eee... może nie tyle trudna, co niewygodna. A poza tym chcemy też kupić pana milczenie. Nie, żeby sprawa była w jakiś sposób tajna czy niezgodna z prawem, ale po co ma o tym wiedzieć za dużo ludzi. — Tu uśmiechnął się szerzej.

Dempseyowi niezbyt się to podobało, ale nie oczekiwał niczego innego. Poza tym wysokość wymienionej sumy usposobiła go raczej przychylnie zarówno do faceta za biurkiem, jak i do jego firmy.

— Jakim samolotem mam lecieć?

— To nie samolot, polecą pan starym wahadłowcem.

— Dlaczego akurat wahadłowcem? Samolot byłby tańszy.

— Ponieważ to jedyny pojazd zdolny przebyć tę trasę w obie strony bez tankowania i co ważniejsze — bez przeglądu technicznego tam, na miejscu.

— Czemu mam lecieć bez tankowania?

— Nie chcemy, żeby lądował pan na jakimkolwiek lotnisku amerykańskim, polecą pan bezpośrednio nad jedną z chilijskich pustyń i... No, no, niech się pan nie przeraża, nie będzie pan siadał na piasku. Jest tam stare lotnisko,

które kiedyś służyło do dostarczania sprzętu jednej z kopalń saletry. Nasi ludzie zostawią tam automatyczną radiostację, która pomoże panu je odnaleźć. Wyładuje pan, wysadzi pasażera i zaczeka, dopóki nie przyjedzie po niego karawana samochodów. Weźmie pan paczkę od jej kierownika i wróci do Europy. Jako załoga polecą z panem pan Taylor i pan Marsh — mechanik i radionawigator. Latał pan w wojsku na wahadłowcach?

— Tak.

— To nie powinno być żadnych kłopotów. Nasz ma tylko trochę przesunięty środek ciężkości. Musieliśmy wymontować całe wyposażenie kosmiczne, aby móc powiększyć zbiorniki paliwa i zyskać trochę miejsca na zapasy żywności. — Urzędnik przez chwilę obserwował, jakie wywarł wrażenie. Widać lustracja wypadła pozytywnie, bo dodał: — Jeśli zdecydował się pan ostatecznie, proszę podać swoje nazwisko.

— Grant Dempsey.

Wbrew oczekiwaniom tamten nie zapisał jego personaliów.

— Mógłbym się dowiedzieć, dokąd konkretnie lecę, jaka to pustynia?

— Atacama.

* * *

Dempsey nie wiedział, kto dopuścił ich pojazd na trasę lotniczą. Wahadłowiec szedł bardzo nierówno i nie można go było utrzymać w przydzielonym korytarzu, z którego odpadał to w dół, to na boki. Stery, jak zwykle w rakietoplanach, reagowały ze znacznym opóźnieniem, a każda próba regulacji toru zwiększeniem ciągu silnika kończyła się wyniesieniem na kilkadziesiąt czy nawet kilkaset metrów w górę. Załoga tak wychwalana przez przedstawiciela firmy — owi „pan Taylor i pan Marsh“ — okazała się równie dobra jak wahadłowiec. Taylor był może niezłym mechanikiem, ale nigdy nie latał na wahadłowcach — szarpał manetką przyśpieszenia jak dźwignią w ciężarówce. Marsh był studentem po czwartym roku szkoły transportu lotniczego, ambicja kazała mu chwytać się dodatkowych zajęć w każdej wolnej chwili. Radził sobie jeszcze jako tako na szlaku transeuropejskim, ale kiedy nad Zatoką Biskajską skręcili na zachód i na wysokości przylądka Finisterre opuścili Europę, zagubił się zupełnie.

Chaos wzmagała także obecność pasażera, którego fotel z powodu ciasnoty w kabinie trzeba było ustawić między Taylorem i Dempseyem, tak że pilot nie widział, co robi mechanik.

Dempsey nie znał nazwiska pasażera, to znaczy prawdziwego, bo inne zdążył poznać aż trzy. Wysoki, chudy i mrukliwy, na lotnisku przedstawił się jako Roberts, w paszporcie, który przy odprawie obejrzał mu Dempsey, figurowało nazwisko Alfred, a na prawie jazdy, które oddał urzędnikowi firmy przed odlotem — Stackingale.

Początkowo lecieli kursem na Stany Zjednoczone, ale w połowie drogi, zerwawszy łączność z ośrodkiem dyspozycyjnym w Europie, skręcili w stronę Ameryki Południowej. Nad Kostaryką przelecieli jako lokalny transporto-

wiec, co położyło kres wątpliwościom Dempseya co do możliwości wypełnienia tego punktu programu. Wydawało mu się, że nawet najbardziej tępy operator, widząc na swoim radarze ich fantastyczną jak na transportowiec szybkość, każe im lądować na najbliższym lotnisku. Nic takiego się nie stało, nikogo również nie zainteresowało, czego mógłby taki statek szukać nad otwartym oceanem, znad którego przybyli i nad który odlatywali. Tuż za granicą kontroli radarowej skęcili pod ostrym kątem na południe i omijając wszystkie wyspy tego obszaru szerokim łukiem, dotarli do Chile. Tu miał się zacząć drugi punkt budzący sporo wątpliwości. Dempsey zniżył wahadłowiec na minimalną wysokość i polegając raczej na niedokładnych wskazaniach radionamiernika niż na obliczeniach nawigatora, wszedł w obszar regionalnej kontroli radarowej. Rubinowa kontrolka systemu wykrywającego promienie radarowe nic rozbłysła jednak ani wtedy, gdy sunąc tuż nad wodą zbliżali się do lądu, ani gdy krążąc i kołując nad dzikimi i nie zamieszkanymi obszarami szukali słabego sygnału automatycznej radiostacji. Usłyszeli go jakieś sto kilometrów na południe od Antofagasty i za jego pomocą odnaleźli małe, zawiane piaskiem lotnisko, zagubione wśród szarozółtych obszarów pustyni. Krańcowo wyczerpany manewrowaniem ciężką i toporną maszyną Dempsey wylądował już za drugim podejściem, zarywając w piasek na końcu krótkiego, wąskiego pasa.

Powoli, bardzo powoli ustawał szum powietrza w filtrach, a głęboki głos turbosprężarki przechodził w coraz niższe tony, odsłaniając zagłuszone dotychczas, a cichnące już teraz odgłosy pracy innych urządzeń. Wielka, wspaniała i potężna maszyna za plecami Dempseya zamierała. Spojrzał na zegarek i pokręcił głową, dziwiąc się, że jeszcze tak niedawno byli w Europie. W zapadającą ciszę wdarł się odgłos pustynnego wiatru obejmującego we władanie nowy kształt wymykający się dotychczas jego kontroli.



Opuścili kabinę wahadłowca, opanowani z pozoru nieuchwytnym nastrojem obcości świata, w który wkraczali. Dłuższą chwilę stali tuż przy kabinie, rozglądając się niepewnie. Otaczał ich poszarpany, kamiennie-piaskowy krajobraz, z jednej tylko strony rozbity równą płytą lotniska. Na wschodzie czerniły się dalekie szczyty gór. W ich tle ginęły ruiny jedynej budowli: niskiego domu-baraku. Ruszyli w jego kierunku. W środku, pod resztkami belkowania nie istniejącego już dachu, przykryta grubą plastikową płachtą stała automatyczna radiostacja i sześć połączonych ze sobą akumulatorów. Roberts szarpnął wyłącznik.

Poza śladem wypłowiałego napisu nad drzwiami: „Desierto da Atacama“, nie było żadnej wiadomości. Marsh ocierał co chwila pot z twarzy, na której malowała się narastająca niepewność i coś jakby strach.

— Czemu nikogo nie ma? Mieli tu być — wybuchnął.

— Bez przesady, uprzedzali, że może trzeba będzie poczekać na te samochody — mruknął Taylor.

Do Marsha jakby to nie dotarło.

— Panie Dempsey, czy wahadłowiec nadaje się do odlotu? — Marsh mówił coraz szybciej. — Koniecznie trzeba to sprawdzić, nie możemy tutaj...

— Będziemy czekać! — przerwał mu milczący od początku lotu Roberts. Stał jeszcze przez chwilę, obserwując wywołane wrażenie, potem odwrócił się i wyszedł.

Pierwszy ocknął się Taylor. Splunął pod nogi i spojrzał na Dempseya.

— Chyba bez względu na to, co będziemy robić, trzeba obejrzeć grata, paskudnie weszliśmy w ten piach.

Grant wzruszył ramionami,

— To nie moja wina, pas był za krótki.

— Nikt tu nikogo nie oskarża — Taylor kopnął drzwi. — Idziemy?

Ruszyli z powrotem.

Przedni wózek podwozia był skrzywiony i mocno wbity w podłoże, ale goleń była cała i prawidłowo scentrowana na osi.

— Da się wyciągnąć? — dopytywał się Marsh.

— Myślę, że można spróbować, starając się rozhuścić to bydlę raz w przód, raz w tył — powiedział Taylor — ale to cholernie trudne przy tak ciężkiej maszynie. Poza tym trzeba by odkopać wózek i zmniejszyć ciśnienie w hydraulicznych. Chyba lepiej zaczekać na samochody. One go wyciągną, co, Dempsey?

— Taaa... Myślę, że tak będzie najlepiej. Teraz trzeba przygotować kabinę do spania, zaraz będzie ciemno.

— Będziemy spać w kabinie? — zdziwił się Marsh.

— A gdzie? — Dempsey wspiął się na drabinkę. — Trzeba rozłożyć fotele.

— Będziemy spali na fotelach w poprzek?

— Nie, każdy na swoim. Nogi będziesz trzymał na tablicy rozdzielczej.

Ktoś zaklął.

###

Czekali już trzy dni, poddając się agresywnej atmosferze dzikiej, obcej i martwej pustyni. Czekali na ludzi, którzy mieli czekać na nich. Mogliby w zasadzie wracać, ale tego nie zrobili. Czas wypełniało im wypatrywanie samochodów, mających zburzyć otaczającą ich martwość. W kontekście tego otoczenia ich przyjazd stawał się powoli czymś irracjonalnym. Karawana samochodów urastała do miary symbolu, wydarzenia zapowiadanego i mającego się spełnić z biblijną pewnością, ale wydawało się, że to spełnienie musiało od czegoś zażyć — jeżeli nie stanie się tamto, samochody nigdy nie nadjadą. Co jednak miało się stać, tego Dempsey nie mógł już wymyślić. Gdyby nie odbierający wolę upał, nie mógłby zapewne pogodzić się z taką sytuacją. Teraz jednak siedział w skąym cieniu wahadłowca i pół śpiąc, pół czuwając obserwował horyzont.

Przerwało mu przyście Taylora.

— Słuchajcie, dwa kilometry stąd w stronę gór obozują jacyś dzicy — zdjął przeпоconą koszulę i usiadł, opierając się o burtę. — Nie widzieli mnie, ale nie jest tu bardzo bezpiecznie. Przyłot wahadłowca musiał zwrócić ich uwagę.

— Jacy dzicy? — poderwał się Marsh. — Przecież to niemożliwe. Z czego by tu żyli?

Taylor wzruszył ramionami i zamknął oczy.

— Pójdzie pan ze mną, panie Dempsey? — Marsh był coraz bardziej podniekcytowany.

— Chodźmy, ale daruj sobie wreszcie to „panie Dempsey“, mów lepiej Grant.

— Ja mam na imię Marty.

Ruszyli w kierunku wskazanym przez Taylora.

Nędzna wieś tubylców była ukryta w płytkim i szerokim wąwozie, którego dnem sączyła się niska strużka słonawej wody. Małe, rozsypujące się chaty sklecone były byle jak z resztek skrzyń, kawałków plastiku, szmat, potrzaskanych, zardzewiałych kratownic i innych odpadów z dawnego lotniska. Rządziej trafiało się twarde drewno stemplowe, przytransportowane zapewne z

kopalni.

Na ich spotkanie wybiegli wszyscy chyba mieszkańcy, zaledwie kilkadziesiąt osób. Niscy, poowijani skąpo szmatami, mówili coś, krzyczeli, gestykulowali, starając się jednocześnie precyzyjnie jak najbliższej przybyszów. Ścisk zelżał nieco, gdy dobiegł do nich siwy, nisko pochylony starzec. Otaczający ich ludzie zaczęli się trochę uspokajać. Po zapadnięciu ciszy, długo przypatrywali się sobie w milczeniu. Razem z Marshem wyglądali wśród niskich Indian na wielkoludów. Jakiś szczególnie mały chłopak podszedł do Marty'ego i chwycił go za nogawkę — unosząc wysoko głowę, przyglądał mu się z mieszaniną podziwu i zdumienia z jednej strony oraz ironii i dezaprobaty z drugiej. We wzroku, jakim omiatał owego przybysza z zaświatów, widać było wyraźnie elementy rozbawienia. Jakby w odpowiedzi na nie Marty roześmiał się. Zawtórowali mu wszyscy tubylcy — głośno i zdecydowanie.

— Słuchaj, Grant, trzeba by spytać, skąd ich przyniosło i po co tu siedzą?

— Wątpię, czy ktokolwiek z nich zna jakiś ludzki język — odparł Dempsey.

— Ja mówię waszym językiem — powiedział dość poprawnie zgarbiony Indianin. — Ale zanim zaczniecie pytać, chodźcie do mojej chaty, nie wypada mężczyznom rozmawiać na placu.

Ruszyli w głąb osady.

— Czy mógłbyś powiedzieć, co tu robicie? — spytał Marsh, gdy już zasiedli w jednej z okazalszych budowli, z kartonów po jakichś narzędziach.

Indianin poruszał przez chwilę bezgłośnie wargami, jakby szukając odpowiednich słów.

— Jesteście inni niż my, przychodzicie z daleka, z kraju wielkich ludzi. Nie wiem, czy potraficie zbliżyć się do nas...

— O co mu chodzi, Grant? — spytał Marty.

— Zapewne o to, że nie potrafimy ich zrozumieć, nie przerywaj...

— Przyszliśmy tutaj zza gór — starzec wskazał kierunek, w którym znajdowały się Andy. — Przyszliśmy tutaj, żeby czekać. Bo tutaj ma spełnić się znak, ma do nas przybyć żelazny ptak. Ptak, który zwiastuje przyjście Prze-

wodnika.

— I tylko dlatego pchaliście się przez Andy? — roześmiał się Marsh.

Starzec spojrział na niego zdumiony.

— Przewodnik ma nas zaprowadzić do miejsca szczęścia, tam gdzie człowiek zna swój cel i zna samego siebie, do miejsca prawdy. Miejsce jest tam! — wskazał ręką mniej więcej północ.

— Ależ tam jest tylko pustynia, same piaski, kamienie, słone jeziora i bagna...

— Ono jest dalej, znacznie dalej.

— Dalej na północ jest Antofagasta, potem Iquique, Arica. Potem jest już Peru i Tacna, jezioro Titicaca, Puerto Maldonado — Dempsey usiłował przypomnieć sobie mapę w miarę dokładnie. — Dalej w tej linii leży Brazylia, Kolumbia i Wenezuela, gdzieś za Maracay zaczyna się Morze Karaibskie, potem Atlantyk... Gdzie jest to miejsce? Dalej? Dalej są Stany Zjednoczone, Kanada, Grenlandia... Gdzie ono może być?

— Miejsce jest tam! — Indianin pokazywał wciąż ten sam kierunek.

— Daj spokój, Grant. Nie przekonasz staruszka. A swoją drogą mógłbyś chociaż udawać, że wierzysz w piękne legendy. Wylał z ciebie cały ten europejski sceptycyzm...

Dempsey wzruszył ramionami.

— Chodźmy stąd, zwariuję, jeśli się czegoś nie napiję.

* * *

Szósty dzień czekania.

Dempsey siedział na szczycie piaszczystego pagórka i starał się dojrzeć przez lornetkę cokolwiek poza falującym od gorąca powietrzem. Ocierał co chwila pot zbierający się na brwiach i regulował ostrość widzenia. Był to trud daremny, horyzont, o ile mógł go dostrzec w drgającym powietrzu, był pusty. Opuścił lornetkę i zawiesił ją sobie na szyi. Po raz któryś z kolei rozmyślał, czy jednak nie zacząć szukać jakiegokolwiek śladu cywilizacji, czy nie wyjść na przeciw karawanie samochodów. Cóż, nie miał najmniejszego pojęcia, z której strony przyjadą... jeśli przyjadą w ogóle...

Nie, Dempsey odganiał tę myśl — muszą przyjechać! Zdenerwowany ruszył w kierunku wahadłowca, od nowa przypominając sobie listę dowodów, którą ułożył, wszystkie „za“, świadczące, że ktoś musi tu przybyć, że nie wysłano by ich na darmo, na zgubę, że cywilizacja pamięta o ich istnieniu i wkrótce się o nich upomni.

Zbliżała się noc, kiedy dotarł do pasa startowego. Taylor spał, opierając się o plecy Marsha, notującego coś w wymiętym i poplamionym zeszytce. Robertsa nie było widać. Jak zwykle trzymał się na uboczu.

Dempsey wyniósł z kabiny karton z piwem i usiadł na betonie, opierając się o burtę. Chłodna ciecz przywróciła go trochę do przytomności. Poczuł pieczenie odkrytych, spalonych słońcem pleców. Wylał na nie resztę piwa z butelki. Otworzył następną i wypił kilkoma haustami, potem jeszcze jedną.

Marsh odłożył zeszyt i przeciągnął się, co zbudziło Taylora.

— Patrzcie, już widać gwiazdy, jak szybko zapada tu noc, bez żadnego ostrze-

żenia.

— Chciałbyś, żeby za każdym razem dęto w trąby anielskie? — Taylor zapalił papierosa. — Już mi się kończą, psiakrew — mruknął klepiąc się po kieszeniach.

Marsh nie zwracał na niego uwagi.

— Są takie duże i tak blisko, wydaje się, że nie mogą być daleko, że jest sposób, aby je osiągnąć — umilkł na chwilę.

— Przecież możemy tam polecieć...

— Nie radziłbym ci tego robić naszym gratem, ma zdemontowane wyposażenie kosmiczne.

Marsh otrząsnął się i wstał energicznie.

— Idę do tej wioski, niedługo wrócę.

— W nocy? — spytał Dempsey. — Nie za często tam chodzisz? Po co to w ogóle robisz?

— Żeby choć trochę popatrzeć na ludzi.

Ruszył szybkim krokiem. Gdy tylko znikł za pasmem wydm, Taylor i Dempsey jednocześnie, jakby byli umówieni, rzucili się do notatnika Marsha. Otworzyli na przypadkowej stronie:

„...to czekanie mnie wykańcza, czuję, jak coś we mnie się zmienia, coś pęka. Nigdy tak wyraziście nie odczuwałem, jak mały jest świat współczesnego człowieka i jak wielka może być dla niego pustynia. Ciągłe prześladowanie uczucie, że oni o nas zapomnieli, że wszyscy o nas zapomnieli. Jaka straszna jest świadomość, że nikt o tobie nie pamięta, że jesteś zużyty, niepotrzebny, odepchnięty i odsunięty od uczestnictwa w czymś wielkim i tajemniczym, co rozgrywa się za twoimi plecami, w reszcie świata.

Robię wszystko, by uwierzyć, że współczesny człowiek może być pewny siebie, kierować się chłodnym rozsądkiem — nie tylko w otoczeniu cywilizacji i innych podobnych mu ludzi. Czyżby tylko ona i oni utrzymywali go na tak wysokim poziomie? Czy kiedy znajdzie się sam, w obcym i odmiennym otoczeniu, proste dawniej fakty mogą nabrać ponadracjonalnych znaczeń? Może zmaleć wiedza i ludzka świadomość?

Skupiam się nad tym, żeby nie poddać się środowisku ani żadnej z otaczających mnie sił, które podważają moje poprzednie samookreślenie. Czy to możliwe, że człowiek taki jak ja, tak dumny z siebie, może nie wiedzieć nic bez swoich słowników, encyklopedii, komputerów? Bez czyichś wskazówek, nakazów, norm i kodeksów?

Od zwariowania powstrzymuje mnie tylko obecność »dzikich«. Latami wpajane przekonanie, że rozumiem lepiej i więcej niż oni, podtrzymuje mnie na duchu, podobnie jak oficera dowodzącego żołnierzami podtrzymuje nie to, że rzeczywiście wie więcej i lepiej orientuje się w sytuacji, tylko to, że oni tak myślą... “

— Szpiegujecie mnie! — to był Marsh. Nie zauważyli, kiedy przyszedł, musiał zawrócić tuż za wydmami. Teraz stał nad nimi, ledwie hamując wybuch. Wyrwał im zeszyt.

— Jak?... Jak?... — chciał coś powiedzieć, ale był zbyt zdenerwowany, by ułożyć jakies zdanie. Odwrócił się i pobiegł w mrok, przez stygnące piaski.

Dzień dziesiąty, może jedenasty.

Dempsey jak zwykle siedział na swoim pagórku. Był już tu kilkanaście minut i jeśli chciał uniknąć poparzenia lub uderu, powinien wrócić do cienia, by bijąc się z myślami oczekiwać na moment, kiedy nie wytrzyma i znowu tu przyjdzie.

Nie mógł się na nic zdecydować. Nie była to zwykła ociążałość czy nadzieja, że w ostatniej chwili coś zauważy — obojętnie, tuman kurzu czy blask słońca w szybie samochodu — ale dziwna pewność, że coś musi się stać. Otaczający go monotony, obcy i dziki krajobraz odpychał, ale i przyzywał, w nieuchwytny sposób narzucając swoją wewnętrzną logikę. Dempsey wysilił wzrok, jakiś kształt poruszył się w falującym powietrzu. Ależ tak, teraz był pewien — ktoś szedł w jego kierunku. Zobaczył drgającą postać piechura, miarowo pochylającą się za każdym krokiem. Wędrowiec podpierał się długim, sękatym kijem.

Dempsey poderwał się na równe nogi. Poraziła go absurdalna myśl, że to Mojżesz wyprowadzający swój lud przez pustynię. Bezwiednie ruszył w kierunku piechura.

— Doczekałem się, jednak się doczekałem, przyszedł... Pomoże nam, jak pomógł innym przed wiekami... — mówił do siebie bez sensu.

Dopiero kiedy zbliżył się dostatecznie, podniósł głowę. Zobaczył spoconą i zarośniętą twarz Roberta. Sękaty kij okazał się dalekosiężnym karabinem z długą lunetą. Minęli się bez słowa — tamten, idący ciągle miarowym krokiem, i Dempsey, posuwający się już tylko siłą rozpędu. Wreszcie stanął, ale dopiero po dłuższej chwili był zdolny powlec się do wahadłowca.

Wieczorem, kiedy do otaczających ich śmieci, butelek po piwie i coli, puszek po konserwach dorzucił kilkanaście nowych opakowań po piwie, podszedł do niego Taylor.

— Słuchaj, Grant, coraz mniej mi się to podoba. Ten tajemniczy lot, zapomniane lotnisko, pustynia i nonsensowne czekanie... To musi coś znaczyć...

— Co mnie to obchodzi?

— Co cię to obchodzi? A widziałeś karabin Roberta? Założę się, że oni coś tu planują. Jakiś brudny interes... Może nawet zamach stanu — ten Roberts to strzelec wyborowy, ćwiczył dzisiaj. Mówię ci, on wygląda na mordercę.

— Skoro wygląda na mordercę, to chyba nim nie jest.

— Nie wiem, czemu tak lekko to traktujesz. Będziesz inaczej gadał, jak zamiast facetów, na których czekamy, przyjdzie tu policja!

— Policja? Wierzysz jeszcze w policję? Wierzysz, że oprócz nas istnieje coś jeszcze na świecie?

— Przestań, jesteś pijany.

* * *

Któryś z kolejnych dni.

Mimo potrzeby oszczędzania energii z akumulatorów, klimatyzacja w kabinie była włączona na maximum. Ktoś pozakrywał od zewnątrz wszystkie szyby matowymi płytami i Dempsey siedział w ciemności, rozświetlonej jedy-

nie drobnymi strużkami światła przedostającego się przez nieszczelności zasłon. Był sam i nie mógł określić, od jak dawna to trwało. Wiedział tylko, że przyszedł tu prosto z wioski. Tak, dzisiaj czy wczoraj rano udało mu się wyrwać na chwilę z otępienia, wywołanego przytłaczającą atmosferą i pójść tam śladami Marsha. Pamiętał długą i męczącą rozmowę z wodzem czy naczelnikiem, albo po prostu człowiekiem cieszącym się powszechnym szacunkiem... Pamiętał też, jak bardzo poruszył starego, wspominając ironicznie legendę tego ludu. Tamten powiedział wtedy:

— To już się stało. Nie można odmienić przeszłości, a ona już się dokonała.

— Jak to? Jeżeli przepowiednia została spełniona, to czemu nie posłicie z tym swoim przewodnikiem? — spytał.

— Przewodnik jeszcze nie nadszedł. Ale to stanie się już wkrótce, bo przybył żelazny ptak.

— Kiedy? W czasie, kiedy my tu jesteśmy?

— Nie.

— A więc przedtem?

— Nie.

— Mówisz zagadkami.

— Przybył wtedy, gdy wy przybyliście. Wy przyszlście razem z nim.

— Aaa... Chodzi ci o nasz wahadłowiec?! — wybuchnął śmiechem.

Ta myśl nie wzbudziła jednak w Dempseyu okazywanej wesołości. Siedział teraz w ciemnej kabinie i starał się myśleć o czymś innym, jednak rozleniwione gorącym myśli krążyły ciągle wokół tego wspomnienia.

\$ * \$

Następnego dnia (chyba).

Pod wpływem snu, z którego dopiero co się ocknął, lub z innego, równie nieokreślonego powodu Dempsey zerwał się nad ranem, wygrzebał w wyposażeniu awaryjnym składaną łopatę i zaczął kopać gdzieś z boku pasa. Dół sięgał mu już do kolan, kiedy zbudził się Taylor. Słyszcząc odgłosy zacieklej pracy ruszył w ich kierunku i zastał Dempseya poszerzającego wykop.

— Czemu to robisz? — spytał.

Dempsey nie wiedział, czemu to robi, a może nie umiał zadać sobie tego pytania.

— No, co to ma być, do cholery?! — warknął Taylor. Dempsey stał nieruchomo, patrząc na efekt swojej pracy. Było tak cicho, że poza dwoma oddechami nie słyszało się żadnego odgłosu. Dopiero teraz, po tylu dniach cisza uderzyła go i sparaliżowała, jakby biorąc odwet za tak długie spychanie jej do roli jednego z wrażeń. Niemal namacalnie dawała się wyczuć potrzeba jakiegoś wyjaśnienia, odpowiedzi.

Taylor nie czekał na nie jednak.

— Ty draniu! — wycedził. Wskoczył do dołu i rzucił się na Dempseya krzycząc: — Ty gnoju! Nie dam ci kopać dla nas grobu! Zostaw to, słyszysz? Zostaw ten grób! — Wyrwał leżącemu Dempseyowi łopatę i zamierzył się na niego.

Grant uchylił się w ostatniej chwili, łopata zgrzytnęła o jakiś kamień. Zwarli się na dnie dołu, z trudem usiłując w tak małej przestrzeni zadawać i odparowywać ciosy. Walczyli długo, w milczeniu. Potem przyszło przesilenie. Leżeli zgięci obok siebie i dysząc starali się zrozumieć, o co chodzi.

Pierwszy odezwał się Taylor.

— Grant?

— Co?

— Grant?

— Czego chcesz?

— Co się z nami dzieje?

Dempsey wydostał się z dołu i kulejąc ruszył w kierunku wahadłowca.

— Grant!!! — już nie krzyknął, ale zawył Taylor. Wyskoczył z rowu i pobiegł za Dempseyem. — Powiedz, co się z nami dzieje?! Słuchaj, opuśćmy to miejsce. Lećmy stąd! Grant, wykopię to podwozie gołymi rękoma, ale błagam, nie zostawajmy tu...

— Myślisz, że to coś da?

— O Boże, Grant, ty już nie możesz... Co się z nami dzieje?...



Kiedykolwiek.

Wszyscy trwali w swoich punktach obserwacyjnych, chociaż mgliste wspomnienie czegoś lub kogoś, kto miałby tu przybyć, powoli zacierało się w ich pamięciach.

Dempsey siedział w cieniu resztek baraku i patrzył z oddali na wahadłowiec. Mimo iż martwe, jego urządzenia napełniały go coraz większym podziwem. Ile by dał za to, by jeszcze raz je usłyszeć, by cofnąć się do dnia, w którym milkły powoli, a on pewny siebie i wszystkiego, mógł kilkoma ruchami powołać je znowu do życia.

Nie chciał tak nędznie kończyć. Nie chciał kończyć tutaj, przesiąknięty nastrojem otoczenia. Trwał ogarnięty paralizującym bezwładem, pozbawiony woli i siły.

Nagle coś się w nim przełamało. Wstał i grzęznąc w piasku, objając nogi o wystające kamienie zaczął biec. Nie był nawet zbyt zdyszany, kiedy dotarł do wioski w parowie.

— Chodźcie wszyscy za mną — krzyczał biegnąc między chatami. — Jestem waszym Przewodnikiem! Zaprowadzę was do miejsca szczęścia, do miejsca prawdy. Chodźcie ze mną na północ!

Tubyłcy zaczęli zbierać swój skromny dobytek.

Spis treści

Reguły gry.....	
Twarze	
Port	
Daimonion.....	
Koloryt lokalny	
Zakład zamknięty	
Czekając na barbarzyńców	
Blisko granicy	